Dr. ZOFJA JOTEYKO-RUDNICKA

NA ŁONIE PRZYRODY

PAMIĘTNIK ADASIA

OPOWIEŚĆ PRZYRODNICZA

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie

7.
110

NA ŁONIE PRZYRODY

Synom moim

Adasiowi i Stasiowi

książkę tę poświęcam.

Autorka.

1912. — DRUKARNIA M. ARCTA
WARSZAWA — ORDYNACKA 8.

Dr. ZOFJA JOTEYKO-RUDNICKA

NA ŁONIE PRZYRODY

CZYLI

PAMIĘTNIK ADASIA

OPOWIEŚĆ PRZYRODNICZA
DLA MŁODEGO WIEKU

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Mili czytelnicy!

Przeczytałam cały „Pamiętnik Adasia" zanim dałam go do druku. Otóż chcę wam tu powiedzieć, że wszystko w tym pamiętniku jest prawdą. Adaś wiernie opisał swoje wakacje, swoje letnie zajęcia i przyjemności. Niema tu fantazji, tylko szczera prawda.

Powinien więc ten pamiętnik tembardziej was zająć, że jest kartką wyjętą z życia.

Mama.

I.

Przyjazd do Józefowa. Nasz dom. i domownicy. Spacer do lasu. Sosny kwitną. Ogród. Jaskółki.

Więc już przyjechaliśmy! Taki jestem zadowolony, szczęśliwy, bo kocham nasz domek, ogród, las, tutejszych ludzi i wszystko co tu jest. Powietrze pachnące żywicą, orzeźwiające, przeczyste wciągam w płuca i rozkoszuję się niem! Dokoła stoją milczące i wonne lasy sosnowe. Gorąco dzisiaj i niema przewiewu. Stąpam po żółtym naszym piachu kochanym, nagrzanym przez słońce, ciepło mi w nogi od tej sypkiej kąpieli, wciągam chciwie nozdrzami zapach młodych brzózek, rosnących po drodze, a rozlewających ze swych świeżych pędów cudowny, a lekki aromat.

A tu zdala, z lasu, słyszę dobrze mi znane a tak ulubione wołanie szarej naszej kukułki: kuku, kuku kuku! Ach! jak ja lubię to drogie kukanie, przypominające mi wiosnę, ten las,

do którego od maleństwa przywykłem i nasz przyjazd coroczny do naszej willi w Józefowie. Co roku witają nas kukułki swojem śpiewem! a ja im odpowiadam piosenką:

Ach! w tym ciemnym borze kukułeczka kuka,
Od ranka do wieczora gniazdka sobie szuka.

Aż tu brat mój młodszy, Staś, biegnie do mnie, śpiewając tąż samą piosenkę i kukając. Widocznie, że jemu wołanie kukułki także trafiło do serca. Spostrzegam, że się odłączyłem od rodziny mojej i znacznie ją wyprzedziłem, bo i ona, przyjechawszy razem na przystanek Józefów, zdąża do naszego domku. Biegnę rozradowany ku mamie, rzucam się jej na szyję, a matuś mówi do mnie:

— Wiesz Adziu, co woła kukułka? ona ciebie zaprasza do lasu! Słuchaj tylko: kuku! Adziu! gdzieś ty! gdzieś ty! chodź tu! chodź tu!

Wsłuchując się zdało mi się teraz wyraźnie, że ona woła: — Adziu! chodź tu! chodź tu! kuku!

— Ale to nielada zwodnica, — dodała mama, — pójdziesz w las za jej wołaniem, a ona ci się zaraz skryje i ze swego ukrycia znów cię będzie wabiła, wołała i kusiła. Będziesz ją szukał, ona poprowadzi cię coraz bardziej w głąb lasu i ostatecznie ucieknie i tylko daleko, daleko będzie się jeszcze odzywała do ciebie.

— Prawdziwa gra w chowanego! — zawołałem, — jakże to musi być rozkosznie uganiać się za tą ptaszyną po lesie i szukać jej po drzewach.

— O tak! ale tylko na wiosnę, bo później głos jej zmienia się do niepoznania i staje się nawet nieprzyjemny, podobny do jakiegoś chichotu, którym już nikogo nie zwabi.

Mama szła naprzód z babunią, Staś biegł w koło nich, myszkując po zaroślach, płosząc motyle, strącając żuczki i strasząc koniki polne, ojciec zaś nasz szedł zwolna z przystanku, w towarzystwie stróża naszego Wojciecha, obładowanego ręcznym bagażem.

Pobiegłem naprzód, zwabiony widokiem naszego domku. Stał on w ogrodzie, na dużej polanie, pod lasem; obok ciągnęła się droga, prowadząca do Białka, Emowa i Wiązowni. Poleciałem co tchu, przesadziłem sztachety, bo nie chciało mi się tracić czasu na przejście przez bramkę i znalazłem się w ogrodzie. Rosły tam wiśnie, małe drzewka karłowate, ale tak już pełne zielonego owocu, że liści na nich prawie nie widać. W alejach akacje słabo są jeszcze rozwinięte. Nic dziwnego, bo jesteśmy dopiero w końcu maja. Na niektórych sterczą gałęzie nagie, zrudziałe: są to gałęzie martwe, które zapewne zmarzły przez zimę. Biegnę do domu i paru skokami jestem na werandzie. Weranda jest tak duża jak cały domek, a zatem wielka, zwrócona na północ; dobroczynny na niej chłodek zaprasza do spoczynku. Kładę się więc na podłodze i leżę sobie rozkosznie czekając aż moi blizcy przyjdą. Tak tu cicho! tylko ptaszki ćwierkają ze wszystkich stron. Rozkoszuję się cudownym zapachem bzu, którego wiele krzaków kwitnie dokoła werandy. Późno się w tym roku bzy rozwinęły, bo wiosna była zimna.

Bez lilak.

Czy może coś piękniej pachnąć jak bez? Z jednej strony zwieszają się jasne jego kiście, prawie białe — a pachną! jakże cudownie one pachną! Z drugiej, kwit-

nie bez ciemny sztywny, kwiateczki ma regularnie ułożone i mniej ma fantazji w układzie, niż poprzedni. Nie lubię roślin symetrycznych! wolę rozbujane, rozfantazjowane!

Słyszę głosy, – furtka skrzypnęła, biegnie do mnie Staś i budzi mię z moich marzeń wołając:

— A ja coś znalazłem! A ja coś mam! zgadnij, zgadnij co? będziesz zadowolony, bo się nam obu przyda! Będziemy mieli ślicznego motyla! popatrz tylko!

Podał mi poczwarkę zielonawą, w ciemniejsze prążki, która ruszała się i rzucała za dotknięciem.

— Dlaczego ona tak pląsa, skacze, skręca się? wszak nie ucieknie, bo nie ma nóg; przed chwilą spokojnie sobie wisiała zaczepiona nitką pajęczą o płot.

— Zapewne temi ruchami chce odstraszyć nieprzyjaciela, który ją ruszył. Ona dobrze czuje, że się dostała w obce ręce, że już nie wisi na dawnym swym miejscu. Połóżmy ją tymczasem na liściu w kącie werandy, a potem umieścimy ją w hodowli. Szkoda wielka, że nie wiemy, jaki motyl z tego będzie!

Nadeszli rodzice z babunią, a za niemi Wojciech, który zaraz otworzył drzwi. Weszliśmy do domku. Wszystko na nasz przyjazd było pomyte, wybielone, czyściutkie. W mig obleciałem pokoje i przekonałem się, że wszystko jak było tak i jest „tylko się do starości trochę pochyliło".

— Miły domku, sosnowy! — zacząłem nucić na nutę ze Strasznego dworu, wchodząc do mego pokoiku i oglądając go ze wszystkich stron. Był zupełnie taki jak dawniej, ten sam stolik pod oknem, to samo łóżko z prostym siennikiem, pachnącym siankiem wypchanym, te same półki, to samo krzesło. Więcej nic nie miałem w pokoiku, ale i tak było mi bardzo wygodnie.

W domku naszym było cztery pokoje; wszystkie wychodziły na ogród, bo domek stał wśród niego. Największy i położony w głębi zajmowała mama ze Stasiem. Obok

maminego był mój pokoik. Na werandę zaś wychodziły dwa pokoje: jeden zajmował tatuś, a drugi babunia. Umeblowanie było wszędzie skromne, ale wygodne i czyste, zwłaszcza czyste, bo czystość, powiada mama, to „zdrowie"! Nieraz mi się ta czystość naprzykrzy, bo ciągle mi się każą myć: z rana muszę się myć do pasa i zlewać zimną wodą, przed każdem jedzeniem muszę myć ręce, inaczej nie wolno mi siąść do stołu, a wieczorem muszę codzień myć nogi zimną wodą. Coprawda, mycie nóg jest potrzebne, bo latem chodzę boso i trudnoby mi było wejść do łóżka z brudnemi nogami. Zęby muszę płukać po obiedzie i wieczorem. Uważam, że to mycie i płukanie zabiera dużo czasu, ale tak się już do tego przyzwyczaiłem, że nie mógłbym jeść z brudnemi rękami, ani spać z brudnemi nogami.

Do tych czterech pokoi przybudowano przed paru laty piąty, cokolwiek niższy i nie tak ładnie wykończony. Nazwaliśmy go „przybudówką". Tu spały służące. Kuchnia bardzo ładna, duża i widna była osobno, gdyż kuchnia przy domu, mówi mama, daje latem bardzo wiele gorąca. W ogrodzie stała jeszcze szopa, w której był skład narzędzi ogrodniczych: rydle, konewki, grace, grabie, a także worki ze sztucznymi nawozami, to jest wyrabianemi w fabrykach, oraz torf, wapno i t. p. Była to rezydencja naszego stróża, Stanisława, który służył u nas tylko przez miesiące letnie, gdy Wojciech był stróżem rocznym.

Byłbym zapomniał o bardzo ważnej części naszego domostwa. Chcę powiedzieć, że górę, to jest strych uważam za bardzo pożyteczną część domu. Wchodzi się do niej po drabinie. Jakżeż to miło leźć po drabinie! nie każdy o tem wie, bo nie każdy ciekawy nowych wrażeń. Ale co do mnie, to przyznać się muszę, ogromnie lubię takie wycieczki. Wchodzi się zatem po drabinie, która trochę trzeszczy, ale to nic, ona

się nie złamie, tylko tak straszy. Strych jest nizki, ale dla mnie to żadna przeszkoda. Trochę tam duszno, ale i temu stawię czoło. Żebyście tylko wiedzieli, co tam jest na strychu! różne deski i deseczki potrzebne do reperacji, wysortowane meble, naczynia kuchenne i stołowe nie do użytku, choć niektóre nie wiem dlaczego tam rzucone, bo jeszcze bardzo dobre, tylko, że albo nadszczerbione, albo pęknięte, albo dziurawe, albo zardzewiałe. Leżą tam także różne żelastwa, stare zaszczypki, gwoździe, śruby, zawiasy, zasuwy. Jednem słowem cały skarb. Jak ja lubię w tem szperać, choć mama mi to gani, że to niby niehygienicznie! Przyznam istotnie, że nie jest to bardzo zdrowo grzebać się w tych starych rupieciach, ale ja to za bardzo lubię, zwłaszcza że znajduję tam ładne okazy, np. gwoździe, tak mi nieraz potrzebne,

Byłem właśnie na strychu, bo jakże nie obejrzyć go i nie wspomnieć tych chwil miłych na nim spędzonych, gdy posłyszałem wołanie Stasia:

— Jędrzej jedzie!

W jednej chwili byłem na dole i biegłem główną aleją ogrodową ku bramie, przez którą wjeżdżała właśnie fura, naładowana naszemi rzeczami, a prowadzona przez Jędrzeja.

Jędrzej przyjeżdża z furą do Warszawy raniutko i zabiera nasze kufry, pościel, naczynia kuchenne. My zaś jedziemy później pociągiem; wkrótce po naszym przyjeździe przybywają i rzeczy nasze, tak, że jest dość czasu do rozpakowania i urządzenia się przed wieczorem.

Jędrzej Trzoch jest bardzo poważnym gospodarzem w Małych Świdrach, piastuje nawet tam urząd sołtysa, choć nie jest zadowolony z tego wyróżnienia, bo dużo czasu mu to zabiera i sprawia często przykrości. Jest on bratem naszego stróża Wojciecha. Jędrzej jest bardzo poważny, rzetelny, sumienny, rozsądny, Wojciech zaś jest wprawdzie sprytny, wesoły, lecz ma podobno tę wadę, że

trochę pije. Ale ja go bardzo lubię za to, że dowcipkuje i wszystko w żart obraca.

Jędrzej wjeżdżał zatem w bramę, popędzając konie, a za nim biegł Stasiek, syn Wojciecha, młodszy trochę odemnie. Stasiek bardzo mnie lubi i często mnie odwiedza, przywitaliśmy się zatem serdecznie.

...wjeżdżała właśnie fura, naładowana rzeczami.

— Jędrzeju, mój Jędrzeju! proszę o lejce, już ja dojadę przed werandę, — wołałem, zobaczywszy go.

— Niech tylko Adaś nie wywróci, to i owszem.

Popędziłem koniki i wkrótce zajechałem szczęśliwie przed domek. Sam odprzęgłem konie, bo ogromnie lubię zajmować się końmi, uwiązałem je u poblizkiego drzewa, poczem pobiegliśmy ze Stasiem narwać trawy i rzuciliśmy ją konikom. Niech sobie jedzą! niech odpoczną, na-

pracowały się niemało, bo droga piasczysta, a wóz ciężki. Głaszczę je z lubością: maluśkie moje, maluśkie!

— Z Adasia to cały koniarz! — powiada Jędrzej.

To prawda, ja tak lubię konie, że przed kilku laty marzyłem o tem, żeby zostać woźnicą, wówczas bowiem byłbym ciągle z końmi, chowałbym je, karmił, pieścił, a przedewszystkiem miałbym źrebięta. Ach! niema nic

...więc wskoczyłem na konia i jeździłem po ogrodzie...

milszego nad źrebięta. Gdybym miał źrebaki, kochałbym je jak własne dzieci.

Kiedy obaj ze Stasiem byliśmy zajęci końmi, Jędrzej, Wojciech i Stanisław znosili nasze rzeczy, rozwiązywali sznury, a służące im pomagały. Wreszcie główny bagaż rozpakowano. Wówczas poprosiłem Jędrzeja, aby mi pozwolił pojeździć trochę na swoim siwku. Naturalnie chętnie na to przystał, więc wskoczyłem na konika i jeździ-

łem sobie po ogrodzie. Babunia bardzo się bała i wciąż zapytywała Jędrzeja, czy koń łagodny, czy nie gryzie, nie kopie, — ale chociaż Jędrzej dawał uspokajające odpowiedzi, nie bardzo one trafiały do jej przekonania, widziałem, bowiem, że stała wciąż na werandzie i śledziła mnie oczami.

Trzeba było jednak uwiązać naszego psa Hetmana, gdyż strasznie szczekał, biegnąc za koniem. Hetman jest

Hetman.

niezwykłym kundlem, ma wygląd psa z gór św. Bernarda. Duże kudły białe, miejscami rude, wielkie i piękne czarne oczy, mądre i dobre. Ogromnie go lubię i żyjemy w wielkiej z sobą przyjaźni. W danej jednak chwili rozgniewałem się na niego, bo obawiałem się, że mi konia przestraszy. Odpędzałem go więc zawzięcie, nawymyślałem mu nawet. Ale nic nie pomogło; Hetman był stanowczo przeciwny mojej konnej jeździe, a przecież ona stanowiła dla mnie nie lada przyjemność. Nie było rady, trzeba było go uwiązać. Jeździłem zatem z początku po

ogrodzie: to stępa, to kłusa, ale jeździłem bez siodła, to podobno nawet bezpieczniej. Potem ojciec kazał mi wyjechać z ogrodu na drogę, gdyż koń mógłby się w ogrodzie nastraszyć i raptownie rzucić. Najeździłem się też dostatecznie.

Po mnie, brat mój Staś, ze strachem wprawdzie, ale również użył konnej jazdy — i jeździlibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nie to, że Jędrzej musiał konie zaprzęgać i jechać do domu.

Matuś zaproponowała nam wówczas spacer nad brzeg lasu, aby się przywitać z kochanym naszym borem. Miało się ku zachodowi i słońce ślicznie oświetlało sosny, których pnie czerwieniły się zdala od jego promieni, bo kora sosny jest czerwonawa, poprzerastana jakby łuską błyszczącą.

Jeszcześmy nie weszli do lasu, gdy zapach jego miłą już nam sprawił przyjemność.

— Od czego, matuś, sosny tak pachną? — zapytał Staś, — przecież nie kwitną, a zapach roślin pochodzi od kwiatów.

— Protestuję! — zawołałem, — a mięta? macierzanka? koper? widzisz! nie tylko kwiaty mogą pachnąć, bo i liście, a nawet łodygi.

— W sosnach pachnie żywica. Żywicą nasiąknięte jest drewno i pędy. Wydziela się ona z wielu miejsc i krzepnie na powietrzu. Na słońcu nagrzana sosna wydziela aromat swej żywicy i pachnie. Ale ty Stasiu, mylisz się bardzo, sądząc, że sosny nie kwitną! wszak mają owoce zwane szyszkami, a owoce powstają z kwiatów. Poszukajcie dobrze dzieci, a może znajdziecie kwiaty na sośnie.

Zaczęliśmy pilnie szukać, biegając dokoła sosen. Uwagę naszą zwróciło to, że końce wielu gałęzi były zakończone jakby żółtym kłosem, z którego obficie sypał się pyłek.

— Napewno to jest kwiatem! — zawołał Staś, skoro się żółty pyłek sypie, to musi być kwiat. Ale jakiż dziwny, nic nie podobny do innych kwiatów.

— Niepodobny,— rzekła mama, — bo nie ma barwnej korony jak kwiaty dobrze nam znane. Sosna kwitnie kotkami, czyli baźkami, jak większość naszych drzew, a kotki te nigdy nie są pokaźne. Ten żółty kłosek, z którego za najmniejszym dotknięciem sypie się obficie złocisty pyłek, składa się z samych kwiatów pręcikowych. A tu, na wierzchu gałęzi, siedzą kwiaty słupkowe, w postaci maluśkich szyszeczek. Skoro pyłek upadnie na kwiaty słupkowe, te wydzielają zaraz żywicę i zalepiają nią całą szyszeczkę. Taka młoda szyszka jest zielona, miękka i cała lepka od żywicy, potem rośnie, twardnieje, brunatnieje, robi się jak drewno, a we dwa lata po zapyleniu rozkleja się, łuski jej się odchylają i wylatują z pomiędzy nich małe nasionka, zaopatrzone jednem skrzydełkiem, na którym unoszą się gnane wiatrem i rozsiewają się po świecie.

— Matuś! — zawołałem, — toż pełno tego kwiecia sosnowego. Bór kwitnie! kwitnie!

— Już przekwita, — odpowiedziała mama, bo już koniec maja. Podczas pełnego rozkwitu, który zwykle odbywa się w kwietniu, unosi się żółty pyłek całemi chmurami ponad la-

Gałązka sosny z kwiatem i szyszką.

sem. Dawniej ludzie nie wiedzieli skąd się bierze ten deszcz żółtego pyłku i przypisywali mu pochodzenie fantastyczne. Dziś wiemy dobrze, że te obłoki kurzu złocistego, gnanego wiatrem, to pyłek sosnowy, nieszkodliwy dla ludzi. A teraz, skoro przekonaliśmy się, że bór jeszcze kwitnie, wracajmy do domu, bo późno i po dzisiejszem zmęczeniu trzeba się nam położyć.

— Oj! to prawda! — zawołał Staś — mnie się już oczy kleją i jestem zmęczony, bom się nabiegał i nadokazywał co siła.

Jakże się dobrze spało na świeżem sianku i po całodziennem zmęczeniu! zdawało mi się, że odpoczywam na najwygodniejszem łóżku sprężynowem i na materacu puchowym. Zbudziłem się jednak nazajutrz o szóstej rano, i ubrawszy się co prędzej, pobiegłem do ogrodu.

Ranek był prześliczny! słońce delikatnie przygrzewało, rozlewając swą cudowną jasność po całym ogrodzie operlonym rosą poranną. Drzewa okryte jasną zielenią wyglądały jakby świeżo wyszły z kąpieli majowego światła. Zdala widniał las na wzgórzach, cały błękitny od mgieł. Bzy rozkwitłe pachniały, ptaszki świergotały, kukułka odzywała się z głębi boru. Jednem słowem, było prześlicznie! Zachwycony biegałem ze ścieżki na ścieżkę, od drzewa do drzewa, od krzaku do krzaku.

Ogród ten, przed dziesięciu laty był kawałkiem szczerego pola, „piaseczniczką", jak mówili moi rodzice. Prócz paru jałowców nic tu nie rosło. Rodzice moi sami założyli ogród, zwłaszcza tatuś dużo włożył pracy w te drzewa i krzaki, bo na piasku, do tego żelazistym, nic rosnąć nie chciało. Trzeba było ziemię użyźnić, kopać duże doły pod każde drzewko, dół ten wysypać dobrą ziemią i nawozami, a drzewko zasadzone podlewać przez długi czas, bo bez wody schło. Tatuś wiele robót sam robił, zamiłowany bowiem z niego ogrodnik. Gdy przyjeżdżał z Warszawy, brał się zaraz do roboty, podlewał,

obkopywał, tępił liszki, obcinał zeschłe gałązki i t. p. Mama mu często pomagała, a my obaj ze Stasiem biegaliśmy za niemi, przyglądając się robocie.

Opłaciły się sowicie trudy tatusia, gdyż dziś mamy piękny ogród. Pełno w nim ładnych krzaków, a drzewa, zwłaszcza akacje są duże i rozłożyste.

Świerk.

W naszym ogrodzie mamy zaledwie kilka sosenek, gdyż sadzone, trudno się przyjmują, a siane, wymagają dużo czasu, zanim wyrosną. Zato mamy śliczne świerki. Potrzebują one bardzo dobrej ziemi, na czystym piachu nie będą rosły jak sosny, ale sadzić je za to łatwiej! To też tatuś kazał pod nie kopać bardzo wielkie doły i wysypywać je doskonałą ziemią ogrodową, po zasadzeniu zaś, kazał ziemię grubo posypać igłami nagrabionemi z lasu, czyli igliwiem, bo ono utrzymuje wilgoć.

Szyszka świerku

Pamiętam, jak to przez parę lat polewano te świerki codziennie latem, spuszczano na nie z góry sztuczny deszcz, obkopywano co wiosnę, aby ziemię spulchnić, przez co łatwiej nasiąka wodą i łatwiej przepuszcza powietrze, które jest podobno potrzebne korzeniom.

A teraz są to duże świerki, wysmukłe, a tak gęste, że tworzą istny lasek, przez który trudno się przedrzeć.

Gałązka jarzębiny.

Poleciałem do tego borku świerkowego. Wydał mi się bardzo ciemny w porównaniu z jasną zielonością majową drzew liściastych i z podziwem zauważyłem, że świerki nasze dostały po raz pierwszy szyszek. Zwieszały się one z gałęzi, nieduże, różowozielone, lepkie od żywicy, przecudne. Będę do nich zaglądał, aby obaczyć, jak się będą zmieniały i rosły.

Drzew iglastych mamy zatem niewiele w ogrodzie. Pełno za to akacji, które łatwo idą na piaskach, pełno wisien, również mało wybrednych. Są jarzębiny, brzozy, klony, które wszędzie rosną na piaskach, bo potrafią i z piaszczystej gleby ciągnąć pożywienie.

Gałązka brzozy z kwiatami.

Jarzębiny już przekwitały, zawsze jednak kwiaty ich, ułożone w baldaszki, rozlewały miłą woń, którą bardzo lubię. Na wysmukłych, białopiennych brzózkach zwieszały się owocki zielone, niedojrzałe, twarde i drobne jeszcze listeczki, delikatne, szeleszczące za lada powiewem wietrzyka, a to dlatego, że osadzone są na cieniutkich ogoneczkach. Brzoza, tak jak i sosna, kwitnie wczesną wiosną, mówiła mi mama, i ma osobne baźki pręcikowe i osobne słupkowe. Kwitnie ona zanim dostanie liści, poczem baźki pręcikowe opa-

dają, a kłoski słupkowe zostają i zamieniają się w owoce. Zauważyłem, biegając po ogrodzie, że na krzakach berberysu, którego mamy sporo w ogrodzie, jest moc kwiatów. Krzaki te były obsypane kwieciem żółtem, o miłym zapachu. Że też to na wiosnę wszystko pachnie tak cudnie! I kiście bzu i baldaszki jarzębiny i ponure świerki i żywiczne sosny, ba! nawet berberys, i ten ustroił się w śliczne, wonne kwiatuszki, jakby chciał się przyczynić do upiększenia przyrody, tak cudnie pięknej w maju!

Berberys.

A tu, korzystając z tego, że wszyscy jeszcze spali i było zupełnie cicho, dwie jaskółki siadły sobie na belce pod sklepieniem werandy i wesoło ze sobą gaworzą, coś sobie rozpowiadają, dysputują, cieszą się, bawią, aż wreszcie poszybowały w ogród. Niebawem wróciły, niosąc źdźbła słomy w dzióbkach, usadowiły się znów na tej belce i długo coś tam robiły, gaworząc wesoło. Potem znowu poleciały chyżo i wróciły ze słomkami w dzióbkach i majstrowały, ciesząc się wciąż ze sobą.

Zrozumiałem, że chciały lepić gniazdo na belce pod okryciem werandy.

Były to jaskółki dymówki. Miały ogon mocno widełkowaty, wierzch ciała ciemno granatowy, spód biały, a czoło i podgarle ciemno czerwone.

Gnieżdżą się one zwykle pod dachami domów, tuż przy ludziach, których nie obawiają się wcale, a półkuliste swe gniazda lepią z błota, zmieszanego ze śliną, słomą, cieniutkiemi gałązkami, włosiem, w celu utrwalenia tej kruchej mieszaniny.

Znam się dobrze z tymi jaskółkami, bo rok rocznie widuję je w Józefowie. Ucieszyłem się też bardzo, że gniazdko lepią pod naszym dachem, co uważane jest za zapowiedź szczęścia, i uprzyjemnią nam pobyt na wsi swem wesołem świergotaniem i niezmęczoną ruchliwością. Lubię patrzeć na ich lot chyży, lekki, spokojny: zdaje się, że płyną, szybują, że się rozkoszują bujaniem po powietrzu,— aż tu raptem zawracają, robią zwroty w tę i w tamtą stronę, lub spadają błyskawicznym ruchem nad samą ziemię, na widok zapewne żuczka, muszki, komara, które w locie chwytają, bo owadami się żywią.

Jaskółka dymówka.

II.

Wycieczka nad Świder. Olszynka. Slizy. Szczupaki. Cierniki. Różanka. Chróściki. Świtezianka modra. Skójka. Pliszka. Chrabąszcz majowy. Skowronki.

Nareszcie uprosiliśmy mamę, aby poszła z nami na spacer, nad Świder. Świder, to rzeczka nie duża, nie

głęboka, wpadająca do Wisły. Nazwę swą zawdzięcza temu, że bieg ma bystry i wije się po dolinie, jak Świder. Coraz zmienia swe łożysko. Opowiadano nam, że włościanie postawili przed laty most drewniany na tej rzeczce, aby ułatwić furom przejazd do Otwocka. Ale, zaraz następną wiosną Świder ominął most i popłynął sobie w innym kierunku: most został na piasku,—a włościanie i furmani jeżdżą dotychczas przez wodę, co zwłaszcza,

Most kolejowy na Świdrze.

podczas wezbrania rzeki połączone jest z pewnem niebezpieczeństwem. Tylko most kolejowy, żelazny, stoi w takiej okolicy, że go Świder ominąć nie może, bo brzegi rzeki są tam wysokie i mocno trzymają się, pokryte roślinnością.

Przeszliśmy przez mały lasek i kroczyliśmy przez pole. Rosło żyto dość marne, bo w tych okolicach piaszczystych trudno o piękne zboże. Gdzieniegdzie wschodził łubin, ukazując malutkie jeszcze, palczaste listeczki. Sieją

go tu jako nawóz, gdyż przeorany lub przekopany po przekwitnięciu użyźnia ziemię.

Skowronki świergotały wysoko nad naszemi głowami. One zawsze dzwonią w locie, unosząc się nad polami, gdyż w zbożu najczęściej ścielą swe gniazdka na ziemi, w kępkach trawy lub w małych zaroślach. Jedzą wprawdzie trochę ziarna, ale trzeba im to wybaczyć, bo są pożyteczne, przez to, że głównie żywią się owadami. Owady zaś są wielkiemi szkodnikami: gąsienice motyli i ciem objadają liście, a pędraki chrząszczów podgryzają korzenie. Robią one czasem wielkie zniszczenie w polach, lasach i ogrodach, to też gospodarze powinni toczyć z niemi zawziętą walkę i starać się hodować te zwierzęta, które niszczą owady, szczególnie ptaki.

Skowronek.

— Powiedz że mi matuś, — zapytał Staś, — dlaczego chodząc tak często przez pola, nie znaleźliśmy ani razu gniazdka skowronka? Nieraz, idziemy miedzą, z obu stron rośnie zboże, skowronki dzwonią nam nad głowami, inne odpowiadają im z pomiędzy zbóż, prowadząc w taki sposób ożywioną rozmowę, wobec ludzi, których się widocznie nie obawiają, — my zaś szukamy na wszystkie strony ich gniazdek, ale daremnie! nie znaleźliśmy nigdy ani jednego gniazdka skowronczego!

— Bo skowronek umie gniazdko swe umieścić w dołku, wygrzebanym własnemi pazurkami i wysłać je umiejętnie ziółkami i trawą. Sam ptaszek jest płowo szary jak rola, jajeczka jego są gęsto upstrzone plamkami koloru

żółto-rudawego. Więc i on, gniazdko i jego jajka zlewają się z kolorem roli. Dlatego trudno dostrzec jego mieszkanko.

— Ale dlaczego ptaszek ten używa tyle przezorności, skoro nie ma potrzeby obawiać się ludzi, bo przecież nikt do niego nie strzela.

— Człowieka u nas się nie boi, bo w Polsce kochają skowronka na równi z jaskółką. On pierwszy przylatuje do nas wiosną i czasem w połowie lutego przyśpiewuje rolnikowi przy pracy, przy pierwszej jego pracy na polu. Od tego czasu przez całą wiosnę i lato towarzyszy mu i uprzyjemnia ciężki jego trud miłem świergotem. Nie boi się wcale rolnika, pozwala mu się podejść bliziutko, a i samiczka siedząca na jajach nie ucieka przed nim, skoro się zbliża do gniazdka. Ale skowronek ma i nieprzyjaciół, czyhających na jego smaczne mięsko. Takim jest list, kot, taką jest łasiczka, szczególnie zaś zawziętym na niego jest gatunek sokoła, zwany kobuzem, który uporczywie poluje na skowronki.

— Ludzie jednak nigdy chyba nie jadają skowronków, — rzekłem — przynajmniej nigdym jeszcze o tem nie słyszał.

— Polacy nie jadają skowronków, bo do pewnego stopnia czczą te ptaszki, zwane u nas ptaszkami Matki Boskiej, ale Niemcy i Francuzi chwytają je zawzięcie dla ich smacznego mięsa i tępią całemi stadami.

— Niegodziwcy! łakomczuchy! — oburzał się Staś. Ale zanim wypowiedział całe swoje oburzenie, doszliśmy nad Świder. Brzeg w tem miejscu był dość wysoki, więc krajobraz roztaczał się rozległy i ładny. Świder jest płytki; widać po przez wodę jego dno piasczyste, połyskujące. Rzeczka ta wije się w pięknych zakrętach po dolince piasczystej, ozdobionej miejscami nad brzegiem wody gęstemi kępami olszynek. Po drugiej jego stronie ciągnie się las.

Świder toczył wartko swe wody, a ta woda tak pachniała i nęciła, że obaj paru susami znaleźliśmy się w niej po kostki. Byliśmy naturalnie na bosaczka, a teraz używaliśmy rozkoszy brodzenia. Jakże to miło, zwłaszcza, gdy dzień jest upalny, chodzić sobie boso po płytkiej wodzie; niema ani strachu, ani niebezpieczeństwa, widzimy gdzie stąpamy, bawimy się wodą, rozbryzgujemy ją, cieszymy się jej chłodkiem!

— Brodźcie sobie chłopcy! — zawołała mama, — tylko pamiętajcie zwilżać sobie głowę od czasu do czasu, żeby was ona od napływu krwi nie zabolała.

— Od jakiego napływu krwi? — nie rozumiem! — gniewał się Staś.

— A ja rozumiem! — zawołałem. — Gdy nogi moczysz w zimnej wodzie, krew ucieka z nóg i idzie do głowy, więc dla równowagi trzeba głowę zwilżać.

— Ach! co te jaskółki wyprawiają, popatrz Adziu, — wołał Staś — latają nad samą wodą, muskają ją piersiami i szybują dalej.

— A ta! spójrz się! zleciała błyskawicznie z góry, musnęła skrzydełkiem wodę i poleciala dalej.

— Co mi tam po jaskółkach, wolę łowić ryby! — zawołał Staś.

Mieliśmy ze sobą trzy przyrządy. Staś miał niewielki kubełek blaszany, zamykany. W nakrywce było małe okienko zasuwane, całe podziurawione małemi otworkami jak sitko. W kubełek ten nalewało się wody, a wówczas można było wpuścić do środka przez okienko, wodne zwierzęta. Skoro zwierzęta były w wodzie, zasuwaliśmy okienko. Było im tam wcale nie źle, gdyż powietrze swobodnie się odnawiało przez dziurki w okienku, — o ucieczce zaś mowy być nie mogło. Prócz tego miałem ze sobą dwie siatki: jedną do stworzeń wodnych, osadzoną na wysokim i mocnym kiju, zrobioną z mocnej tkaniny włosiennej; drugą,

do motyli, prześliczną, z pięknej zielonej gazy, mięciutkiej, osadzoną na lekkiej lasce bambusowej.

Staś wziął siatkę wodną i ciągnął ją po wodzie. Zrazu nie mógł nic złapać, to też poradziłem mu, aby poszedł trochę dalej, gdzie brzeg był okryty roślinnością i gdzie zapewne łatwiej o ryby. Jakoż niebawem wyciągnął dwie rybki maleńkie, które zaraz wpuściliśmy do

Krajobraz z nad Świdra.

blaszanki i pobiegliśmy do mamy, siedzącej na brzegu, aby się pochwalić zdobyczą.

— Co to za rybki, Duszko? — pytał Staś, bo trzeba wam wiedzieć, że my mamę nazywamy zawsze „Duszką".

Razu pewnego wyrwała mi się ta nazwa, a potem tak się utarła, że i Staś, ba! nawet tatuś mówi do mamy: „Duszko!"

— Przyjrzyj się im bliżej, zauważ co mają szczególniejszego, a pewna jestem, że sam dojdziesz do ich nazwy.

— Nic nie mają szczególniejszego, — upierał się Staś — są bardzo małe i zapewne nieszkodliwe; cóż więcej można o nich powiedzieć?

— Nie widzisz — zawołałem — kolców, które mają na grzbiecie?

— A prawda! są kolczaste. O! nawet na brzuchu mają kolce. Na co im te kolce służą, matusiu?

Ciernik.

— Do obrony. Choć maleńka, rybka ta jest straszna i nie jeden żarłok wodny, choćby pan szczupak, połknąwszy tego malca, przypłacił życiem swe łakomstwo, pokaleczywszy gardziel i wnętrzności kolcami czyli ciernieni tej rybki. Z powodu tego uzbrojenia zowią ją ciernikiem, albo koluszką, wreszcie katem, bo innym rybom śmierć zadaje. Ciernik jest bardzo pospolity, ale nie jest bynajmniej łagodnem i nieszkodliwem zwierzątkiem, jakiem się na pozór wydaje. Jest on żarłoczny i drapieżny w najwyższym stopniu. Ufny w swoją okrutną broń, rzuca się na inne ryby i pożera je lub kaleczy. Nieraz prowadzą cierniki między sobą bitwy, bo są kłótliwe, a zwycięzca przebija cierniem przeciwnika. Tak to pozory często mylą i niewinny z wyglądu ciernik jest nie byle jakim bandytą. Za to rodzinę swoją, zwłaszcza dzieci, kocha nie-

zmiernie. Samczyk buduje dla swego potomstwa gniazdko z roślin wodnych, kształtu walcowatego, pilnuje ikry, (czyli jajek), którą składa samiczka, a gdy się wylęgną młode ojciec je znowu pielęgnuje i pilnie baczy, aby z gniazda nie uciekły. Jestto jedyny przykład miłości rodzicielskiej, a raczej ojcowskiej, wśród ryb. Inne bowiem ryby nie wychowują wcale młodych, a nawet nie znają swych dzieci. Co najwyżej wybierają dogodne miejsce do złożenia ikry, np. jedne składają ikrę wśród mułu, inne wśród roślin wodnych, lub w piasku nadbrzeżnym, gdzie jest cieplej niż w głębi.

Szczupak.

Tymczasem Staś zapuścił znowu sieć i prowadził ją cierpliwie wzdłuż zarosłych wybrzeży. Tym razem połów był obfity. Złapało się kilka rybek, które zaraz wpuściłem do blaszanki, a także sporo piachu, gałązek i roślin wodnych. Przyglądając się rybkom, przekonaliśmy się, że było tam kilka cierników, ale były także i inne.

— Radzę wam — rzekła mama — powypuszczać wszystkie cierniki, bo pokaleczą wam inne ryby, z któremi razem są w blaszance.

— Naturalnie! — rzekłem, — szkoda tych innych rybek, o których jeszcze nic nie wiemy.

— Ot ta, z tym wydłużonym, cokolwiek rozpłaszczonym pyszczkiem i wyłupiastemi oczami, to mały szczupaczek.

— Kolor ma brzydki oliwkowaty — rzekł Staś.

— Pletwy różowawe — dodałem.

— Z tego malca może wyrosnąć duża, drapieżna i okrutna ryba,— mówiła mama — bo szczupak jest niebywałym żarłokiem. Nietylko rybki mu smakują, on nie pogardza żabami, kijankami, ikrą; co się trafi to chwyta i pożera. Nawet małe kaczęta wciąga pod wodę i inne młode ptactwo wodne!

— Wypuśćmy go — zawołałem — on jeszcze pozjada nam te drobne rybki z wąsikami przy pyszczku.

Śliz.

— Są to ślizy; kształt mają dziwny jak na ryby, bo walcowaty i wężowaty. Nie są one drapieżne, gdyż nawet zębów nie mają.

— A szczupak? — zapytałem.

— Szczupak ma ostre, drobne zęby, spiczaste i mocne.

— Jeszcze jedna rybka została się na ostatek — rzekłem.— Ależ śliczna! łuskę ma mieniącą się barwami czerwoną i zielonkawą, a sama jest ładnego, szerokiego kształtu.

— Piękna ta rybka zwie się różanką i może być hodowaną w akwarjum. Przedstawia ona tę osobliwość, że ikrę swoją składa do środka ciała pewnych mięczaków zwanych małżami, to też, kto chce hodować różanki musi razem z niemi hodować małże.

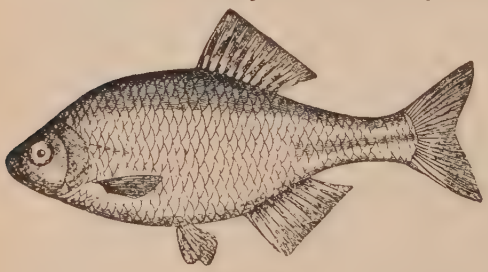

Różanka.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że wśród roślin, patyków, mułu i piasku wyrzuconego z siatki, poruszały się drobne

kawałeczki kory i patyczki. Wziąłem w palce jeden taki chodzący patyczek i ze zdumieniem spostrzegłem, że jestto mieszkanie pewnego zwierzątka.

— Co to może być? — zapytałem mamy.

— Jestto larwa, czyli gąsienica ładnego owada. Zowie się chróścikiem. Larwa jest bezbronna i łatwo stałaby się pastwą ryb, lub innych zwierząt wodnych, więc kleci sobie domek z drobnych gałązeczek, okrawków kory, ziarnek piasku, żwiru, kamyczków lub okruszyn mułu. Siedzi sobie zatem w tej małej tutce, lub wystawiwszy z niej nogi łazi po piasku na dnie wody, lub po wodnych roślinach. Niktby nie pomyślał, że to żywa istota

Chróściki.

i wiele ryb przepływa mimo niej, nie podejrzywając nawet, że mijają smaczny kąsek. Tych chróścików jest tu wiele więcej, spójrzcie tylko, co tu zlepków żwiru i patyczków rusza się i pełza wśród mułu wyrzuconego z siatki.

— Ja powybieram wszystkie i będę hodował.

— Wolałabym abyście je wszystkie puścili na swobodę. Pamiętacie chłopcy, jakto w zeszłym roku hodowaliście płotki i okunie połapane w Świdrze, i wszystkie wam pozdychały. Wystarczy raz jeden wody im nie zmienić,

a już żyć nie będą. Zwierzęta wodne wymagają wiele starań przy hodowaniu, wy zaś nie macie z niemi dość cierpliwości.

— Dobrze mamo, puścimy je napowrót do Świdra, tam, gdzie woda jest płytka i zobaczymy, co będą robiły.

Tak też zrobiliśmy. Chróściki, dostawszy się do wody, leżały z początku jak martwe, wkrótce jednak zaczęły się ruszać i chodzić po dnie, jakby im własny domek wcale nie ciężył. Wyglądały jak kawałeczki chróstu, powoli unoszone przez prąd.

— Ciekawy jestem, co za owad wylęgnie się z tej larwy? zapewne jakiś żuczek wodny!

— Bynajmniej, z tej larwy wodnej — mówiła mama — tworzy się najpierw poczwarka, a z niej dopiero wyfruwa owad skrzydlaty o czterech przejrzystych skrzydełkach, podobny do ważek, których tu nad Świdrem musi być bardzo dużo.

— Siatki, siatki Stasiu! — zawołałem, ujrzawszy unoszący się nad wodą śliczny owad o skrzydłach szafirowych.

Daremnie jednak goniłem za nim: uciekł mi na drugi brzeg rzeczki, i tym sposobem straciłem śliczną świteziankę modrą! Ona to bowiem była, a należy do rodziny ważek; poznałem ją odrazu po wydłużonym odwłoku i dużych, przejrzystych skrzydłach koloru szafirowego.

— Chodźmy do olszynki, — zaproponował Staś — tam musi ich być więcej, a zdałby się nam do zbiorów ładny okaz tej cudownej libelulki.

Poszliśmy zatem wszyscy do poblizkiej olszynki. Rosły tam spore olchy błotne, o liściach ciemnych, połyskujących, piłkowanych. Pod niemi leżało pełno małych szyszeczek czarnych i twardych, niektóre zaś sterczały jeszcze na drzewach.

— Dlaczego tyle szyszeczek leży na ziemi pod olchami, wytłomacz nam to, Duszko! — prosił Staś.

— Szyszki olchy — powiedziała mama—dojrzewają na jesieni i powoli aż do wiosny, rozsiewają zawarte w nich nasionka. Skoro zaś je rozsieją, wówczas same opadają, co następuje na wiosnę, dopiero w maju.

— Aha! — zawołałem — więc szyszeczki te dopiero co opadły, a niektóre jeszcze się nie wysiały i pozostały na gałęziach. Jeśli rozumiem botanikę, matusiu, to szyszka

Olcha.

jest owocem; skoro zaś roślina ma owoc, to przedtem musiała mieć kwiat. Wnoszę zatem, że olchy kwitną.

— Ale kiedy i jak? — zapytał Staś.

— Olchy kwitną bardzo wczesną wiosną. Leszczyna wśród krzewów i olchy wśród drzew są roślinami najwcześniej u nas kwitnącemi. Nieraz kwitną już w połowie lutego. Na dworze zimno, nieraz mróz i śnieg leży okrywając ziemię grubym, białym kożuchem, a na nagich bezlistnych olchach wiszą baźki, czyli kotki, złożone z samych

kwiatów pręcikowych, pokrytych obfitym, żółtym pyłkiem. Gdy weźmiesz taką gałąź kwitnącą, to całą rękę obsypiesz sobie żółtym proszkiem, ale przekonasz się jednocześnie, że sterczą na niej jeszcze, zwrócone do góry, małe kłoski czerwonawe. Są to kwiaty słupkowe, które po zapyleniu przekształcą się na szyszeczki, czyli owocki. Te zaś stwardnieją z czasem, nasionka w nich dojrzewają, aż zaczną się wysypywać ku uciesze ptaszków, zwłaszcza czyżyków, które je uważają za wielki przysmak.

Kwiaty olchy.

— Nie pojmuję jednak, dlaczego rośliny te kwitną tak wcześnie i narażają swe kwiaty na zmarznięcie.

— Kwitną wówczas, gdy liści jeszcze nie mają, a wszystkie drzewa stoją nagie. Wszak olchy mają kwiaty dwojakie: pręcikowe i słupkowe; dla wydania zaś nasion trzeba koniecznie, aby kwiaty słupkowe zostały zapylone pyłkiem kwiatów pręcikowych. Jakże pyłek może tu wpaść na słupek? tylko na skrzydłach wiatru, bo owady, które bardzo często przenoszą pyłek z kwiatu na kwiatek, nie latają jeszcze wcale o tej wczesnej porze. Otóż wiatr porywa pyłek i przenosi z łatwością z kwiatu na kwiat, z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo, tembardziej, że liście, które mogłyby stać na przeszkodzie, nie rozwinęły się jeszcze. To też olchy, zarówno jak wszystkie drzewa kwitnące wczesną wiosną, przed dostaniem liści, są drzewami wiatropylnemi.

— W takim razie wierzby, których tu sporo rośnie, muszą być także wiatropylne, bo one wcześnie kwitną.

— Znacznie jednak później od olchy. Gdy olchy przekwitną, wierzby zamyślają dopiero o rozkwitaniu. Owady

już wówczas pokazują się. Zwłaszcza pszczoły, znęcone słodyczą baziek wierzbowych, wciąż latają od jednej wierzby do drugiej. One to roznoszą pyłek wierzbowy swemi łapkami, któremi czepiają się wszelkiego kwiecia. To też wierzba jest owadopylną, a nie wiatropylną jak olcha. Dodać muszę tę osobliwość wierzby, że kwiaty jej słup-

Kwiaty i bazki wierzby.

kowe siedzą na jednych drzewach, a pręcikowe na drugich. Takie rośliny zowiemy dwupiennemi. Na kwietniową niedzielę palmy są ozdobione u góry kiścią puszystych siwosrebrnych kotek wierzbowych. Śliczne są, gdy się rozwiną i rozpostrzą cały las żółtych pręcików z poza szarego swego futerka. Gałązki kwitnącej wierzby przy-

pominają nam zawsze ciepłe dni wiosenne i stąd pochodzi ich urok, ich poezja. Każdemu miło postawić na stoliku pęk takich rózek rozkwitłych. Łatwo je dostać można nawet w mieście, w sklepach ogrodniczych.

Świtezianka modra.

— Zapomniałaś widocznie, Duszko — rzekłem — że myśmy mieli takie gałązki z kotkami wierzbowemi. Trzymaliśmy je w wodzie, w słoju. Bazki kwitły, obsypując stół żółtym pyłkiem, ale nie wszystkie odrazu; jedne rozpoczynały rozkwitać, a drugie opadały.

— A ja pamiętam jeszcze, — dodał Staś — że gałązki te trzymane w słoju puszczały korzenie. Ot, tak, po prostu, z zielonej gałązki wysuwał się biały korzonek jak robaczek, a potem było ich coraz więcej, aż wreszcie zrobiło się ich bardzo dużo.

— Taką gałązkę można wsadzić w ziemię, a przyjmie się i wyrośnie z niej kiedyś duża wierzba.

— To znaczy chyba, — rzekłem — że wierzba nie jest wymagająca i łatwo się przyjmuje.

— Ależ naturalnie! Zauważcie tylko wiele tu wierzb rośnie nad Świdrem. Włościanie sadzą je, wtykając w ziemię gałązki wierzbowe. Jeśli tylko znajdą trochę wody, to się przyjmą i wyrosną z nich duże drzewa. U nas na Mazowszu, nad brzegami Wisły rośnie pełno wierzbiny. Rośnie ona jednak tylko na półkuli północnej, a zapuszcza się aż pod strefy podbiegunowe. Jest tam ona wprawdzie tak karłowata, tak mała, że wysokością nie przewyższa jednego cala.

Mięta.

Srebrnik.

— Stasiu siatki! prędzej siatki! widzę znów świteziankę! — wołałem biegając bezradnie z wielkiego wzruszenia.

— Spójrz, — wołał Staś – wiele ich tutaj fruwa! Moc!

Rzeczywiście! w pobliżu, nad pachnącemi krzaczkami mięty, żółtemi kwiatkami siwolistnego srebrnika i kęp-

kami niezabudek, patrzących na nas niebieskiemi oczkami, fruwało kilka rozmaitych ważek. Wkrótce miałem w siatce śliczną świteziankę modrą.

Był to owad prześliczny. Korpus cienki, wydłużony, ogromne oczy i prześliczne skrzydła przejrzyste, szafirowe. Cieszyłem się ze Stasiem z powodu szczęśliwego połowu; byłem jednak w niemałym kłopocie, gdy spostrzegłem, że zapomniałem wziąć z domu aparat.

— Nie martw się — rzekła mama, wyjmując go z kieszeni. — Wzięłam go, wiedząc, że ci będzie potrzebny.

Ucieszyłem się niezmiernie! że też Duszka o wszystkiem pamięta! Aparat ten służy do zatruwania owadów, bez zadawania im niepotrzebnych cierpień. Jest to poprostu szeroka rura z grubego szkła, na dnie której, za siateczką muślinową znajduje się wata napojona eterem. Wpuszczam znaleziony owad do tej rury, po czem szczelnie ją zamykam korkiem. Owad nawąchawszy się par eterowych zasypia, a jeśli go dłużej potrzymać w tej atmosferze, to się z tego snu już więcej nie budzi.

Aparat.

Wpuściłem więc moją piękną świteziankę do aparatu. Wkrótce zasnęła. My zaś przyglądaliśmy się jej do woli. Zauważyliśmy wówczas, że skrzydła jej nie są wcale całe lazurowe, że na każdem skrzydle jest tylko wielka szafirowa plama. Tułów zaś i odwłok są całe niebieskie.

Wkrótce puściłem się w pogoń za innemi świteziankami, które pląsały wesoło nad brzegiem wody, i szczęśliwie udało mi się schwytać prześliczną, z korpusem całym metalicznym, zielonym, a skrzydłami mieniącemi się zielono, brunatnemi. Na każdem skrzydle była biała plamka.

— Będziemy mieli dwa gatunki tych ślicznych ważek—wołał Staś uradowany.—Coprawda, szkoda mi ich, bo są cudne, wiotkie, poetyczne, tak zgrabnie bujają i plą-

sają nad wodą. Biedne, lepiej im było zataczać kręg inad Świdrem, niż dusić się w aparacie!

— O, niezawodnie! Mylisz się jednak Stasiu,—rzekła mama—sądząc, że macie dwa gatunki świtezianek. Szafirowa jest samczykiem, a zielona samiczką. Choć są powabne i poetyczne, nie przeszkadza im to być drapieżnemi okrutnikami. Spójrz na te mocne szczęki, na te wielkie oczy, znakomicie widzące co się dokoła dzieje! Jest to wielki łowca, myśliwy pierwszej marki, którego boją się owady, przed którym drżą muchy i komary, mdleją jętki i motylki. Gdy usiądzie na nadbrzeżnej roślinie, to nie po to napewno, aby się poić urokiem jej kwiatów, lecz aby się wygodnie zaczaić i znienacka rzucić na upatrzoną ofiarę. Widzimy więc dziś po raz drugi, do jakiego stopnia pozory są mylne. Przy ścisłych oględzinach znaleźliśmy kolce u cierników, krwiożercze szczęki u świtezianek. Prawdziwy charakter zwierzęcia, jego sposób życia i czucia musi koniecznie uzewnętrznić się w jego wyglądzie, bo zależnie od tego jak żyje, urabia się jego organizm. Inaczej jest uzbrojona bestja drapieżna, żyjąca z łowów, inaczej znów spokojne zwierzę roślinożerne.

Skójka.

Staś tymczasem pilnie coś oglądał w Świdrze. Zbliżyłem się zaciekawiony, co to być może. Staś przyglądał się kilku sporym mięczakom, które nawpół zakopane w piasku wylęgiwały się na słońcu w płytkiej wodzie.

— Są to właśnie skójki — powiedziała mama — należało się ich spodziewać w Świdrze, skoro są różanki. Jest to rodzaj małżów, czyli mięczaków dwuskorupowych,

bardzo u nas pospolitych w wodach słodkich. Obie połowy muszli mocno do siebie przystają, bo z jednej strony spojone są silnemi zawiasami. Wewnątrz zaś tego domku siedzi sama skójka. Lubi ona leżeć sobie tak właśnie jak teraz w piasku, nawpół zagrzebana. Roztworzy cokolwiek skorupki i czeka, aż jej woda przyniesie pokarm. Skoro jednak czuje cień choćby niebezpieczeństwa, wnet zatrzaskuje wejście do swego pokoiku i siedzi w swej fortecy, ufna, że jej nikt nie da rady. Istotnie, trudno jest rozerwać zaciśnięte połówki muszli skójki. Za to po jej śmierci otwierają się one same, gdyż mocne wiązadło zamykające je, przestaje funkcjonować, wtedy muszle opadają na dno wody.

Z podziwem patrzyliśmy, jak skójki zaczęły się posuwać po piasku, roztworzyły cokolwiek muszle, i wystawiwszy grubą nogę pełzały za jej pomocą po dnie. Staś wyciągnął jedną z nich do bliższego obejrzenia. Zauważyliśmy, że ich owalne skorupki były z wierzchu szorstkie i okryte jakby cienką błonką brunatnawo-zielonawą, prążkowaną. Mięczak miał tak silnie zaciśnięte skorupki, że nie sposób było je otworzyć i zajrzeć do wnętrza.

— Nie rozrywajcie jej—powiedziała mama—wypuśćcie ją na swobodę. Skoro zaś chcecie zobaczyć jak wygląda wnętrze skorupki, to poszukajcie pustych skorupek na piasku nadbrzeżnym, gdyż niezawodnie musi ich być tam dużo.

Istotnie, nie trzeba było długo szukać. Na piasku leżało mnóstwo kawałków skorupek, ale myśmy szukali całej, aż wreszcie znaleźliśmy ją. Wewnątrz była gładziutka, jasna, niby perłowa.

Byłem właśnie zajęty oglądaniem jej, gdy spostrzegłem niewielkiego, ślicznego ptaszka: sunął cichutko po piasku nadbrzeżnym, wciąż poruszając ogonkiem.

— Nie płosz go Stasiu, usiądźmy cichutko i przyglądajmy się mu.

— Jakiż on zgrabniutki!

— Ślicznie upierzony, popielaty z wierzchu, biały ze spodu, skrzydła i ogon czarne.

— Ogon długi i nogi dość wysokie.

— Że też się nie zmęczy tem ciągłem kiwaniem ogonka!

— A tak! wciąż nim zabawnie potrząsa!

— Jestto pliszka siwa — powiedziała mama — gnieżdżąca się w pobliżu wody, w krzakach lub szczelinach. Śliczny to ptaszek! i pożyteczny, bo zawzięcie niszczy owady. Ale, chodźmy już chłopcy do domu, bo czas na obiad, i tak obawiam się, że się spóźnimy.

Pliszka siwa.

— Matuś! kochana matuś! — prosił Staś — jeszcze troszeczkę, parę minut chociaż! Pozwól mi zapuścić sieć i przynieść parę rybek do domu! Będę je starannie hodował, dwa razy dziennie wodę im zmienię, karmić będę sumiennie. Może mi się uda dobrze je chować.

Mama pozwoliła, a Staś zapuścił sieć; prowadził ją parę minut pod wodą, wreszcie wyciągnął. Było kilka rybek: jeden ciernik, któregośmy wrzucili napowrót do

Świdra, z obawy, aby nam innych rybek nie pokaleczył, trzy ślizy i dwie różanki, które zabraliśmy do domu.

Na akwarjum wzięliśmy duży słój od konfitur. Wysypaliśmy go piaskiem, przyniesionym ze Świdra, naleliśmy wody rzecznej i puściliśmy w nią rybki. Akwarjum to postawiliśmy na werandzie, w miejscu ocienionym, aby rybkom słońce zanadto nie przygrzewało a powietrza żeby miały dość.

Mama wątpiła, czy się nam hodowla uda, a w każdym razie radziła wpuścić do słoja trochę roślin wodnych, które są koniecznie potrzebne rybkom do życia. Rzecz się tak ma: ryby oddychają powietrzem rozpuszczonem w wodzie, a wydychają gaz węglowy, jak wszystkie zwierzęta, ale ten gaz jest dla nich szkodliwy. Rośliny zaś chciwie wybierają gaz węglowy i żywią się nim. Oczyszczają zatem rybkom wodę z paskudnego gazu, któryby je mógł zatruć.

Tymczasem tatuś przyjechał z Warszawy i przywiózł cztery sznury do kołobiegu, który kazał nam postawić w ogrodzie jeszcze na wiosnę. Toż to była radość! Biegaliśmy do wieczora. Jakże to miło, podskakiwać wysoko, lecieć, bujać po przestworzu! Odbijam się od ziemi wyprężywszy sznur, znów podskakuję, puszczam się całym pędem, lecę wysoko, zdaje mi się, że fruwam, oddecham całemi piersiami, a ruch ten zawrotny upaja mnie.

Niebezpieczeństwa niema żadnego. Babunia bała się, aby który z nas nie uderzył głową o słup. Trzeba jednak pilnować, aby się sznury nie poplątały, gdyż w takim razie nie trudno o wypadek.

Wieczorem urządziliśmy polowanie na chrabąszcze majowe. Było ich już niewiele, ale że to wielkie szkodniki, więc rodzice polecili nam je chwytać. Uganialiśmy się za niemi z siatkami i coś ze dwadzieścia sztuk od-

daliśmy stróżowi, który miał je stracić. Szkoda mi ich było! miły to bowiem żuk, ten chrabąszcz majowy! Może dlatego właśnie, że majowy, że jego huczenie słyszeć się daje w śliczne wieczory majowe, takie jak dziś: ciepłe, wonne, upajające! I gdyby nie to, że pędraki chrabąszcza przez trzy lata objadają korzenie roślin, nigdybym nie wydał ich na śmierć. Pędraki jednak sieją zniszczenie

Chrabąszcz majowy.

Pędrak.

wiele roślin usycha przez nie, a my bardzo dbamy o nasz ogródek, który tyle pracy kosztował, i który rodzice tak bardzo kochają, bo sami go wyhodowali. Nie ma więc rady, miły panie chrabąszczu, musisz ginąć, boś szkodnik i żałować cię nie powinienem wcale.

A jednak żałuję!

III.

Wylęgnięcie się pazia królowej. Wycieczka do lasu. Sosna. Jałowiec. Jeżyny. Borówki. Porosty. Liszki barczatki sosnówki. Kobuz i kukułka. Kornik. Cytyniak. Prządka jeżynówka. Zaginione dziecko. Mrowisko. Krokiet.

Nie umiem wypowiedzieć jaką miałem dziś rano uciechę. Mieliśmy w hodowli poczwarkę, którą Staś znalazł, gdyśmy przyjechali do Józefowa. Poczwarka ta była

zielona w ciemniejsze prążki i wykonywała zabawne ruchy. Uwiązaliśmy ją na nitce w hodowli, aby sobie wisiała tak jak na płocie, na którym Staś ją znalazł.

Mamy porządną i sporą hodowlę. Jestto skrzynka, której ściany i wierzch są zrobione z cienkiej siatki metalicznej, oprawnej w drewniane ramy. Tym sposobem w hodowli jest dość światła i powietrza, bez których żadne zwierzę istnieć nie może. Dno jest drewniane, wyłożone blachą, a drzwiczki szklane. Na dno hodowli sypiemy piasku, a służy ona do hodowania liszek lub poczwarek.

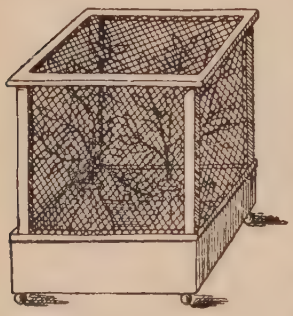

Hodowla.

Zawiesiliśmy więc naszą poczwarkę na nitce, bo trzeba koniecznie nadać jej takie położenie, jakie miała na swobodzie. Codzień oglądaliśmy ją, bacząc uważnie, czy się nie zmienia. A tu dziś rano, gdy wyskoczywszy z łóżka pobiegłem oglądać hodowlę, patrzę! siedzi sobie śliczny motyl! Trzyma się łapkami siatki metalicznej rozpostartej na dachu skrzynki i ani drgnie! Zawołałem zaraz Stasia, który jeszcze spał, ale skoro się dowiedział, że wylągł się nam motyl, zerwał się i pobiegł go obejrzeć.

Odrazu poznaliśmy, że był to paź królowej, śliczny motyl, choć u nas pospolity. Poznaliśmy go po tem, że miał tylne skrzydła ogoniaste. Ogonki te są szafirowe, przytem na tylnich skrzydłach są piękne, szafirowe obwódki, ozdobione jeszcze oczkiem, czyli okrągłą plamą czerwonawą. Cały zaś motyl jest koloru słomkowego w czarne prążki, duży, zgrabny, uroczy. Gdyśmy się nim zachwycali, nadeszła mama. Ucieszyła się, skoro zobaczyła tak ślicznego motyla.

— Połączmy przyjemne z pożytecznem — rzekła — i przyjrzyjmy się bliżej pięknemu temu okazowi. Prze-

dewszystkiem zauważmy, że ciało tego motyla składa się z trzech wyraźnych części: głowy, tułowia i odwłoka. Głowa jest mała...

— Ale siedzą na niej duże oczy — rzekł Staś.

— Ogromne! gdybyś mógł je zbadać przez szkła powiększające, zdziwiłbyś się dopiero, spostrzegłszy, że każde oko motyla składa się z mnóstwa małych oczek.

Paź królowej.

— Matuś żartuje! — po co tyle ócz jednemu zwierzakowi?

— Nie, ja nie żartuję, wszystkie owady mają oczy złożone z wielu ócz drobnych, zwróconych na wszystkie strony, które razem wzięte tworzą oko wielkie, patrzące jednocześnie w górę, w dół, w prawo i lewo.

— Ach!—zawołałem—to dlatego zapewne nie można muchy złapać od tyłu!

— Bo ona z tyłu widzi, tak jak i z przodu — śmiał się Staś.

— Nieinaczej. Stanowi to dla owadów niemałą korzyść, gdyż z tego powodu nie dają się tak łatwo upolować, a same łatwo dopatrzą zdobyczy. Wprawdzie ten tu paź królowej nie jest myśliwym i za zdobyczą się nie ugania, ale dobre oczy zawsze mu przynoszą dużą korzyść. Jest on amatorem słodyczy i wypija ją z dna kielichów kwiatowych.

— Jakże on może wejść do środka kwiatów, moja mamo, kiedy sam jest od nich większy?

— To też on tego nie robi. Pyszczek jego jest wydłużony w cienką trąbkę i tę zapuszczą do głębi kwiatów.

— Ja widzę dwie trąbki — rzekł Staś — jedną z prawej, drugą z lewej strony.

— To są rożki, które służą do dotykania, trąbka bowiem jest jedna i gdy motyl nie ssie, to zwija ją tak, że trudno ją dojrzeć. Tułów — ciągnęła mama dalej — jest z tego powodu ważny, że wyrastają z niego skrzydła i nogi.

— Sześć nóg, czyli trzy pary! wiem o tem dobrze — chwalił się Staś — wszystkie owady mają sześć nóg.

— A skrzydeł motyle mają dwie pary...

— Wszystkie zapewne owady skrzydlate — przerwał Staś — mają zawsze po dwie pary skrzydeł, nie tylko motyle!

— A muchy? — zapytała mama?

— Prawda! mają tylko dwa skrzydła.

— I dlatego zowią je owadami dwuskrzydłemi. Otóż motyl ma dwie pary skrzydeł: przednie zwykle większe, tylnie mniejsze. Są one różnie zabarwione, ale przednie jednakowo i tylnie jednakowo.

— A dlaczego to — pytałem — zowią motyle łuskoskrzydłemi?

— Jeśli będziesz badał skrzydło motyla pod szkłem powiększającem, to zobaczysz, że jest ono całe pokryte malutkiemi łuskami, ułożonemi jak łuski na rybie, lub dachówki na dachu. Te właśnie łuseczki są zabarwione na różne kolory. Można je zetrzeć, wówczas zobaczymy pod niemi bezbarwną błonę, poprzerzynaną w różne strony żyłkami. Taki motyl „otrzepany", niema dla zbiorów żadnej wartości. Z tego to powodu wasza siatka na motyle jest zrobiona z cienkiej gazy jedwabnej, która nie uszkodzi skrzydeł. Najpiękniejsze zaś są motyle wyhodowane, tak jak ten paź, który niema ani śladu uszkodzenia, bo dopiero się narodził.

— Ależ patrzcie! co się stało z poczwarki, skórka jej zeschnięta wisi na nitce, rozdarta! tędy musiał się wydostać nasz paź!

— Możecie ją schować na pamiątkę—rzekła mama.— Ale co zrobimy z paziem?

— Będziemy go hodowali!

— Dajmy mu pożyć!

— A potem? weźmiecie do zbiorów?

— Naturalnie! skoro taki śliczny!

— Gdyby się wylągł o godzinę lub dwie później — powiedziała mama—niebyłby napewno taki śliczny.

Spojrzeliśmy obaj ze zdziwieniem na mamę, i jednocześnie zapytaliśmy:

— Dlaczego?

— Motyl, który się ma wykluć z poczwarki, niema rozwiniętych skrzydeł. Są one złożone w kilkoro, małe i wiotkie. Skoro skórka poczwarcza pęknie i motyl wyjdzie na świat, wówczas siada i przedewszystkiem rozprostowywuje skrzydła, a potem rusza niemi, trzepie i wachluje dość długi przeciąg czasu.

— Bo mu zdrętwiały w ciasnocie, nieprawdaż?— pytał Staś.

— Nie dlatego że mu zdrętwiały, ale na to, aby powietrza napuścić w żyłki przerzynające skrzydła. Motyl, jak mówią, pompuje skrzydła. Pod tym działaniem nabierają one mocy, rosną, powiększają się, sztywnieją, aż wreszcie, rozpostarłszy je w całej okazałości motyl wyfruwa użyć świata.

— Nie pojmuję tylko—rzekłem—dlaczego nie mógłby tego zrobić o parę godzin później?

— Żeby jednak skrzydła dobrze napompować, musi mieć motyl zupełny spokój: skoro się czegoś nastraszy, wówczas wszystko przepadło. Skrzydła pozostaną na zawsze nierozwinięte, pokurczone i biedny motyl wcale

nie będzie mógł fruwać i rozkoszować się bujaniem po powietrzu, jak inni jego bracia. Wkrótce też zginie marnie nie zaznawszy żadnej przyjemności w życiu. Otóż, gdyby się ten paź później narodził, przestraszyłby się niezawodnie gwarem, który robicie obudziwszy się z rana, okrzykami radości waszej, wesołemi waszemi śpiewkami. I byłby z niego kaleka!

— No, no, no! że też od krzyknięcia można okaleczeć!— śmiał się Staś — nielada delikacik ten pan motyl, nie byle czułek!

Pozostawiliśmy więc pazia w hodowli, naznosiliśmy mu liści i kwiatów, aby trochę pożył, choć na uwięzi. My zaś będziemy go obserwowali, — a potem... pójdzie biedak do aparatu! Jego piękność jest w danym razie jego nieszczęściem!

Po śniadaniu poszliśmy z mamą na spacer do lasu i zabraliśmy dla bezpieczeństwa stróża Stanisława. Stanisław zaś wziął z sobą fuzję. My wzięliśmy z sobą siatkę na motyle, aparat z eterem, blaszaną puszkę na rośliny i parę pudełeczek; one zawsze się przydadzą: czy znajdziesz żuczka jakiegoś, czy jakąś liszkę, wpuścisz je do pudełka, schowasz do kieszeni i po wszystkiem. Pudełeczko trzeba jednak koniecznie przedziurawić szpilką, aby ówad miał dość powietrza do oddychania.

Cały las Józefowski jest kolący: same sosny! Gdzieniegdzie tylko od ciemnej zieloności sosen odbijają białe kory brzóz i jasne ich liście. Miejscami rosną dębczaki, ale takie marne! karłowate! bo na tej lichej ziemi rosnąć dobrze nie mogą. Sosny za to śliczne, pachnące, stare— wysokie, z nagim pniem i koroną liści na głowie; młode—niższe, jaśniejsze, rozgałęzione od dołu choinki.

— Choina rozgałęzia się od samego dołu jak świerk— mówiła mama — w miarę jednak tego jak się lasek chojaków rozrasta, gałęziom dolnym zaczyna być ciemno,

Las sosnowy.

światło nie dochodzi do nich w ilości dostatecznej. Cierpią na tem przedewszystkiem liście, czyli igły i opadają;

potem gałęzie dolne kruszeją powoli, schną i byle wiatr je łamie. Tym sposobem tworzą się sosny z nagim pniem i koroną liści na górze. Takie sosny zowią się gonne albo masztowe: pień bowiem strzela prosto w niebo, nie rozwidla się nigdzie aż do samego szczytu. Dlatego to, takie bardzo wysokie, dochodzące do stu stóp drzewa ścinają na maszty do okrętów.

— Pomyślcie sobie—rzekłem — że sosny wyrosłe na naszym polskim piachu, najeździły się jako maszty po różnych morzach, zwiedziły rozliczne kraje, napatrzyły się na rozmaite ludy.

— Szkoda ich—rzekł Staś—lepiej im było rosnąć na ojczystym gruncie.

— A ileż to wichury połamały, burze zatopiły! ile ich potrzaskanych leży na dnie dalekich oceanów, lub na obcych wybrzeżach!

— Zauważcie, że las sosnowy jest bardzo jednostajny: albo młody zagajnik złożony z choinek, albo bór, w którym wszystkie drzewa są do siebie podobne jak rodzeństwo. Wszystkie rosną jednakowo! do tej jednostajności przyczynia się niemało to, że sosny rosną okółkami. Przyjrzyjmy się ot np. tej młodej choince. Zauważcie, że na jej pniu, w określonych miejscach rosną gałęzie okółkiem po pięć. Ot tu, u samego dołu, wyrasta dokoła pnia, jakby z jednej obrączki po pięć gałęzi... i tak aż do samej góry. Co roku wyrasta jeden okółek. Tym sposobem można przeliczyć lata każdej choiny. Wiele okółków, tyle lat.

— Wcale wesoła zabawka — wołał Staś — będziemy obliczali sobie dla rozrywki wiek choinek! Ot ta ma sześć okółków, a zatem sześć lat. Ta siedem! Ta cztery! Ale jak sobie ręce pokłułem przy tej zabawie! Bo też te paskudne igły porządnie kłują!

— Dlatego zowiemy sosnę drzewem iglastem — powiedziała mama;— igły te są liśćmi sosny. Wyrasta ich zawsze po dwa ze wspólnej jakby tuteczki.

— Wiem, wiem — powiedziałem — liście te są tem szczególniejsze, że nigdy nie opadają, a sosna jest dlatego wiecznie zielona.

— To jest prawda — rzekła mama — że sosna jest wiecznie zielona, mylisz się jednak, twierdząc, że liście jej nie opadają.

— Gdyby opadły, to sosna nie byłaby ciągle zieloną.

— Otóż, można pogodzić oba te twierdzenia. Igły opadają, ale nie wszystkie jednocześnie, oblatują po trochę, bo trwają nie rok, a lat kilka. Tym sposobem sosna nie jest nigdy ogołocona, a jednak liście traci.

— Niegodziwa jesteś, sosenko—wołał Staś wesoło,— żeś mię tak pokłuła, gdym chciał zbadać tajemnicę twoich lat, a jednak tak cię lubię, tak cię kocham serdecznie, milszą mi jesteś od wszelkich „mahoni, aloesów, cyprysów", rosnących na wschodzie i na południu.

— O tak! — zawołałem z zapałem — boś nasza, boś poczciwa, bo rośniesz na naszym marnym piachu i dobrze ci u nas:

Mieszkanko boru, uboga sosno!
Skąd twe konary tak dzielnie rosną,
Że śmiesz unosić w obszar nieścigły
Czoło, ostremi zjeżone igły?
Powiedz, co to tobie miłość mą jedna?
To, żeś bezbarwna, żeś taka biedna,
A przecież w górę spoglądasz śmiało,
Jak ubogiemu patrzeć przystało!
Zielona sosno! za toś mi droga,
Że pierś twa nie zna, co znój, co trwoga;
Gdy wiatr pogwizdem zamieć ci wróży,
Wytrwale czoło nadstawiasz burzy.
Choć biedna, w szarej odziana korze,
Rychlej grom jednak pierś twą rozporze,
Niż twe ku ziemi nagnie ramiona,
Zielona sosno, siostro rodzona!...

— Otóż to właśnie! sosna jest naszą rodzoną siostrą—śmiał się Staś—kochaną siostrzyczką!

— Poeta Staff—rzekłem—nazywa ją również siostrą, w tym ślicznym ale smutnym wierszu o sośnie, z którego pamiętam tylko ten wyjątek:

Sosno! sosno!
Hardość jest w twoim głuchym szumie,
Hardość boleści zaciętej w swej dumie,
Hardość gnębionych dusz!
Boś ty północy córą, siostro sosno,
I twe siotrzyce i ja!
Dzikość gór ciemnych jest w twym głuchym szumie,
Surowa dzikość odwiecznych puszcz leśnych
Dawno zrąbanych.
Może wspomnienia twych ojców
I myśl, że jesteś samotna
Napawa cię bólem?
Siostro sosno, sosno samotna
Patrz! ukołysać chciałem twój smutek,
Ukoić chciałem twój żal,
A teraz płaczę wraz z tobą....

— Dobrze ci jest u nas siostro sosno — rzekła mama, bo wytrzymałą jesteś na silne mrozy, liście masz twarde, sztywne, nie bojące się zimna. Nie opadają one przed zimą i przez to karmić cię mogą okrągluteńki rok, a ty sama nie zasypiasz snem zimowym nie odpoczywasz przez zimę jak krewniacy twoi, drzewa liściaste, czuwasz cały rok, soki twe wciąż krążą, nie znasz co wytchnienie.

— Nie rozumiem — powiedział Staś — dlaczego sosna nie mogłaby sobie spać zimą?

— A ja rozumiem — rzekłem — nie zasypia, bo liście jej nie opadają.

— Więc drzewa liściaste dlatego zasypiają na zimę, że tracą liście?

— Naturalnie, bo liście służą do oddychania i dostarczają prócz tego drzewom pokarmu, który wyciągają z powietrza, mianowicie tego gazu... jakże się on nazywa? tego, co my go wydychamy.

— Gazu węglowego—rzekła mama.

— Ale zostaje im korzeń—odpowiedział Staś—który ssie pokarm z ziemi.

— Zimą, mało pokarmu znaleść mogą w zmarzniętej glebie, a liście są delikatne, nie znoszą mrozu i oblatują przed nastaniem zimy. Drzewo nie ma czem się karmić więc zasypia, soki przestają w nim krążyć i w takim odrętwieniu spędza całą zimę. Wiele zwierząt spędza zimę także w śnie i bez pokarmu. Dopiero na wiosnę, razem z ciepłem słonecznem budzi się życie w drzewach, gleba rozmarza, więc korzenie ciągną z niej soki, ukazują się wówczas drobne listeczki i drzewo zaczyna żyć całą pełnią. Z sosną jest inaczej. Ponieważ liście jej są wytrzymałe, więc całą zimę karmią ją i ona nie ma potrzeby zasypiać.

— A korzeń, proszę mamy? wszak nie może funkcjonować zimą, w zamarzniętej glebie, nieprawdaż?

— Korzeń sosny sięga bardzo głęboko i dlatego odżywia się ona także zimą. Korzeń jej jest nietylko bardzo długi i głęboko sięgający, gdyż sosna bardzo szeroko rozkłada swe korzenie, szukając daleko pokarmu. Zapewne, temu rozłożystemu i głębokiemu korzeniowi zawdzięcza ona możność rozwijania się na jałowych piaskach, „A korzeńmi bez miary żółty piasek wysysa", mówi słusznie poeta. W miarę jednak tego, jak się sosny zasiewają, grunt staje się żyźniejszy. Przedewszystkiem dlatego, że szeroko rozpostarte korzenie zatrzymują lotny piasek, umocowują go na miejscu, przytem igły opadające użyźniają go i dostarczają nieco wilgoci, nie dozwalając piaskom tak prędko wysychać. Oprócz tego w lesie zjawiają się zaraz inne rośliny, podtrzymujące wilgoć, jak jagody i mchy.

— Szkoda wielka—rzekłem—że w naszym lesie nie ma jagód. Byłoby bardzo przyjemnie zbierać je do dzbanuszka.

— Właśnie, że są—zawołał Staś—ot patrz! co tu ich rośnie! tylko, że teraz zabierają się do kwitnięcia, ale po listkach można odrazu poznać, że to są jagody.

— Jestto rodzaj borówek — rzekła mama — zupełnie niesmaczny, zwany mącznicami. Jagody te nie są soczyste, a mączaste, ale do złudzenia podobne do prawdziwych borówek.

Mącznica.

— Są tu także maliny, matusiu! te oto krzaki mają liście takie, jak maliny, powycinane i siwe od spodu.

— To nie są również prawdziwe maliny, a jeżyny, podobne z wyglądu do malin, tylko, że czarne. Owoce zaś, nie są tak smaczne i nie posiadają aromatu właściwego malinom.

W tej chwili spostrzegłem dużego ptaka, który unosił się nad poblizką polanką.

— Stanisławie!— zawołałem—macie fuzję! patrzcie! oto jastrząb! strzelcie do niego, bo nielada z niego szkodnik.

Jeżyna.

— Nie jastrząb — rzekł Stanisław — a pewnikiem sokół.

Pobiegłem za nim na polankę, zaczaił się za krzakiem, wycelował i strzał huknął. Daremnie jednak! ptak prawdopodobnie postrzelony, poleciał na inne, dalsze drzewo i usiadł na wierzchołku sosny. Znowu strzał huknął. Tym razem był on celny: ujrzałem spadającego z gałęzi ptaka.

— Dostał! — zawołał Stanisław, dumny z celności strzału.

Nadeszła mama, przybiegł Staś. Wszyscyśmy się schylili nad zastrzelonym ptakiem.

— Jakem rzekł: to sokół! — powiedział Stanisław — nie żal go, bo tępi drobne ptactwo.

Mnie jednak na widok tego pięknego ptaka, któremu oczy zachodziły mgłą, tak ścisnęło się serce, żem się omal nie rozpłakał. Stasiowi na dobre łzy się w oczach kręciły. Całe szczęście, że strzał padł tak szczęśliwie, że ptak został zabity bez rozlewu krwi. Nigdzie nie było ani kropli krwi. Zapanowałem jednak nad wzruszeniem i zabrałem się do oglądania ptaka. Po ostrych szponach i zakrzywionym, mocnym dziobie znać było odrazu drapieżnika. Podgardle miał żółtawe, wierzch ciała brązowy, pierś brązową jasno-prążkowaną, a spód skrzydeł i ogona brązowy w żółtawe kropki. Nie wiedzieliśmy jednak na pewno, co to za ptak.

Sokół kobuz.

— Musi to być zapewne sokół—powiedziała mama—tak, jak go określił Stanisław. Sądząc po upierzeniu i po tem, żeśmy go spotkali na brzegu lasu, przypuszczam, że jest to sokół kobuz, wielki amator skowronków. Skoro jednak wrócimy do domu, będziemy mogli zaraz to sprawdzić w atlasie ptaków B. Dyakowskiego.

— Co ja znalazłem! co ja mam!—zawołał Staś—zbierając coś na młodej choinie.

Zaciekawiony pobiegłem do niego, i zobaczyłem na choinie wielkie, wspaniałe szare liszki, włochate, z dwoma szafirowemi przepaskami i kępką włosów na odwłoku.

— Zabierz je—zawołałem—razem z gałęzią i wpuść do puszki. Bacz, aby nie uszkodzić!

— Ależ naturalnie! będziemy je hodowali! ciekawym, co się z nich wylęgnie?

Liszka barczatki.

— Są to liszki pospolitej w borach sosnowych ćmy, zwanej barczatką sosnówką - rzekła mama. Liszki te dadzą się pysznie hodować, potem zasnują się przędzą i w postaci poczwarki zasnutej, czyli kokonu, przeleżą czas jakiś, aż wreszcie wyfruną z nich ćmy.

Wzięliśmy zatem liszki do puszki, w zamiarze wpuszczenia następnie do hodowli i chowania ich na świeżych gałązkach sośniny.

Barczatka sosnówka.

— Popatrz Stasiu!—zawołałem—jak ten chojak jest obgryziony przez liszki; miejscami sterczą nagie gałęzie.

— O, tak!—zawołała mama—liszki te są wielkiemi szkodnicami, a gdy się ich znajdzie wiele, mogą w lesie spowodować znaczne szkody. Są to szkodniki, które zawzięcie tępić trzeba, bo nieraz niszczą całe lasy na wielkich przestrzeniach.

Spostrzegliśmy z przykrością, że w zagajniku było dużo choinek zeszpeconych przez te wielkie a żarłoczne liszki.

— Niema stworzenia bardziej żarłocznego nad liszkę—mówiła mama.—Cały dzień je, ale tylko pewien pokarm wybrany. Te, na przykład, objadają sosnę. Czasem jedzą kilka gatunków roślin. To też hodując, trzeba baczyć, aby im dawać tylko pokarm właściwy. Gdy zgrubieją, zaczyna im wówczas być ciasno we własnej skórze. Wreszcie skóra pęka i liszka wyłazi z niej jak ze starego, ciasnego ubrania, ubrana w nową, obszerniejszą skórę. Takie linienie powtarza się kilka razy, zanim liszka dojdzie do właściwej wielkości. Wówczas osnuwa się przędzą i zamienia w kokon, — albo zawisa na cieniutkiej nitce przez nią samą uprzędzionej, lub zakopuje się w ziemię i przekształca się w poczwarkę. Z poczwarki zaś lub kokonu wylatuje, jak wiecie, dorosły motyl.

Prządka jeżynówka.

Oglądałem właśnie pilnie korę na pniach sosen, gdy zauważyłem przyczajoną na jednym pniu ćmę brunatną, zlewającą się kolorem z barwą kory.

— Stasiu!—zawołałem—mam ćmę! dawaj siatkę!

— Ależ nie potrzeba tu wcale siatki! Strącisz ją poprostu odrazu do aparatu! Ona tak mocno śpi, że nie spłoszy się wcale.

Istotnie, strąciłem ją delikatnie patyczkiem do aparatu. Zatrzepotała się, przebudzona zapachem eteru. Była to prządka jeżynówka, zwana tak dla tego, że jej gąsienica aksamitno-brunatna przebywa chętnie na liściach jeżyn. Sama ćma jest bardzo ładna: brązowa, z dwoma jasnemi paskami na przednich skrzydłach. Rożki jej są prześliczne, jak małe pióreczka.

— Ależ tu obok siedzi druga! — zawołał Staś.

Istotnie, obok była druga ćma, zupełnie podobna do pierwszej, ale bardziej szara, cokolwiek większa i z rożkami jak małe szczecinki,

— Pierwsza jest samczykiem—rzekła mama—a druga samiczką. Trzeba zabrać je obie, gdyż w zbiorach najlepiej jest mieć wszystkie okazy po parze.

— Myślałem, że samczyk i samiczka są jednakowe?

— Nie! — powiedziała mama — samiczka jest zwykle większa, odwłok ma bardzo gruby, bo napełniony jajami. Samczyk zaś jest zwinniejszy, smuklejszy i zwykle żywiej zabarwiony. Jednak warto odłupać tę korę, ja w niej widzę coś ciekawego!

Wyjąłem scyzoryk i odłupałem duży i gruby kawałek kory. Była ona od wnętrza cała porysowana w drobne kanaliki.

— Co w tem może być ciekawego? Jakaś podgniła kora i basta!

— Popatrz! drewno pod korą także jest porysowane kanalikami. Ale co tu! w jednem zagłębieniu siedzi mały, czarny chrząszczyk! Już wiem! najpewniej on mieszka tutaj i buduje taki domek!

— Jestto kornik — rzekła mama. — Mały ten żuczek składa swe jaja pod korę drzew iglastych. Z jajek tych wylęgają się liszki czyli larwy. One to toczą drzewo i żywią się niem.

— To muszą być szkodliwe!

— Nawet bardzo. Gdy się dużo rozmnoży kornikόw, to drzewo choruje, traci igły, wreszcie usycha.

— Oh! teraz widzę, do jakiego stopnia ta sosna zżółkła. I to sprawka tych małych, niepozornych żuczków!

— W jednem drzewie bywa ich tysiące!

— To podłe bestyjki!

— One także muszą żyć! a inaczej żyć nie mogą, tylko tocząc sosny. My ich nie lubimy, bo sympatje nasze zwracamy ku drzewom. Gdy jednak szerzej spojrzymy na przyrodę, to zauważymy, że wszelkie stworzenia chcą koniecznie żyć i szukają dla siebie i potomstwa wygodnych warunków do życia. Przykro pomyśleć, że dzieje się to często kosztem innych,—ale zżyć się z tem trzeba, bo tak jest na świecie. Z pobłażaniem powinniśmy patrzeć na twardą walkę o byt, jak mówią przyrodnicy, bacząc jednak, aby nie naśladować moralności zwierzęcej...

Kornik.

— A dlaczego proszę mamy?

— Bo ludzie są rozumni i poznawszy surowe prawa przyrody nie powinni przenosić ich do swego społeczeństwa w całej ich spiżowej twardości. Myśmy powinni się starać o złagodzenie twardej walki o byt, powinniśmy zaprowadzić więcej łagodności, więcej sprawiedliwości w stosunkach z innymi ludźmi, powinniśmy mieć na oku nie tylko siebie, ale innych współbraci, a nawet, o ile możności, pomagać im.

W tej chwili wielki ptak, jak gołąb, przeleciał przez polankę i usiadł w pobliżu na sośnie. Stanisław nie namyślając się wypalił. Biedny ptak zatrzepotał skrzydłami, przefrunął jeszcze kilka kroków i padł martwy na murawę.

— Dlaczego Stanisław strzelił? — zawołałem — toż to nasza kochana kukułka! szkoda jej!

Kukułka.

— Nie wiedziałem — odrzekł Stanisław — myślałem, że znów jakiś sokół.

— Co za szkoda! — biadał Staś, ze łzami w oczach — taka śliczna, taka prześliczna ptaszyna! Czy to tylko naprawdę kukułka? bo widziałem ją kiedyś wypchaną, ale bardziej rudą, nie tak ślicznie szarą jak ta, z takim cudnie białym puchem w szare centki na piersiach i szarym ogonem w białe kropki.

— Samiczka jest bardziej rdzawa — dodała mama — a samczyk popielaty. Szkoda jej, bo to ptak pożyteczny. Karmi się liszkami włochatemi, których inne ptaki nie jedzą. Ona więc jedna je tępi i strzeże lasu przed ich żarłocznością.

— A ja jej nie lubię — powiedział Staś — choć jest śliczna i pożyteczna, gdyż jest niedobrą matką. Nie chcę się jej własnych jajeczek wysiadywać, bo to nudna praca, i dlatego podrzuca je innym ptakom.

— Zwłaszcza rudzikom, słowikom, pliszkom i innym ptakom owadożernym.

— Znanym ze swej wielkiej dobroci dla piskląt, nawet obcych.

— Więc zawsze i ona myśli o tem—rzekła mama— aby jej pisklętom było dobrze. Pierwszy raz widzę kukułkę zblizka, bo choć jej kukanie przywykliśmy słyszeć od dzieciństwa, to jednak mało komu pokazać się lubi! Jestto ptak dziki, i trudno daje się podpatrzeć. Ale co my zrobimy z temi dwoma ptakami zastrzelonemi przez Stanisława? Biedne ptaszyny, ani przypuszczały, że przyjdzie im dziś rozstać się z tym lasem, gdzie żyły tak szczęśliwie!

— Wiem matuś, co z niemi zrobić. Dajmy je do wypchania. Trzeba je zawieźć do Warszawy i odnieść do Łastowskiego. Bo i cóż zrobić z niemi, skoro nie żyją! niech pójdą przynajmniej do naszych zbiorów.

Mama się zgodziła, i oba ptaki zostały wysłane jeszcze tegoż dnia do wypchania.

Tymczasem posłyszałem z daleka płacz dziecięcy. Zaciekawiony pobiegłem poszukać, co to mogło być. Mama poszła także szukać, a Staś za nią. Wreszcie, spostrzegliśmy pod krzakiem jałowca małego, może czteroletniego chłopczyka, który płakał zawzięcie i pocierał brudnemi rączkami czerwone oczęta.

— Skąd się wziąłeś? coś za jeden? gdzie mama? jak się nazywasz? — posypały się pytania na wszystkie strony.

Ubrany był dostatnio ale brudno i niewiele mogliśmy się od niego dowiedzieć. Zrozumieliśmy tylko, że mieszka w Falenicy i że go zgubiono na spacerze w lesie. Chciał sam do domu trafić, ale widocznie poszedł w złym kierunku i jeszcze bardziej zabłądził.

Zabraliśmy chłopczyka ze sobą, dziwiąc się co niemiara rodzicom, którzy dzieci gubią na spacerze.

Na jałowcu, pod którym siedział zagubiony chłopczyk, unosił się śliczny, nieduży motylek szaro-brunatny ze złotemi plamami na skrzydłach. Wkrótce znalazł się i on w naszym aparacie.

— To cetyniak— rzekła mama — wielki szkodnik lasów sosnowych, bo gąsiennica jego, podobnie jak barczatki sosnówki, żywi się igłami sosnowemi. Jestto motyl nocny, ale lata czasem i w dzień.

— Że też są amatorzy kłujących igieł! nigdybym nie przypuszczał, aby były stworzenia żyjące tem, bo przecież to niedobre!

Cetyniak.

— Jest ich znacznie jeszcze więcej i wkrótce mam nadzieję, zapoznamy się z niemi bliżej. Jałowiec zaś, który tu widzicie, jest krzewem iglastym bardzo pospolitym.

— Och! jest ich mnóstwo w lesie! ale one szyszek nie mają, tylko jagódki ciemnogranatowe, podobne do czarnych jagód.

— A tak, i tem się różnią od innych iglastych, które mają owoce w postaci szyszek.

— Ale chodźmy już do domu—dodała mama — i zabierzmy wszystkie nasze dzisiejsze zdobycze.

— Nie wyłączając zagubionego chłopczyka! — zawołał wesoło Staś.

Po drodze spostrzegliśmy pod wysoką sosną wielkie mrowisko. W żadnych lasach niema tak wielkich mrowisk jak w sosnowych, bo igły stanowią dla mrówek znakomity materjał budowlany. Całe szeregi robotnic wydeptanemi ścieżkami niosły igły. Biada temu, ktoby nie zauważywszy usiadł na takiej dróżce! Obsiadłyby go i pogryzły mocnemi szczękami i oparzyły ostrym kwasem, który wypuszczają z odwłoka. Całe wojsko mrówek kroczyło ze wszystkich stron do mrowiska dźwigając ciężary. Na mrowisku zaś, leżała w słońcu moc sporych, białych jajeczek.

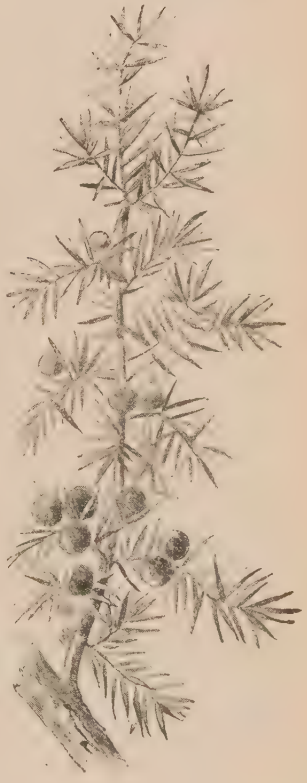

Jałowiec.

Są to kokony mrówcze, objaśniła mama, niesłusznie zwane mrówczemi jajami. Z jajeczek bowiem, składanych przez królowe, które są bardzo małe, wylęgają się larwy, zwane czerwiami. Mrówki przechowują swoje jajeczka wewnątrz mrowiska, czerw zaś i kokony wynoszą na powietrze i słońce, żeby im było zdrowo, przed wieczorem albo w razie deszczu, znoszą je napowrót do mieszkania. Patrzcie, wiele tych oprzędów wygrzewa się na słońcu! Mieszkanie mrówek jest wewnątrz bardzo misternie zbudowane, i nieraz sięga w głąb ziemi dalej, niż się wznosi wwyż na powierzchni. Całą tę pracę wykonywują robotnice.

— Czy i zapasy na zimę znoszą robotnice? — zapytał Staś.

— Nie znoszą żadnych zapasów na zimę, bo zimę przesypiają w odrętwieniu, bez pokarmu.

— Czyż to możebne! A w słynnej bajce: „Konik polny i mrówka", przedstawiają lekkomyślnego konika polnego, który nie zabezpieczył się na zimę—mrówce, skrzętnej gosposi, która ma śpiżarnię dobrze zapełnioną.

Mrowisko.

— La Fontaine, który napisał tę bajkę, nie znał się widocznie na zoologji, choć był miłośnikiem zwierząt. Pomieszał zapewne z mrówkami pszczoły, które zbierają zapasy na zimę. Trzeba wybaczyć ten błąd poecie.

Zbliżaliśmy się ku brzegowi lasu. Znaleziony chłopczyk szedł z nami i przestał płakać; raptem, schylił się

ku ziemi i wyrwawszy garść szarych roślinek, podszedł z uśmiechem do mamy, pytając:

— Co to za roślinki, proszę pani?

— Są to porosty, rzekła mama, rośliny bardzo niewybredne, zadowolone z byle czego. Te wysmukłe kieliszki na wysokich cienkich nóżkach, te kubeczki i miseczki pełne nasionek czyli zarodników, zowią się chrobotkami. Niektóre jego gatunki stanowią główne pożywienie dla reniferów w krajach dalekiej północy. Chrobotek reniferowy rośnie i w naszych lasach; spójrzcie, co go tu jest pod waszemi nogami, ale u nas zwierzęta są wybredniejsze i na porosty ani spojrzą. Wiele ich rośnie na sosnach, niektóre są całe brodate, od siwych, obrastających je mąkli, lub żółtawe od żółtych, płaskich tarczownic.

Porosty: mąkla, tarczownica, chrobotek.

— Są to zapewne rośliny pasożytne, i szkodzą sosnom, wypijając z nich sok?—zapytał Staś.

— Bynajmniej, soków z drzew nie piją, a sadowią się na drzewach po to, aby mieć więcej słońca i ciepła.

Byliśmy już tuż przed naszym domkiem. Pobiegliśmy ze Stasiem umieścić w hodowli nasze zdobycze. Mama zaś zaopiekowała się nieznanym chłopczykiem i obiecała wynagrodzić tego, kto znajdzie rodziców dziecka. Dopiero

nazajutrz zgłosiła się po niego z Falenicy jego mama, elegancka dama. Dowiedziała się od dróżniczki, gdzie jest jej synek i przyszła po niego.

Całe poobiedzie, graliśmy zawzięcie w piłkę i krokieta ze Staśkiem Wojciechowym. Sąsiedzi dziwią się, że przypuszczamy do zabawy syna stróża. Rodzice moi nie są jednak temu przeciwni, ponieważ znamy się od maleńkości i wzrastaliśmy razem. Uczę go pisać, czytać, rachować, czytamy razem łatwe książki przyrodnicze, gdyż on przepada za zwierzętami tak jak i ja. Wiem, że on mnie lubi, że mi wierzy — a ja także go lubię. Stasiek nigdy nie mówi brzydkich wyrazów, jest przyzwoity, grzeczny, choć bardzo przy tem „honorny" i ubliżyć sobie nie da nikomu. Lubię go za to jeszcze bardziej.

IV.

Spacer nad bagienko. Dzierlatki. Koper wodny. Babka wodna. Strzałka. Skrzypy. Rzęsa. Żabiściek. Moczarka kanadyjska. Ważka wielka i płaska. Kijanki. Żaby. Błotniarki. Zatoczek. Pływak. Kałużnica. Płoszczyca. Pijawki Pluskolec. Nartnik. Poczwarki wierzbówki. Kozioróg i tawulec. Komary.

W naszym akwarjum rybkom było dobrze. Żyły sobie szczęśliwie. Stróż Stanisław przynosił im rano i wieczorem świeżej wody ze Świdra, bo w studziennej prędkoby zdechły; miały też i rośliny wodne, które oczyszczały wodę. Dowiedziałem się od Stanisława, że wzdłuż Świdra jest wiele bagienek i olszynek, a także moc chwastów i kwiatów w wodzie. Poszliśmy zatem, zaopatrzeni jak zwykle w rozmaite przybory, obejrzeć te bagienka. Ani przypuszczałem, że będzie to nad wyraz miły spacer, i że często będziemy wyciągali Duszkę w te strony.

Gdyśmy wyszli z ogrodu, zauważyliśmy sporego, szarego ptaszka, który unosił się wysoko, trzepocząc skrzy-

dełkami na jednem miejscu, śpiewając i wyciągając trele bardzo miłym głosikiem. Myślałem zrazu, że to wielki taki skowronek, ale przyjrzawszy mu się bliżej, obaczyłem czubek na głowie, więc domyśliłem się, że to blizka krewniaczka skowronka, dzierlatka, zwana często pośmieciuszką, gdyż lubi szukać pokarmu między śmieciami. Ładny to ptaszek, więc przystanęliśmy, aby mu się przyjrzeć.

Skończywszy piosenkę, dzierlatka sfrunęła na ziemię i chodziła po piachu tak prędko, tak zręcznie, jakby się

Dzierlatka.

sunęła, nie dotykając gruntu. Zacząłem ją gonić, ale uciekała przedemną, migając mi się tylko po piachu, zlewając się do tego stopnia barwą upierzenia z kolorem piasku, że chwilowo traciłem ją z oczu. Od czasu do czasu przystawała, jakby drwiła ze mnie, a gdym się zbliżał, sunęła dalej. Wreszcie zfrunęła w górę i tylem ją widział.

Tuż, tuż przy Świdrze, obrosłe olchami stało niewielkie bagienko. Roślinność była bujna. Zieleniło się dokoła, cień był uroczy. Ba! miejscami woda nawet była cała zielona, gdyż pokryta rzęsą. Jak ja lubię rzęsę! tyle

uroku dodaje ona wodzie swoją jasną zielonością. Zapuściliśmy zaraz sieć i nałowiliśmy jej, aby bliżej się przyjrzeć drobnym jej listeczkom. Jestto maleńka roślina, składająca się z jednego listeczka opatrzonego jednym korzonkiem. Najczęściej kilka roślinek zrasta się razem i pływają po powierzchni wody. Cały staw bywa nieraz od nich zielony i wówczas jest ślicznie! Staś powiada, że przyjdzie tu kiedyś z farbami i namaluje tę zieloną wodę, bo z niego zamiłowany rysownik i malarz.

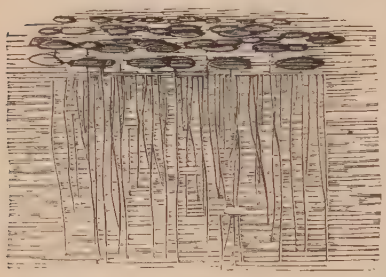

Rzęsa.

Razem z rzęsą wyłowiliśmy ślimaka o stożkowatej skorupie, przebywającego w bagnach i zwanego błotniarką. Jest on bardzo pospolity, żyje roślinami wodnemi i tem się odznacza, że rożki jego nie mogą się chować jak u ślimaków. Staś zabrał go do akwarjum. Chcemy bowiem założyć akwarjum dla zwierząt żyjących w bagnach, których nie możemy trzymać razem z rybkami, potrzebującemi wciąż świeżej wody.

Błotniarka.

Nad wodą unosiły się roje świtezianek, ale nie łowiliśmy ich, bo po co? skoro mamy śliczną parkę w zbiorach. Miło mi było patrzeć na te urocze owady, na ich lot bystry, zręczny, pełen powabu.

— Co to za skarb, ten malutki stawek!—zawołała mama—co tu roślin! co tu zwierząt!

— Prócz świtezianek—powiedział Staś—nie widzę tu nic ze świata zwierzęcego. Słyszę tylko krakanie wron w pobliżu, brzęczenie pszczół, świergot wróbli, głosy te jednak słychać wszędzie.

— Lepiej zapuść sieć—odrzekła mama—może ci się uda złowić coś ładnego.

— Eh! coby chciało żyć w takiej brudnej wodzie, moja mamo?—spierał się jeszcze Staś.

Żaba i jej przeobrażenia.

Mama pokazała nam tylko uwijające się jakieś stworzonka w płytkiej wodzie.

— Kijanki! kijanki!—zawołał uradowany Staś—ale spore, mają już nogi przednie, niedługo wyrosną na dorosłe żaby.

— A tu są zupełnie młode kijanki, bez nóg, a z długim ogonkiem.

— Te zaś mają tylko tylne łapki.

— Innemi słowy — powiedziała mama — istnieją tu wszelkiej wielkości kijanki, możemy więc badać wszystkie fazy przeobrażenia się żaby. Ale skrzeku już chyba niema,

— Jakiego skrzeku?—zapytał Staś.

— Znasz doskonale skrzek żabi, Stasiu—odparłem—przypomnij sobie nasz spacer wczesną wiosną do Łazienek! Pamiętasz, znaleziony skrzek w stawku, koło oranżerji. Jajeczka te wyglądają jak kulki z galarety, każda z czarnem oczkiem, a pozlepiane są razem w wielką kulę oślizgłą.

— Ach tak! to był skrzek żabi! teraz go sobie przypominam. Ale poco żaby składają swe jajka do wody, skoro same pląsają po ziemi, i tylko czasem skaczą do wody, gdy je nastraszyć.

— Dlatego kochanku, że żaby dzieciństwo swoje i młodość spędzają w wodzie. Wszak widzisz, że kijanki pływają jak rybki. Dopiero gdy się przeobrażą w dorosłe żaby, wychodzą na ziemię i przeważnie na niej żyją. Z tego powodu nazywamy żaby zwierzętami ziemnowodnemi.

— Ależ tu ich dużo! co chwila słychać pluśnięcie przerażonej żaby, kryjącej się pod wodę przed nieprzyjacielem.

— Nic dziwnego—odparła mama—pożyteczne te bowiem stworzenia są zupełnie bezbronne. Pozostaje im tylko ucieczka.

— Więc żaby są pożyteczne?—zapytałem.

— Żywią się przeważnie owadami, pomiędzy któremi jest moc szkodników.

— W takim razie, dobrze jest, że tu żyje tyle żab.

— A co ich jeszcze będzie z tych kijanek!

— Co wieczór słyszę ich rechotanie—mówiła mama.—Gdy pójdziecie spać, lubię posiedzieć sobie na werandzie i podumać. Wśród uroczej ciszy wieczornej doskonale słyszę miłe rechotanie żabek. Dochodzi ono aż do nas i sprawia mi dużo przyjemności. Sama żaba jest wysoce prozaiczna, lecz rechotanie jej ma w sobie tyle poezji, że wielokrotnie opiewane było przez poetów.

Wówczas zadeklamowałem znany ustęp z „Pana Tadeusza”:

Na finał szmerów muszych i ptaszęcej wrzawy
Odezwały się chórem podwójnym dwa stawy!
Jako zaklęte w górach kaukazkich jeziora,
Milczące przez dzień cały, grające z wieczora.
Jeden staw, co toń jasną i brzeg miał piasczysty,
Modrą piersią jęk wydał cichy, uroczysty;
Drugi staw, z dnem błotnistym i gardzielem mętnym
Odpowiedział mu krzykiem żałośnie namiętnym:
W obu stawach piały żab niezliczonych hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy.
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci z cicha;
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha.
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola.

Tymczasem Staś zapuścił sieć i zawartość jej wyrzucił na brzeg. Była moc wodorostów: w miejscach niezarosłych rzęsą widać było, że całe dno jest niemi pokryte.

— Jestto bardzo pospolita roślina, — rzekła mama — nazywa się moczarką kanadyjską, gdyż przywędrowała do nas aż z Kanady.

— Na falach oceanu!

— Prawdopodobnie uczepiona do statków. W Europie zaś znalazła dla siebie tak dogodne warunki, że zarasta poprostu wszystkie wody stojące. Weźcie ją do akwarjum, bo to roślina łatwa do hodowania.

Moczarka kanadyjska.

— Szkoda, że sieć oberwała tylko gałązki bez korzeni.

— Ano, moczarka jest krucha i łatwo się łamie, ale i tak się przyjmie: wystarczy gałązkę rzucić na wodę, a po pewnym czasie wypuści korzonki i poszuka niemi

gruntu. W akwarjum zaś ładnie wygląda ze swą ciemną zielonością i prostemi łodyżkami pokrytemi drobnemi liśćmi, ułożonemi po trzy.

— Stasiu! Stasiu! spójrz, co za straszydło wyłazi z tego pęku moczarki.

— Ostrożnie Adasiu! — zawołała mama — chcesz palcami wziąć ten owad, a nie wiesz, co on ci z palcem zrobi. Wszak wzięliście pinsetki, czyli specjalne szczypczyki do brania tego wszystkiego, czego nie chcemy ruszać rękami. Niemi wszystkie owady bierzcie, a nie palcami. Owad ten jest bardzo drapieżny, nazywa się płoszczycą albo skorpionem wodnym i mógłby boleśnie cię ugryźć. Należy zaś do rodziny pluskiew.

Płoszczyca.

— Ciało ma brunatne i płaskie—rzekłem— jak wszystkie pluskwy.

— Tak, jak wszystkie pluskwy — rzekła mama — żyje krwią innych zwierząt i w tym celu pyszczek jej jest zamieniony w ostry smoczek. Przednie zaś łapy są zaopatrzone w mocne szczypce, któremi chwyta ofiarę. Temi szczypcami może ona przyczepić się do różnych stworzeń wodnych i wysysać z nich soki.

— A ten sztylecik na końcu odwłoka—rzekł Staś— służy jej zapewne do zabijania zdobyczy.

— Ten sztylecik jest bardzo niewinny: jestto rurka oddechowa, przez którą owad wciąga powietrze. Zabijać zaś zdobyczy płoszczyca niema potrzeby, bo ona nie zjada swej ofiary, tylko wysysa z niej krew.

Zabraliśmy ją ostrożnie pinsetkami do pudełka, tembardziej, że płoszczyca ma skrzydła i łatwo mogłaby sobie pofrunąć.

— W tych wodorostach—rzekła mama — macie jeszcze inne stworzenie, wysysające także krew.

I pokazała nam robaka zupełnie podobnego do glisty.

— Nic dziwnego — ciągnęła mama dalej — że podobny do glisty, jestto bowiem robak zwany pijawką końską, który podobnie jak płoszczyca przyczepia się do różnych zwierząt wodnych i wysysa z nich krew, powodując tem często śmierć drobnych zwierząt, gdyż pijawka, gdy się przyczepi, to mocno trzyma i nie puści wpierw, aż się wypełni krwią. Pijawkę możecie wziąć do akwarjum dla przyjrzenia się jej bliżej, ale trzymać ją trzeba osobno, bo wszystkie zwierzęta pokaleczy.

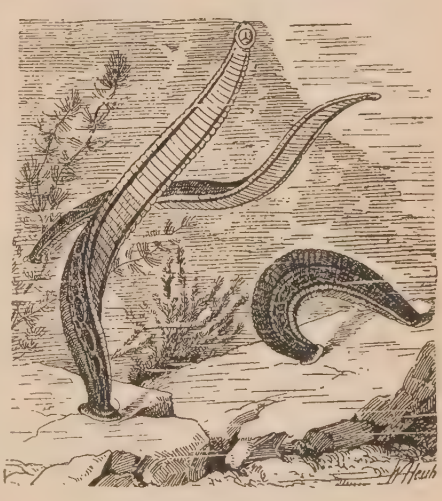

Pijawki.

Zabraliśmy pijawkę do blaszanki. Wkrótce z pęku wodorostów wypełzła druga i trzecia pijawka, szukając widocznie wody. Wzięliśmy je wszystkie do obserwacji do domu.

Tymczasem Staś przygotował się do ponownego zapuszczenia sieci, gdy uwagę jego a jednocześnie i moją zwróciły śliczne rośliny, których część rosła nad brzegiem, część zaś w samej już wodzie bagienka. W miejscu tem była jakby mała zatoczka. Pełno tu było mięty i niezapominajek. Na wpół zanurzone w wodzie rosły rośliny o szerokich liściach, niektóre kwitnące. Daremnie Staś chciał je urwać, niepodobna było dostać się tak daleko, nie zamoczywszy nóg.

— Jestem boso! — zawołał wreszcie — przezwyciężę wstręt do błota i pójdę po te śliczne kwiaty.

— Broń Boże! — zawołała mama — wszak dopiero co wyciągnęliście z tego bagienka płoszczycę i pijawki! Ład-

nieby ci urządziły nogi! Ale poczekajcie! może jakoś poradzę!

Przynieśliśmy trochę gałęzi i rzucili nad brzeg bagienka. Na nich mama mocno stanęła, i trzymając się pnia starej olchy, rosnącej nad wodą, nachyliła się i wkrótce z korzeniem wyciągnęła jedną roślinę, potem drugą i rzekła:

Babka wodna.

Strzałka wodna.

— Jakże rada jestem, żeśmy to zdobyli! Ogromnie lubię wodne rośliny! Zobaczycie jak znakomicie będą się one hodowały. Ot ta, co rosła z samego brzegu, a jeszcze nie kwitnie, zowie się babką wodną. Śliczne ma liście, wielkie, jajowate, na długich ogonkach. Włożymy ją w słój z wodą, a zobaczycie, jak będzie rosła i kwitła.

Ta zaś druga, rosnąca głębiej w wodzie, jest strzałką wodną, bo ma liście kształtu charakterystycznego, podobnego do strzały. Ma ona pączki i niedługo wam kwitnąć będzie.

— Mamusiu—zapytał Staś — a ta roślina? Niby marchew, niby pietruszka, a rośnie wśród błota.

— Jestto roślina baldaszkowata, zwana koprem wodnym lub gałuchą. Co jej tu kwitnie! Pełno tych jej baldaszków złożonych z drobnych kwiatków bielutkich.

— Jaka szkoda, że tamtych ślicznych kwiatów, co tam dalej rosną, wyłowić nie mogłaś. Za daleko rosną! Szkoda, takie ładne, bieluteńkie, i taka ich moc!

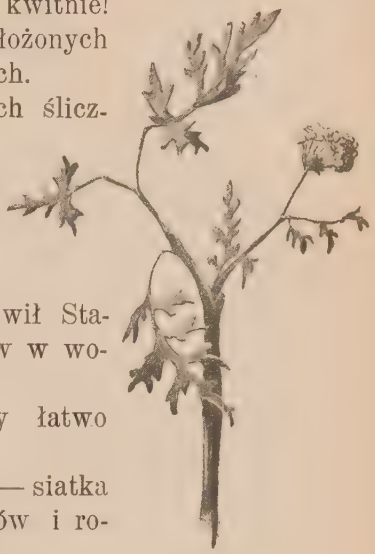

Koper wodny.

— O nich to zapewne mówił Stanisław, że rośnie dużo kwiatów w wodzie.

— Roślinę tę dostaniemy łatwo siatką—rzekła mama.

— Szkoda jej — odparłem — siatka pozrywa krzaczki bez korzonków i roślinę zniszczy.

— Nie obawiaj się Stasiu, siatka nie uszkodzi tej rośliny, tylko ją wyłowi. Jestto bowiem roślina pływająca po wodzie, zwana żabiścieckiem.

— Jeśli tak, to co innego! Kiedy pływasz mój ty żabiścieku, to chodź do mej siatki! nic złego ci nie zrobię.

I bardzo zręcznie zaczął łowić krzaczki żabiścieku. Mają one piękne kwiaty, bardzo oryginalne, bo o koronie trójdziałkowej, białej, i liście płaskie, okrągławe, rozkładające się ślicznie na wodzie. Byliśmy uszczęśliwieni tym pięknym zbiorem roślin wodnych, i chcieliśmy już

iść do domu, gdy zauważyłem olbrzymią ważkę, fruwającą pomiędzy nadbrzeżnemi krzakami olchy i wierzbiny.

— Stasiu! czemprędzej siatkę!—zawołałem—i puściłem się w pogoń za skrzydlatym olbrzymem. Niemało się namęczyłem, zanim go schwytałem, uciekał bowiem szybko, przysiadał, bawił się, zrywał się znowu, leciał bardzo wysoko, opadał, aż wreszcie znęcony zapewne zdobyczą, opuścił się na małego, ognistego motylka zwanego żarkiem, bardzo u nas pospolitego. Już, już miał go schwytać, gdym obu razem nakrył siatką. Żarka wypuściłem, a ważkę wielką, zwaną także szklarzem, wziąłem do aparatu. Była olbrzymia; korpus w szafirowe centki błyszczał metalicznie. Olbrzymie oczy zielone wystawały na głowie, jak dwie półkule, skrzydła zaś wielkie, przejrzyste, posiatkowane, szkliły się błyskiem migotliwym.

Żabiściek.

Żarek.

— Jest ona równie drapieżna jak świtezianka modra—rzekła mama.

— A dlaczego tyle się ich unosi nad Świdrem i tu nad stawkiem? —zapytał Staś — czy nie lepiej byłoby im w ogrodzie, gdzie więcej kwiatów?

— Z kwiatów one nie korzystają. Daleko im do jarstwa! Świeżem mięskiem się karmią. Woda zaś jest im niezbędna, gdyż do wody składają jajka. Możeście nieraz spostrzegli, że wszelkie ważki lubią zanurzać koniec odwłoka w wodę.

— Ależ naturalnie! — zawołał Staś — wieleż to razy widzieliśmy jak się ważki kąpią. Boją się zanurzyć całe, tylko odwłok maczają w wodzie i powtarzają to często. Widocznie lubią wodę, a jednak trochę się jej boją.

Ważka płaska.

— One się nie kąpią — odpowiedziała mama — one składają w wodę jajka, gdyż larwy, które się wylęgają z jajek, prowadzą życie wodne, jak kijanki. To też ważki możnaby nazwać owadami ziemnowodnemi. Są one strasznie drapieżne i zarówno larwy jak i owady uskrzydlone żywią się innemi owadami wodnemi, dla których są postrachem. Wreszcie, skoro larwa ma się przeobrazić w owad uskrzydlony, wówczas wychodzi na jakąś roślinę nad brzegiem rosnącą, i suszy się na słońcu.

Skoro jej skóra wyschnie, wówczas pęka i wychodzi z niej owad dorosły. Siedzi on zwykle..

— Mamo! Adziu! patrzcie, co się tu dzieje na pniu olchy! — zawołał Staś — chodźcie prędzej, ja wam coś pokażę!

Poszliśmy zaraz z mamą do olchy, która rosła nad samym brzegiem wody. Na pniu jej siedziała świeżo widocznie wylęgnięta ważka płaska, gatunek o odwłoku spłaszczonym i wzrostu mniejszego od wielkiej. Siedziała sobie na słońcu i widocznie wygrzewała się, a właściwie suszyła skrzydła. Opodal leżała tylko co zrzucona skórka larwy. Wszyscy troje spoglądaliśmy z zaciekawieniem, co też ważka pocznie. Siedziała długo bez ruchu, poczem zaczęła probować skrzydeł, rozprostowała je, trzepotała niemi, wreszcie pofrunęła w świat, nad wodę, nad kwiaty, w pogoni zapewne za śniadaniem.

Byliśmy uszczęśliwieni tem, że udało nam się podpatrzeć rzecz tak ciekawą, a mama upewniała nas, że zobaczymy jeszcze na własne oczy, jak ważka przeobraża się z larwy, jak wyłazi z larwiej skóry. To chyba będzie ciekawsze!

Wzięliśmy do zbiorów skórkę larwy ważkowej, zawsze ona coś warta! Staś zaś dumny był ze swego odkrycia, on to bowiem spostrzegł pierwszy ważkę i skórę jej larwy.

— Staś — rzekłem — to nie byle spostrzegawcza natura! wszędzie wlezie, wszędzie się wścibi, wszystko dojrzy, sprytne małe licho!

— Ja jeszcze coś znalazłem! Chodź tu Adziu, pomóż mi, zawołał Staś z pomiędzy gąszcza młodej wierzbinki.

Zastałem go zbierającego białe oprzędy, przyczepione do gałązek wierzbowych. Pomogłem mu. Naliczyliśmy dwanaście sztuk. Były to kokony, osnute białą, jedwabną

przędzą, wewnątrz nich znajdowały się czarne poczwarki, żółto owłosione, które przeświecały przez cienką, białą przędzę. Zabraliśmy te oprzędy do hodowli. Kto wie, może wkrótce wylęgną się nam z nich piękne jakieś ćmy, bo ćmy lęgną się zwykle z kokonów, a motyle dzienne z poczwarek, wiszących swobodnie, bez oprzędu.

— Chodźmy już do domu, chłopcy — zawołała mama — już czas!

— Czas do domu, czas! czas! Czas i pora! — śpiewaliśmy.

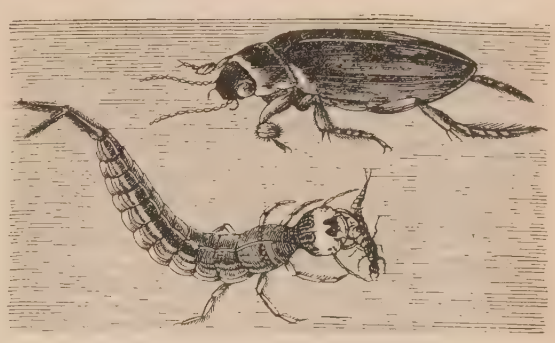

Pływak żółtobrzegi.

— Matuś, duszko droga — prosiłem — pozwól mi jeszcze jeden, jedyniuteńki raz zapuścić sieć. Wszak nie zapuszczałem sieci ani razu jeszcze dzisiaj! Kto wie, może szczęście będzie mi sprzyjało, i wyciągnę coś ładnego!

Staś prosił także w mojem imieniu, a mama zgodziła się jak zwykle, zostać jeszcze kwadransik.

Zapuściłem sieć głęboko, i jak mogłem najdalej od brzegu.

— Wyciągnąłem ją pełną... błota i moczarki kanadyjskiej. Wyrzuciłem niebardzo zachęcającą zawartość tę na brzeg, ale wnet zaczęło się ruszać w tem błotku i ku naszej radości wygrzebał się spory żuk ciemno-oliwkowy z żółtą obwódką.

— Jestto pływak żółtobrzegi — powiedziała mama — zaraz poznać go można po tej żółtej obwódce. Jestto drapieżca jakich mało, pożera bowiem nietylko owady,

ale nawet kijanki i młode rybki. Do dużych zaś żywych ryb potrafi się przyczepić i wygryzać im dziury w ciele, zajadać je żywcem!

— Jakże dziwnym jest kształt jego ciała—rzekłem—zupełnie podobny do łódki.

— A tylne nogi—dodał Staś—jakież zabawne, niby małe wiosełka!

— Bo całe jego ciało jest odpowiednio i znakomicie zbudowane do życia wodnego.

— W takim razie musi on chyba oddychać jak ryba?—zapytał Staś.

Zatoczek.

— Otóż nie! żuk ten nie może dłuższego czasu spędzić w wodzie, to też co chwila podpływa ku powierzchni i zaczerpuje powietrza. W nocy zaś, moglibyśmy złapać go siatką jak motyla, gdyż fruwa sobie swobodnie, przelatuje z jednego stawu do drugiego i pozostaje tam, gdzie znajdzie obfity połów.

Wkrótce spostrzegliśmy aż trzy pływaki, mniejsze od pierwszego, wygrzebujące się z błota i wodorostów. Wzięliśmy je wszystkie pinsetkami do pudełka.

— Jeszcze jeden ślimak znajduje się wśród tego błota, nałowionego przez Adasia—rzekł Staś.

— Pogrzebcie w tem błotku kijkiem, a znajdziecie tam niezawodnie niejedno ciekawe stworzenie. Ślimak ten, o muszli skręconej i płaskiej, to zatoczek, możecie wziąć go do akwarjum. Karmi się roślinami, nie jest wybredny i długo trzymać się daje w domu. Ten zaś owad,

który tak się grzebie śród błota jest bardzo ciekawy. Puśćcie go do blaszanki, aby lepiej mu się przyjrzeć.

Wzięliśmy go ostrożnie pinsetkami i puściliśmy do wody w blaszance. Oczyścił się z błota i wnet zaczął pływać, leżąc na grzbiecie i przebierając parą łapek, tak długich jak wiosełka.

— Co to mu tak błyszczy na końcu odwłoka, matusiu? — zapytałem.

— To bańka powietrzna. Bierze on sobie zapas powietrza pod wodę i trzyma je włoskami, które ma na odwłoku. Gdy wyczerpie ten zapas, podpływa ku po-

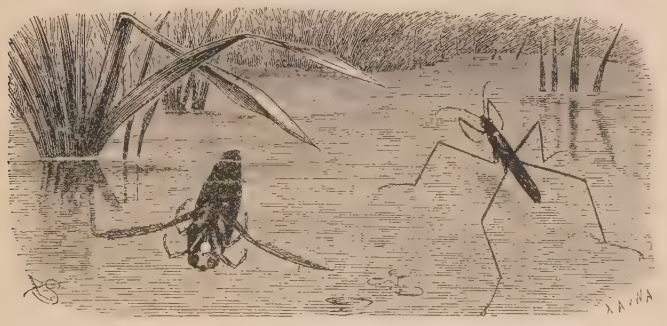

Pluskolec i nartnik.

wierzchni, nabiera nową ilość powietrza w kształcie bańki i daje nurka. Zowią go grzbietopławkiem, gdyż pływa na grzbiecie, a inni nazywają go płuskolcem, bo należy do pluskwiaków. Jest on nie mniejszym drapieżnikiem od pływaka lub płoszczycy: wysysa krew owadów i rybek, a wzięty do ręki, boleśnie kłuje.

— A dlaczego pływa na grzbiecie, wszak to nie może być wygodnie?—zapytał Staś.

— Dla niego jest bardzo wygodnie. Sposób ten służy mu wyśmienicie do chwytania zdobyczy. Pluskolec ten o wielkich czerwonych i wyłupiastych oczach urządza się w ten sposób: skoro zobaczy małą rybkę, albo

inny smaczny kąsek, wówczas ruchem błyskawicznym puszcza się w głąb wody i dopiero stamtąd cichutko podpływa pod swoją ofiarę, chwyta ją łapkami od spodu i wysysa.

— A to chytry okrutnik!

— Mamusiu złota—rzekłem—powiedzno mi jeszcze, co to za pająki ślizgają się po wodzie? Widywałem je już nieraz i podziwiałem ich zręczność. Ślizgają się po wodzie, bawią się, igrają ze sobą, nie zanurzają się i wcale nie toną.

— To nie są pająki, Adziu—są to pluskwiaki zwane nartnikami dla tego, że ślizgają się na długich nogach po powierzchni wody, jak na nartach. Są one chude i cienkie, a jednak są pluskwami i jak wszystkie pluskwy są drapieżcami, wysysającemi cudzą krew. Te pląsy, które wyprawiają po wodzie, to nie gra, nie zabawa, to polowanie, to uganianie się za zdobyczą. Z powodu wielkiej ich zręczności zowią ich akrobatami wodnemi.

— I mają rację!—zawołałem—poprostu miło jest patrzeć na te ich susy, skoki i posuwiste ślizganie.

— Jakim jednak sposobem taki pan nartnik może utrzymać się na wodzie?

— Ciało ma tłuste, więc go woda nie zamoczy, pokryte włoskami, przez co łatwiej utrzymuje się na wodzie, wreszcie jest bardzo lekki. Musimy jednak wracać natychmiast do domu, więc zabierajcie wasze zdobycze i chodźmy.

Rośliny zabraliśmy w puszkę, która na szczęście była bardzo obszerna. Ważkę miałem w aparacie, wodne owady poumieszczaliśmy w pudełeczkach, pijawki zaś w blaszance.

Podczas drogi rozmawialiśmy o tych różnych pluskwach wodnych: płoszczycy, pluskolcu, nartniku. Sympatje nasze zwracaliśmy do tego ostatniego, chyba dlate-

go, że taki zgrabny, bo co do okrucieństwa, to nie ustępuje innym.

W domu zabraliśmy się zaraz do uporządkowania zbiorów. W wielkim słoju szklanym, na dno którego nasypaliśmy ziemi, zasadziliśmy babkę i strzałkę wodną, poczem naleliśmy sporo wody, żeby roślinom było jak w błotku. W drugim hodowaliśmy w taki sam sposób gałuchę. Krzaczki żabiścieku puściliśmy luzem na wielką kadź, która stała w ogrodzie pełna wody, potrzebnej do polewania krzewów. Wreszcie pływaki umieściliśmy razem w jednym słoju, a płoszczycę i pluskolca w słojach osobnych. Do słoi tych wpuściliśmy sporo moczarki kanadyjskiej. Ślimaki wpuściliśmy do akwarjum z rybkami, gdzie miały dość roślin do jedzenia. Pijawki hodowaliśmy w słoju oddzielnym.

Kokony wierzbówki umieściliśmy w hodowli mniejszej, bo mieliśmy dużą hodowlę na liszki, a mniejszą na kokony i poczwarki. Wszystkie zaś słoje i hodowle stały na werandzie, zajmując cały jej kąt. Tym sposobem zwierzęta miały dość powietrza, a roślinom było także dobrze, prawie jak na swobodzie. Jakże to miło hodować tyle roślin i zwierząt! Można przyjrzeć się im, podpatrywać ich sposób życia i zobaczyć wiele ciekawych rzeczy. Ot np. błotniarka i zatoczek wydają mi się daleko ciekawszemi w akwarjum. Błotniarka umie ślicznie pełzać pod wodą, trzymając się jej powierzchni grubą nogą, którą wyciąga z muszli. Skoro zaś spostrzeże najmniejsze niebezpieczeństwo, chowa się cała w muszlę i odrazu opada na dno słoja. Przytem zauważyłem, że nie ma ona oczów na końcach rożków, jak ślimaki lądowe, zapewne dla tego, że nie może rożków wciągać, a oczy, wystawione na końcu wyrostków nieruchomych, byłyby zbyt narażone na ogień nieprzyjacielski. Zatoczek znów lubi pływać po powierzchni wody, mama mówi, że dla zaczerpnięcia powietrza. Błotniarka zajada z apety-

tem wszystkie rośliny, zwłaszcza bardzo lubi sałatę, zatoczek zaś karmi się tylko wodorostami, i nic innego nie tknie. Pluskolec wyprawia tysiące sztuk pływackich, ruchy ma szybkie, błyskawiczne. Wrzuciliśmy mu komara, potem muchę i widzieliśmy, jak porywał zdobycz od spodu i smakowicie wysysał. Pływaki wciąż sobie pływają i szukają pokarmu wśród gąszczu moczarek. Może znajdują tam coś do jedzenia, bo śród tych roślin musi być sporo jajeczek owadzich, larw, a nawet drobniutkich owadów.

Słoje, w których się mieszczą owady wodne, muszę przykrywać na noc merlą, żeby mi zwierzęta nie uciekły. Karmię je zaś drobniutkiemi kawałeczkami mięsa. Inaczej mogłoby się stać wielkie nieszczęście, mianowicie, pływaki mogłyby się pozjadać i zostałby tylko najsilniejszy i największy.

Słój z pijawkami musi być stale pokryty merlą, bo one wyłażą z wody. Wychodzą z wody dla składania jajek w wilgotnej ziemi, a także przed burzą. To też niektórzy uważają pijawki za prawdziwe barometry żyjące, obwieszczające pogodę, tembardziej, że przed deszczem wiszą uczepione u powierzchni wody, zapowiadając tym sposobem słotę. Pijawki moje trzymałem tylko trzy dni, gdyż nie mogłem zdobyć się na to, aby im dostarczać pożywienia i patrzeć na to, jak one wysysają krew z istot żywych. Musiały być głodne, bo często smoczkiem przyciskały się do szkła, ale z niego nic wyciągnąć nie mogły. To też odniosłem je do bagienka i wypuściłem na swobodę. Niech sobie żyją, jak umieją! Ja ich karmić nie mogę, a głodzić nie chcę.

Chodziłbym często na spacer do naszego bagienka, gdyby nie to, że mama niebardzo lubi ten spacer, a to z tego względu, iż przebywanie w miejscu błotnistem i szukanie w błocie zwierząt jest rzeczą niezdrową. Mama powiada, że można łatwo dostać malarji. Podobno

nawet w wiosce Ryczycach, leżącej w okolicy naszego bagienka, chorują często na malarję. Dowiedziałem się bowiem, że pewien gatunek komarów ukłuciem swojem zaszczepia jad wywołujący malarję.

W błotach zaś i wogóle w wodach stojących komary składają jaja. Jajeczka te wyglądają zabawnie, jak mała pływająca wysepka, bo samiczka składa odrazu paręset jajeczek razem sklejonych. Z jajek wychodzą larwy, które żyją w wodzie, karmiąc się różnemi drobnemi zwierzętami wodnemi. Larwy nie mogą zagłębić się w wodę, bo mogłyby się łatwo utopić, albowiem potrzebują oddychać powietrzem atmosferycznem. Siedzą więc sobie pod powierzchnią wody, wystawiwszy na zewnątrz rurkę oddechową, umieszczoną na końcu odwłoka, przez którą wciągają powietrze. Z larwy powstaje poczwarka, a z niej dopiero wylatuje skrzydlaty komar. Dowiedziałem się również, że to samiczki kłują tak boleśnie i wysysają krew, samczyki zaś nie są drapieżne i żyją sokami roślin.

Komar i jego przeobrażenia.

Mama powiada, że wieczorami jest straszliwa moc komarów w pobliżu tych bagien i stawków, że przylatują aż do nas, do naszego ogrodu, składają jaja w wielkiej kadzi pełnej wody, stojącej w naszym ogrodzie. Dowiedziałem się, że, na szczęście, gatunek komarów wywołujących ukłuciem malarję, nigdy nie składa

jaj w kałużach, beczkach, kadziach, a tylko w łachach, bagnach, w cichych zatoczkach rzecznych. Ponieważ jednak sąsiedztwo komarów jest arcy niemiłe, więc tatuś kazał nalać do kadzi trochę nafty. Nafta rozlała się po powierzchni wody, a przez taką taflę wody skropioną naftą, nie wydostanie się żaden komar żywy, każdy zginie w chwili wylęgnięcia. Tym sposobem nie będziemy mieli tyle komarów w ogrodzie, z czego bardzo się cieszę, bo dokuczają nam strasznie.

Po południu biegaliśmy na kołobiegu ze Staśkiem Wojciechowym, którego także bardzo interesują nasze zbiory. Przychodzi on teraz często dowiadywać się, co mamy nowego i prosił mię o książki przyrodnicze do czytania, których mu naturalnie chętnie udzieliłem.

Rohatyniec.

Wieczorem, gdyśmy już mieli pójść spać, posłyszeliśmy brzęczenie wielkiego chrząszcza. Latał on tuż koło werandy, dokoła naszych głów, nic się nas nie obawiając. Wydawał silny głos basowy. Staś puścił się za nim ze swą siatką muślinową; żuk uciekał przed nim, ale Staś nie dawał za wygraną, podskakiwał, zawracał, przysiadał, zaczajał się, znów za nim gonił, aż wreszcie rozległo się wesołe wołanie: mam go! mam go!

Był to ogromny żuk z rogiem na głowie, cały bronzowy. Wzięliśmy zaraz książkę Kulwiecia o chrząszczach polskich, aby się przekonać, co to za wspaniały okaz. Znaleźliśmy go na 41 stronicy. Zowie się rohatyńcem, choć uważałbym za właściwsze nazwać go nosorogiem. Pan Kulwieć pisze, że wydobyć go można ze spróchniałego dębu lub kory dębowej. Nie wiem, skąd się wziął u nas, gdyż mamy jeden tylko i to zdrowy dębczak

w ogrodzie. Ale prawda, w lesie jest sporo dębów, marnych co prawda i nie wyrosłych, ale może jeden z nich był jego kolebką. Tak wielki żuk nie łatwo ginie od eteru, dlatego też postąpiliśmy z nim sobie w taki sposób: znieczuliliśmy go eterem, a gdy zasnął, sparzyliśmy go wrzącą wodą. W jednej chwili było po nim. Będzie stanowił prawdziwą ozdobę naszych zbiorów.

Wieczór ten jednak miał być prawdziwym wieczorem łowów!

Staś leżał już w łóżku, a ja właśnie zabierałem się do spania, gdy znęcona światłem wpadła olbrzymia ćma do pokoju. W pierwszej chwili byliśmy przerażeni! Nie wiedziałem czy to ptak, czy nietoperz: trzepotało się to po białym suficie, skrzydła miało długie a korpus gruby! Wkrótce jednak wróciła mi przytomność i z okrzykiem: Olbrzymia ćma! — rzuciłem się naprzód, aby ją złapać. Tymczasem Staś zamykał drzwi, aby nam nie uciekła, i ćma mimo widocznej niechęci dostała się do siatki, a stamtąd do aparatu. Na razie byłem pewny, że to trupia główka, największa ćma krajowa, ale niezmiernie rzadko zjawiająca się u nas. Staś jednak twierdził stanowczo, że nie ma ona na głowie rysunku trupiej główki, tylko inny jakiś rysunek. Wziąłem zatem atlas motyli krajowych Dyakowskiego i pilnie zacząłem szukać. Znalazłem ją bardzo prędko na tablicy VII, obok trupiej główki, z którą należy do jednej rodziny kordziuków czyli sfinksów. Był to bowiem wspaniały okaz zawisaka tawulca, czemu dziwić się nie trzeba, bo w naszym ogrodzie rośnie mnóstwo krzaków tawuły (spirei).

Odwłok miał przepyszny, gruby, włochaty, czarno i różowo paskowany. Przednie skrzydła długie, wielkie, szarego koloru, tylnie zaś mniejsze, różowe w czarne paski. Trąbkę miał olbrzymią, długą, znacznie dłuższą od głowy. Lata on o zmierzchu i wysysa soki z kwiatów, wisząc nad niemi. Są jeszcze inne ćmy karmiące się

w ten sposób: nie siadają na kwiatach, tylko wisząc nad niemi ciągną z nich słodycz. Dlatego zowią je zawisakami.

Długo nie mogłem zrozumieć jednej rzeczy. Jeżeli motyl ten zowie się tawulcem, to zapewne dlatego, że trąbkę swą zapuszcza do kwiatów tawuły i karmi się ich słodyczą. Ale to być nie może, gdyż w czerwcu tawuły nie kwitną, nawet pąków kwiatowych jeszcze nie mają. Tawuła kwitnie dopiero, jeśli się nie mylę, w końcu lipca. Dlaczego zatem zawisak tawulec, który leży w naszym aparacie, wykluł się tak wcześnie?

Długo szperałem po różnych książkach, bo mama nie chciała mi tego wytłomaczyć, mówiąc, że powinienem sam rzecz tę sobie wyjaśnić. Jakoż i wyjaśniłem. Tawulec składa jajka na tawule, a liszki jego, wielkie, zielone, z rożkiem na końcu i centkami białemi i liljowemi po bokach objadają liście tawuły, a są tak żarłoczne, że często ogołocą cały krzak z liści. Liszki te zakopują się w ziemię, przekształcają się w poczwarki i tam spędzają zimę. Na wiosnę, po deszczu, gdy łatwo przebić rozmiękły grunt, z poczwarki wykluwa się motyl, o zmierzchu wyłazi z ziemi i wyfruwa na swobodę.

Na drugi dzień po złapaniu zawisaka tawulca, pomyślałem sobie, że dobrzeby było pokopać ziemię dokoła krzaków tawuły. Może, jakimś szczęśliwym trafem, znajdę poczwarki ćmy tej w ziemi.

Mamy dwa rodzaje tawuły w naszym ogrodzie. Jedna ma kwiaty różowe, zebrane w duże i grube kiście, liście zaś jej są wązkie i proste. Zowią ją tawułą wierzboliściową. Drugi gatunek o kwiatach kremowych, zebranych w duże rozwichrzone kiście, ma liście pierzaste, z brzegiem piłkowanym, i zwany jest tawułą jarzębolisciową. Sama nazwa wskazuje, że pierwsza ma liście podobne do wierzby, druga zaś do jarzębiny. Należą obie

do tej samej rodziny co róża. Ale daleko się łatwiej hodują od róży, bo dobrze rosną na piasczystym, lichym gruncie.

Otóż obaj ze Stasiem kopaliśmy dokoła krzaków ta-

Tawuła jarzęboliściowa i wierzboliściowa, przy niej zawisak tawulec i jego gąsienica.

wuły, ale nic nie znajdowaliśmy. Niezrażeni tem szliśmy od krzaka do krzaka i zapuściliśmy nasze rydle w ziemię, pilnie szukając ciekawej poczwarki. Wreszcie

znaleźliśmy ją! Była tuż pod powierzchnią ziemi, z czego wywnioskowaliśmy, że tawulec niedługo z niej zapewne wyjdzie. Była wielka, ciemnobrązowa i miała pochewkę na trąbkę. Za dotknięciem kurczyła się na wszystkie strony.

Wzięliśmy ją z tryumfem do małej hodowli. Na jej dno nasypaliśmy ziemi wykopanej z pod tawuły i umieściliśmy w niej poczwarkę, w takiej samej pozycji w jakiej znaleźliśmy ją tuż pod powierzchnią.

Ciekawa to historja, alem jej jeszcze nie skończył. Najciekawszą jest na końcu. Otóż tego samego dnia zaglądam o zmierzchu do małej hodowli i co widzę? Ziemia się porusza, jakby czemś podminowana, wreszcie pęka i wyłazi z niej powoli, grzebiąc łapkami, przednia część ciała ćmy. Zawołałem naturalnie Stasia, ale tak, żeby hałasu nie robić: nie chciałem bowiem przestraszyć rodzącego się motyla, aby nie został kaleką na całe życie, z nierozwiniętemi skrzydłami.

Patrzyliśmy jak tawulec powoli wyłaził ze skórki poczwarki, wreszcie wyszedł cały na ziemię, usiadł na gałązce i zaczął pompować skrzydła. Wyrosły mu one olbrzymie! był to bowiem przepyszny okaz zawisaka tawulca. Włożyliśmy mu tawuły do hodowli, aby miał na czem jajka złożyć. Na nieszczęście był to widocznie samiec, bo jajeczek nam nie złożył, choć trzymaliśmy go parę dni, karmiąc różnemi kwiatami. Wzięliśmy go wreszcie do zbiorów, a to w tym celu, żeby mieć parę; poprzedni bowiem tawulec był najpewniej samiczką, gdyż odwłok miał bardzo gruby, ten zaś był znacznie szczuplejszy.

Tym sposobem byliśmy świadkami narodzin ćmy.

V.

Akacje i jaśminy. Motyle i ćmy. Głogowiec, perłowiec, modraczek, wilczomleczek, nastrosz topolowiec. Hodowla liszek. Spacer w pole. Habry. Grabarz. Pasikonik. Konik polny. Świerszcz polny.

Akacje kwitną! Dla nas jestto jedna z najmilszych chwil wśród lata. W ogrodzie naszym jest 120 akacji. Można więc wyobrazić sobie, co to za zapach, gdy wszy-

Gałązka akacji z kwieciem.

kie okryją się kwieciem. W tym roku kwitną one obficie: liści jeszcze mało, a gałęzie, całe oblepione białym kwieciem, zwieszają się ku dołowi pod wonnym ciężarem.

W ogrodzie naszym jest jedna aleja, ciągnąca się wzdłuż i prowadząca od jednej bramki do drugiej, a cała wysadzana akacjami. Jakże tam teraz uroczo i pachnąco! Z lubością spaceruję sobie pod sklepieniem wonnych drzew i wciągam głęboko w piersi słodki aromat

ich kwiecia. Zrywam gałązkę kwitnącą, rozgryzam białe płatki, upajam się ich słodyczą i wonnością.

Wczoraj deszcz upadł, a gałęzie akacji tak się pod ciężarem wody i kwiatów pochyliły ku ziemi, że rodzice byli w obawie, iż się połamią.

I pomyśleć sobie, że drzewo to nie jest nasze swojskie, że pochodzi z krajów podzwrotnikowych (jedni twierdzą, że z Ameryki, a inni iż z Afryki), a tak dobrze rośnie na naszych lichych piaskach, tak się zaaklimatyzowało, że stanowi jednę z najpospolitszych ozdób naszych parków i ogrodów.

Jaśmin.

Jednocześnie z akacjami rozwinęły się jaśminy, śliczne krzewy o przepięknych, wonnych i białych kwiatach. Pochodzą one także gdzieś aż ze wschodu. Co to za zapach! co za rozkosz! Chodzę sobie po ogrodzie, lub siadam na schodkach werandy nie mogąc dość się nacieszyć akacjami i jaśminami. Mama wyszła na werandę i zachwyca się cudnym porankiem, wonnym, ciepłym, pełnym słońca. Przed domkiem leży pies Hetman wygrzewając się na słońcu i ciepłym piaseczku.

Staś buja po ogrodzie. Widzę jednak, że on praktyczniejszy odemnie i wziął siatkę. Bo wśród tego kwiecia ileż brzęczy pszczół, huczy trzmieli, ileż się uwija żuków i motyli! co niemiara! Połów może być przepyszny! Idę po siatkę. Siądę z nią na ławeczce, mając u głowy rozkwitłe jaśminy, a nademną wonne akacje i będę czatował.

Długo czekać nie trzeba, bośmy już w drugiej połowie czerwca, dzień jest ciepły, po deszczu, — a po deszczu, gdy słońce świeci, uwija się najwięcej owadów. Sam to spostrzegłem, i długo zastanawiałem się nad tem, dlaczego tak się dzieje. Po namyśle doszedłem do przekonania, że od deszczu skórki na poczwarkach rozmiękają i łatwiej pękają. Owadom zaś wychodzącym z poczwarek zakopanych w ziemi, deszcz pomaga w tem jeszcze, że rozmiękcza stwardniałą ziemię i ułatwia im tym sposobem wydobycie się na świat.

Wkrótce spostrzegłem dużego, białego motyla, igrającego nad krzakiem jaśmi-

Głogowiec.

nu. Na pierwszy rzut oka sądziłem, że to kapustnik, więc do tak pospolitego motyla nie raczyłem nawet ruszyć się z miejsca. Zauważyłem jednak wkrótce, że jestem w błędzie, gdyż motyl ten jest cały biały, bez tych charakterystycznych plam czarnych, cechujących kapustnika. W jednej chwili miałem motyla w sieci. Tak jest, to nie kapustnik: skrzydła ma białe, poprzerzynane czarnemi żyłkami i nic więcej.

Znalazłem go w atlasie motyli. Jestto głogowiec, pospolity u nas motyl, ale ładny. Tego dnia narodziło

się ich widocznie bardzo wiele, bom widział je cały dzień fruwające w ogrodzie. Jeden zwrócił moją uwagę tem, że długi czas siedział na głogu. Co on mógł tam robić? może się zmęczył ciągłem bujaniem i odpoczywa? a może uszkodził się, skaleczył, może coś niedobrego zjadł i zachorował?

Podszedłem do niego ostrożnie, ale motyl zerwał się błyskawicznie i frunął. Widocznie nic mu nie było! Zobaczę jednak co on robił na tym liściu. Wziąłem liść: na stronie wierzchniej nic nie znalazłem, odwracam go... a tu na stronie spodniej siedzi cała kupka jajeczek żółtych jak wosk!

A więc tak panie motylu! Toś ty tutaj zostawił swoje przyszłe dzieci! tem byłeś zajęty! jajeczka składałeś!

Modraczki.

I nie zatroszczysz się o nie? Lecisz sobie dalej i wesoło w świat i mało cię obchodzi co się stanie z twemi dziećmi? Może je sikorka porwie i zaniesie zgłodniałym swym pisklętom na śniadanie? Wszak tyle ptaków świergoce tu śród drzew! a dla nich jajeczka twoje to przysmaczek nie do pogardzenia, tak jak dla nas jaja kurze. Może je burza zmiecie, człowiek rozdepce? Kto wie, jaki ich los czeka. Ale ja nic im złego nie zrobię. Siedźcie sobie spokojnie, choć wylęgną się z was szkodniki, które objadać będą nasze głogi, gdyż nie mogę się zdobyć na wasze zniszczenie.

Jakże dziś dużo fruwa modraczków, tych niebieściutkich, niedużych motylków. Lubię je bardzo, bo są śliczne,

jak fruwające kwiatki. Skrzydełka pod spodem mają jeszcze śliczniejsze niż z wierzchu: w oczka różnokolorowe. Czasem schwytam któregoś, przyjrzę mu się, ale potem wypuszczam, bo nie mam serca zatruwać go eterem.

Tego zaś, który tam fruwa, nie będę żałował! to co innego! Już mam go w siatce! Duży, przystojny, brunatnawy w czarne plamki. Spód skrzydeł jest daleko ładniejszy niż wierzch: zielonkawy, w perłowe plamki. Plamki te nasunęły mi przypuszczenie, że mam do czynienia z motylem, zwanym perłowcem.

Przypuszczenia moje sprawdziły się: był to bowiem perłowiec większy, motyl dość pospolity w naszym kraju, ale ładny. Wziąłem go zatem, razem z głogowcem do zbiorów.

Perłowiec większy.

Gdym się przyglądał dwom tym motylkom nadeszła mama i wskazała mi na pniu sąsiedniego drzewa dwie uśpione ćmy. Spały przytulone jedna do drugiej. Były prześliczne! Strąciłem je wprost do aparatu, i mogę powiedzieć, że nic nie wiedziały, co się z niemi stało; ze snu zwykłego przeszły w sen wieczny, nie zdając sobie sprawy co je spotkało.

Był to naturalnie samiec z samiczką. Samczyk ciemniejszy, samiczka jaśniejsza, płowo popielata, większa i grubsza. Skrzydła tylnie w nasadzie brązowe. Co jednak było najładniejszego, to, że brzegi skrzydeł ma ten motyl powycinane falisto, a skrzydło wygląda jak jakiś liść fantastyczny.

Długo szukałem w atlasie motyli krajowych zanim znalazłem ową ćmę. Dopiąłem jednak swego; jest ona tam namalowana na tablicy IX, i zowie się nastroszem topolowcem, gdyż gąsienica jej żyje na topoli. U nas w ogro-

dzie rośnie kilka topolek, może więc na nich hodowały się gąsienice, z których wyszły ćmy dziś znalezione. Jakże często nie wiemy, co za skarby znajdują się blizko nas.

Zachwycaliśmy się z mamą pięknemi topolowcami, gdy nadbiegł Staszek Wojciechowy, wołając już z daleka,

Nastrosz topolowiec z samiczką.

że ma coś dla mnie. Były to dwie olbrzymie liszki, długie na jakie 10 centymetrów, grube, włochate, szarobrunatne, z dwoma szafirowemi plamami przy głowie. Znalazł je na malinach. Hodowaliśmy je w wielkiej hodowli, dostarczając z początku liści malin, — ale przekonaliśmy się wkrótce, że jeszcze chętniej jedzą liście grusz lub jabłoni. To też karmiliśmy je przeważnie liśćmi drzew owocowych. Liszka ta zatem musiała się znaleźć przy-

padkowo na malinach; może zleciała, może ją ktoś strącił z drzewa, może ją jakiś ptak porwał, a potem wypuścił z dzioba? nie mogłem dać sobie długo rady z wyszukaniem, co to za wielka bestja, aż przypadkowo znalazłem ją odmalowaną w atlasie. Jestto liszka ćmy namiotówki. Prawda, że nie byle straszydło? Ktokolwiek zobaczył tę liszkę u mnie, dziwił się, że mama pozwala mi hodować takie okropieństwo! Ja twierdzę jednak uparcie, że jak na liszkę jest ona przepiękna! „Obrzydliwa!

Namiotówka i jej liszka.

wstrętna! mówią mi, jak się nie brzydzisz dotykać do tego!"—przedewszystkiem, nie biorę jej palcami a pinsetkami, a powtóre nie rozumiem dlaczego ma być obrzydliwa? „Każda liszka, mówią mi, jest obrzydliwa, dlatego, że pełza! że nie ma nóg!!!" Mam ochotę postawić z dziesięć wykrzykników! Żeby nie wiedzieć o tem, że liszka wcale nie pełza, a chodzi i do tego nie dwiema nogami, jak my, a zwykle szesnastoma! nieraz potrafią zmykać co się da, na tych wszystkich swoich nogach. Tylko trzeba je dobrze obserwować.

Były to zatem liszki ćmy namiotówki, której wylęgnięcia spodziewałem się dopiero w lipcu. Tymczasem miały wyborny apetyt i codzień zjadały spory pęk liści jabłoni.

— Wie co Adaś? — zapytał mię Stasiek Wojciechowy—chodźmy po ogrodzie szukać liszek. Widziałem na truskawkach duże liszki włochate.

Z ochotą się zgodziłem, i poszliśmy we trzech na poszukiwania po ogrodzie.

W truskawkach znaleźliśmy rzeczywiście kilka liszek włochatych, pokrytych jakby brązowym futerkiem, o długim włosiu. Z powodu tego uwłosienia nazwaliśmy je niedźwiadkami. Jedna wymknęła nam się i uciekała, sunąc się szybko po ziemi. Nigdym jeszcze nie widział liszki tak prędko i zgrabnie uciekającej. Takiemi to włochatemi liszkami, których żaden ptak nie przełknie, karmi się kukułka.

Liszka zwana niedźwiadkiem.

Dobrze, że miałem ze sobą pinsetki, gdyż takiej liszki włochatej nie wolno wziąć do ręki, bo włoski dostawszy się do oczu lub gardła wywołują ostre zapalenie.

Na drzewach owocowych było wiele liszek pierścieniówki. Ojciec kazał je zbierać stróżowi i tępić, gdyż są ogromnie szkodliwe. Objadają z niesłychaną żarłocznością liście i pączki jabłoni i grusz. Nazwa ich pochodzi stąd, że uskrzydlone ćmy składają jajka na drzewach liściastych, otaczając cienkie gałązki zlepionym pierścieniem jajeczek. Takie pierścienie jajeczek można często

widzieć na cienkich gałązkach jabłoni i grusz a trzeba je koniecznie niszczyć. Same liszki są bardzo ładne, niebieskawe, w kolorowe paski, pokryte rzadkiemi włoskami. Wzięliśmy do hodowania coś 6 takich liszek, wybierając pomiędzy największemi i najgrubszemi.

Chodząc i szukając po ogrodzie, znaleźliśmy trzy śliczne poczwarki szarobrunatne w złote kropki. Wisiały na nitce pajęczej, uczepione u spodu ławki, która stała zdala od domu, otoczona krzakami, niby w altanie. Jakże pięknie wyglądały te złote kropki! i po co właściwie poczwarce, która nie widzi, taka ozdoba? A może te kropki odpowiadają plamkom barwnym na skrzydłach przyszłego motyla? Umieściliśmy poczwarki w małej hodowli, zawiesiwszy każdą na nitce, aby im było tak dobrze jak w ogrodzie. Ciekawym, co za motyl wyfrunie, z tego złoconego powijaczka?

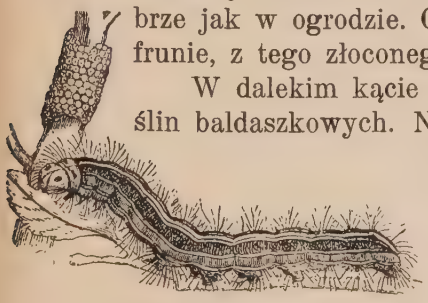

Liszka pierścieniówki.

W dalekim kącie ogrodu rosło mnóstwo roślin baldaszkowych. Nazwaliśmy je sobie dzikim koprem. Nie braliśmy nigdy tych roślin do ust, bo wiele pomiędzy baldaszkowatemi jest silnie trujących. Było na nich mnóstwo liszek zielonych w czarne prążki poprzeczne i czerwone kropki. Gdym brał je do ręki, wówczas dla postrachu wystawiły dwa rożki. Odrazu poznałem, że to liszki pazia królowej, gdyż niedawno, z powodu wylęgnięcia się nam pazia, czytałem o tem motylu, jego liszce i poczwarce, a także oglądałem ich rysunki w atlasie.

Wzięliśmy ich coś ze sześć do hodowli. Ciekawym kiedy przemienią się w poczwarki, a następnie w dorosłe motyle. Postanowiliśmy wypuścić motyle, bo gąsiennice ich nie wyrządzają wiele szkód objadając chwasty.

Nad wieczorem mama zaproponowała nam spacer w pole na habry. Była to bowiem właśnie pora, gdy są

one w pełnym rozkwicie. Z radością przyjęliśmy zaproszenie mamy i zaopatrzeni w siatki i aparaty ruszyliśmy na spacer. Stasiek nieśmiało zapytał, czy może nam towarzyszyć, a ponieważ mama chętnie się zgodziła, więc poszedł razem z nami.

Tuż przy domostwie najbliższego naszego sąsiada (mieszkał on wcale od nas daleko), gdzie stały liczne brzozy, znaleźliśmy nielada zdobycz. Na tych brzozach wisiało mnóstwo czarnych poczwarek, ozdobionych nielicznemi włoskami żółtemi. Wierciły się i kręciły na ręku jak szalone.

Brudnica nieparka.

Mama objaśniła nam, że te czarne poczwarki przekształcą się nam wkrótce w ćmy zwane brudnicami nieparkami, ale nic nad to nie chciała nam powiedzieć, odsyłając nas do atlasu i książek przyrodniczych. Gdy się wylęgną, wówczas dowiemy się o nich więcej szczegółów.

Z pod nóg zrywały się nam co chwila koniki polne i znikały w zbożu. Tu w Józefowie jest ich mnóstwo. Uważałem, że wiele z nich ma śliczne skrzydła niebieskie i nie tylko skaczą, ale unoszą się przez jakiś czas w powietrzu. Ot w tej chwili skoczył tuż przedemną taki konik polny ze skrzydłami niebieskiemi. Skoro jednak upadnie na ziemię, wnet zwija barwne swe skrzydełka, przykrywa je pokrywami koloru piaskowego i już go nie dojrzysz.

— Co tam szukasz, Adziu?—zapytała mama.

— Ślicznego konika polnego z niebieskiemi skrzydełkami, który tylko co prysnął mi z pod nóg.

— Tutaj siedzi. Ale to nie jest konik polny, to owad z gatunku szarańczaków, zwany trójkotką niebieską. Wesołe to, igrające, pląsające cały dzień.

— Musi być szkodnikiem, skoro jest krewniakiem szarańczy.

— Byłyby one niezawodnie szkodnikami, gdyby się zjawiały w takiej ilości jak szarańcza. Ale jest ich stosunkowo niewiele, więc niech tam sobie trawki poskubią.

Konik polny.

Doszliśmy do miejsca, gdzie żyto było rzadkie, a bławatków za to moc wielka! Nigdzie tu wprawdzie niema pięknego zboża. Pszenicy naturalnie nie sieją wcale, bo wymaga dobrej gleby. Jedno żytko udaje się jako tako. Ale tu było więcej kąkoli i bławatków niż kłosów. Jakże cudnie odbijały bławatki swoim szafirem od złota kłosów! Zdaje mi się, że patrzą na mnie modremi oczami z pod gęstwy jasnych włosów. Napawaliśmy się ich suchym, polnym zapachem, ich prześliczną, żywą barwą i zgrabnym kształtem ich koron.

Wkrótce mieliśmy olbrzymi pęk bławatków, które naturalnie niosła mama, bo my mieliśmy siatki, aparaty, pudełka. Nie wiem tylko na co wzięliśmy wszystkie te przybory, gdyż dotychczas nie złapaliśmy nic a nic, nawet trajkotki niebieskiej nie udało mi się schwytać.

— Skąd bierze się tyle bławatków w zbożu — zapytałem — wszak co roku koszą je ze zbożem, potem orzą glebę, więc nie powinno być ani znaku po nich, nawet tam gdzie były.

— Otóż to jest kochanku najpocieszniejsze, że rolnik siejąc żyto razem z nim wysiewa i bławatki. Niepodobna oczyścić ziarn zbożowych z nasion kwiatów polnych. Za

trudna, za żmudna byłaby to robota. To też w ziarnie przeznaczonem do siania zawsze są nasiona habrów i kąkoli, zwłaszcza w ziarnie licho oczyszczonym, jakiem musiało być to, które tutaj siano. Powiedz mi jednak Stasiu, ty spostrzegawcza naturo, jak o tobie mówi Adaś, do jakiej też rodziny należy haber?

— Naturalnie do habrowatych lub bławateczkowatych!

— Bez żartów!

— Czy ja wiem! chyba do złożonych, bo korony ich choć niebieskie, podobne są z układu do białych margerytek, żółtych rumianków lub astrów.

Grabarze.

— Albo też do ostów—rzekła mama.—Ale nie rwijcie już ich więcej, bo bukiet mam tak olbrzymi, że ledwie go unieść mogę.

Wtem Staś Wojciechowy zaczął mię wołać, wydając okrzyki radości. Poszliśmy w jego stronę. Stał on nad małym kopcem i pokazywał liczne żuki, które coś majstrowały, wyłaziły z ziemi, to znów znikały pod nią. Gorliwie nad czemś pracowały. Były one nie duże, ciemne, z dwoma pomarańczowemi paskami poprzecznemi.

— Ależ to są grabarze! Żuki zakopujące zdechłe zwierzęta. Bardzo pożytecznie dla nas pracują, bo cho-

chowają trupy i tym sposobem chronią powietrze od zarazy.

— Czy one robią to dla nas matusiu? dla naszego zdrowia?—zapytał Staś.

— Daleko im do hygjeny! Zakopują padlinę, aby w nią złożyć jajeczka! Wylęgające się z jajek gąsienice żywią się mięsem nieżywych zwierząt.

— Fe! fe! obrzydliwość! szkaradzieństwo!—wołał Staś spluwając. Sądziłem, że one dla ochrony powietrza zakopują zdechliznę, a tamczasem one umieszczają, w niej swoje przyszłe dzieciuszki! A te grabarze czego się kręcą dokoła tego kopca, czyżby tam była zdechlizna?

Pasikonik zielony.

Stasiek chciał kopać, żeby się przekonać, co leży pod kopcem, ale mama mu nie dała.

— Niema dla mnie wątpliwości—mówiła—że tam leży jakaś padlina. Grabarze zakopały ją wspólnemi siłami, aby nie została pożarta przez jakieś zgłodniałe zwierzę. Potem złożą w nią jajeczka.

— Br! jakie to wstrętne! zdaje mi się, że już cuchnię tą padliną—wołałem uciekając.

Dobrze się już zmierzchało gdyśmy wracali do domu. Na wszystkie strony słychać było granie koników polnych i świerszczy. Stasiek schwytał wielkiego pasikonika zielonego z długiemi rożkami, o ślicznych skrzydłach jasnozielonych, ale szelma tak go ugryzł w palec, że Stasiek z krzykiem rzucił go o ziemię. Tu nakryłem go siatką i już był mój.

— Świerszcze nie gryzą—rzekł Stasiek — ale nie są

tak piękne, bo brązowe. Jeśli Adaś chce, to ich przyniosę, bo wiem o jednem miejscu, gdzie ich jest sporo.

— A tu w polu, co koników polnych i jak cierkają!

— W zabawny sposób — rzekła mama — wydają one to cierkanie, bo pocierają twardem udem o twarde pokrywy skrzydeł. Pasikoniki zaś zielone i świerszcze pocierają jedno skrzydło o drugie. Na tem polega ich muzyka.

Śmieliśmy się, ubawieni instrumentami polnej kapeli, tą myślą, że koniki polne grają swojem udem, pocierając niem jak smyczkiem o skrzydła.

Swierszcz polny.

Olbrzymi bukiet habrów stał w wielkim słoju na werandzie, a matuś cieszyła się, że tak z nim ładnie. Mama lubi wszystkie rośliny, kocha wszystkie kwiaty. Ja zaś wolę zwierzęta, gdyż uważam, że są bardziej interesujące. Matuś powiada, że każde zwierzę musi choć trochę śmierdzieć, a kwiaty pachną. Szkoda jednak, że kwiaty, choć takie ładne i wonne nie mają inteligencji jak zwierzęta, gdyż byłyby bardziej zajmujące!

O zmierzchu udało się nam złapać śliczną ćmę zwaną zmrocznikiem wilczomleczowym, należącą także do rodziny kordziuków czyli sfinksów. Jest ona znacznie mniejsza od tawulca, odwłok ma także paskowany, tylnie skrzydła różowe, przednie oliwkowe z różowym odcieniem. Jestto bardzo ładna ćma. Gąsienica jej żyje na roślinach jadowitych zwanych wilczomleczami. Mamy ich sporo w ogrodzie, a nad Świdrem jest ich jeszcze więcej. Są to dziwne roślinki przez to, że kwiaty mają zielone, a ukłute lub urwane wypuszczają biały, gęsty

sok trujący. Dla liszki wilczomleczka nie stanowią one jednak trucizny, lecz smaczny, zdrowy i ulubiony pokarm.

Muszę poszukać tych liszek na wilczomleczu. Skoro bowiem znalazłem jednego motyla, to musi ich być więcej, a jajeczka składają one na zielonych krzaczkach wilczomleczka.

Tym sposobem w hodowli małej mam trzy poczwarki ze złotemi kropkami niewiadomego motyla i kilka poczwarek czarnych ćmy brudnicy nieparki. Prawda, mamy jeszcze kokony z białego przejrzystego oprzędu, kryjące poczwarki czarne żółtouwłosione.

Wilczomlecz, obok zmrocznik wilczomleczek i jego liszka.

W dużej zaś hodowli mamy szare gąsienice barczatki sosnówki, znalezione w lesie na choinkach, zielone gąsienice pazia królowej, dwie olbrzymie gąsienice namiotówki, sześć gąsienic ćmy prządki pierścieniówki i sześć włochatych gąsienic zwanych przez nas niedźwiadkami, nieznanego nam gatunku.

Z małą hodowlą niema żadnej pracy: poczwarki sobie wiszą i czekają wyjścia motyli.

Z dużą za to hodowlą dużo roboty. Codzień muszę ją oczyścić i dawać pokarm liszkom dwa razy dziennie. Dużym liszkom barczatki sosnówki przynoszę młode pędy choinek, namiotówkom i pierścieniówkom parę gałązek grusz lub jabłoni, liszkom wreszcie pazia królowej rzucam garść liści dzikiego kopru. Niedźwiadkom daję

liście truskawek, gdyż na nich je znaleźliśmy, choć uważam, że one wszystko jedzą i ze wszystkiego są rade. Jakieś nie bardzo wybredne stworzenia. Czy tylko wydołam trudnemu zadaniu i wyhoduję te liszki jak się należy. Będę spokojny, gdy się już zamienią w poczwarki. Wówczas będę tylko czekać rychło mi się narodzi śliczny motyl, dzienny czy nocny wszystko mi jedno, aby był ładny.

VI.

Deszcz. Hodowle. Skrzynki. Lektura. Warcaby. Staś rysuje. Akwarja.

Już lipiec. A tymczasem zimno, wiatr, deszcz pada od wczoraj. Będzie zapewne trzydniówka: tu nazywają tak trzydniowy deszcz, gdyż skoro się rozdeszczy, to najmniej na trzy dni.

Ale ja się nie nudzę. Tyle mam roboty, że nie mam czasu się nudzić. Dużo czasu poświęciłem uporządkowaniu zbiorów. Przedewszystkiem motyle, które nałowiłem w ostatnim tygodniu, musiałem porozpinać. Każdy motyl musi być rozłożony i rozpięty za pomocą pasków papieru i cieniutkich szpileczek na specjalnym rozpinaczu.

Rozpinacz składa się z dwóch deseczek ku sobie cokolwiek nachylonych: są one równoległe do siebie, ale pomiędzy niemi jest szpara. W tę szparę wkładam korpus motyla przekłuty szpilką, skrzydła zaś rozkładam po obu stronach na deseczkach i przymocowuję paskami papieru za pomocą cienkich szpilek. Biorę papier glansowany, gdyż jest gładki i nie ściera skrzydeł. Kupiłem sobie jeden taki rozpinacz za wzór, a inne sam zrobiłem. Mam warsztat stolarski i narzędzia, a kupiłem sobie jesz-

cze deseczek i z przyjemnością, pracowałem zimą nad sporządzeniem rozpinaczy, tembardziej, że uczyłem się słöjdu stolarskiego i zajęcia te lubię. Teraz mam wielką wygodę, gdyż mam rozpinacze z cienką szparą na małe motyle i z szeroką na wielkie.

Świeżo zatem schwytane okazy porozpinałem z pomocą Stasia, dawniejsze zaś, które dobrze wyschły, poumieszczałem w pudełku. Pudełko takie ma wierzch szklany, żeby można bez otwierania przyglądać się okazom, umieszczonym w środku, a dno wyłożone korkiem, w celu łatwego wpinania szpilek.

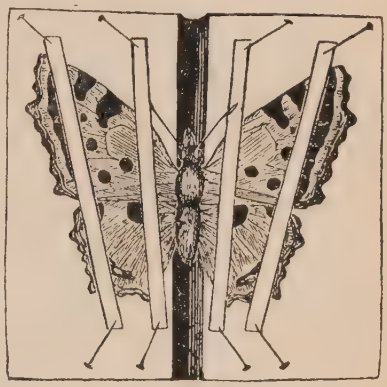

Rozpinacz.

Byłem w czasie tym bardzo zajęty hodowlą, w której działy się ogromnie ciekawe rzeczy.

Przedewszystkiem szare gąsienice znalezione na sosnach oprzędły się. Pochowały się w szare kokony przymocowane do gałązek i liści sosnowych. W niedługim zatem czasie spodziewam się zobaczyć ćmę barczatkę sosnówkę. Kokony wraz z gałązkami włożyłem do małej hodowli, w której trzymam same poczwarki i kokony.

To samo zrobiły olbrzymie liszki namiotówki, te straszydła, które napędzały strachu wszystkim, co je widzieli. Oprzędły się i porobiły sobie olbrzymie kokony, z wyglądu podobne do kokonów sosnówki, ale jeszcze znacznie większe. Zostały i one przeniesione do małej hodowli.

Ładne, zielone gąsienice pazia królowej, które wypuszczają dla postrachu dwa małe rożki, choć niemi nic

złego zrobić nikomu nie mogą, i wystawiają je tylko dla nadania sobie groźnego wyglądu, gąsienice te od paru dni były niespokojne, nie jadły, wreszcie zaczęły szukać dogodnego miejsca i zamieniły się w poczwarki zielono brązowe. Parę zawisło na hodowli, a inne na gałązkach roślin. Poszły i one do małej hodowli. Dość, że w dużej hodowli pozostało mi tylko dwa rodzaje gąsienic: pierścieniówek i niedźwiadka.

Białka wierzbówka.

Teraz opowiem jakie niespodzianki przygotowała nam mała hodowla. Przedewszystkiem, pewnego wieczora zauważyłem ruch w cichej dotychczas hodowli. Nic dziwnego, burczała w niej ćma biała, jedwabistej, cudnej bieli śnieżnej. Rożki miała czarne, a nogi białe w czarne prążki. Przekonałem się, że wyszła z jednego z tych białych, rzadkich oprzędów, które Staś znalazł na wierzbach nad bagienkiem. Szukałem w atlasie i dowiedziałem się, że to białka wierzbówka, że gąsienice jej żywią się liśćmi

wierzby, a gdy się zjawi w dużych ilościach to wyrządza znaczne szkody.

Nazajutrz wylęgło się nam aż trzy wierzbówki, i tak codzień wychodziły z oprzędów, aż wyszły wszystkie. Było ich piętnaście. Najładniejsze wzięliśmy do zbiorów, a resztę wypuściliśmy nad Świder. Niech sobie tam żyją! dużych szkód chyba nie zrobią!

Ćmy te siedziały w dzień cichutko, ale w nocy aż burczało w hodowli, tak się trzepotały. Widocznie pragnęły wyjść na swobodę i użyć świata!

Rusałka pokrzywnik.

Nie dość tego, mieliśmy trzy poczwarki szarobrunatne w złote plamki. Otóż wylęgły się nam z nich motyle. W złoconych domkach siedziały sobie bardzo pospolite istotki. Były to rusałki pokrzywniki. Ktoby ich nie znał. Latają wszędzie przez całe lato. Niektóre wylęgnięte późną jesienią, zimują. Spędzają zimę w ukryciu pod liśćmi, w szparach, dziuplach, a wylatują dopiero wczesną wiosną. Są zatem bardzo wytrzymałe. Jestto motyl pstry, czerwony w czarne i żółte plamy, nawet jedną plamę ma białą. Brzeg zaś skrzydeł jest otoczony obwódką z niebieskich plamek.

Bardzo to miło mieć motyle własnego chowu, to też każde zjawienie się rusałki witaliśmy okrzykami radości. Powypuszczaliśmy je wszystkie. Do zbiorów są za pospolite, a gąsienice ich, żywiąc się pokrzywą, nikomu szkody nie robią.

W akwarjum wszystko szło dobrze, zwierzęta się chowały, tylko dużo z niemi było kłopotu, zwłaszcza z rybkami, którym wciąż trzeba było wodę zmieniać. Z roślin przyniesionych z bagienka, gałucha wciąż kwitła i kwitła, rozpościerając coraz to nowy baldaszek białych, drobnych kwiatków. Babka jeszcze nie kwitła. Za to strzałka dostała ślicznych kwiatów, z których pysznia się mama. Tak samo jak kwiaty żabiścieku miały one koronę trójpłatkową, co jest bardzo oryginalne i ładne. Ale kwiaty jej były większe, białe, z liljowym odcieniem a fijoletowe u nasady. Kwitły zaś obficie na wysokiej szypułce kwiatowej, wyrastającej śród pięknych, ciemnych, strzałkowatych liści. Śliczna to roślina! To też trzymaliśmy ją na werandzie na honorowym miejscu.

Staś, korzystając z deszczu, wciąż rysuje. Mama mu gani, że się przytem źle trzyma, ale dostarcza mu ołówków, papieru, pasteli, akwarel, a nawet farb olejnych ile tylko zechce. Był czas kiedy wciąż rysował wojsko, wojny, bitwy, utarczki, oblężenia i znał się na umundurowaniu tak dobrze jakby niejedną kampanję przebył. Bezustannie szperał po książkach, encyklopedjach, wszystkich rozpytywał, aż dowiedział się o co mu chodziło. Tylko do mamy się nie zwracał, bo Duszka nie zna się wcale ani na wojsku, ani na mundurach. Teraz przeszło mu już to upodobanie. Obecnie, wciąż rysuje i maluje morze, okręty i bitwy morskie. Jeździliśmy kilka razy nad morze, do Połągi, do Odesy, a w zeszłym roku byliśmy na wybrzeżu belgijskiem. Porty w Odesie, Ostendzie, Antwerpji i Dunkierce (we Francji) zrobiły na nim tak silne wrażenie, że bezustannie jest niemi zajęty.

Budowa okrętów, maszynerja, wygląd zewnętrzny, łodzie, barki, szalupy, parowce, jachty, żaglowce i t. p. są przedmiotem ciągłych jego rozmyślań. A marzenia swoje wylewa na papier, rysując to, co widzi w snach

swoich. Staś marzy o tem, aby mógł skądś dostać albumu, gdzie byłyby narysowane wszystkie floty całego świata, a przytem wszelkie rodzaje okrętów i łodzi, poczynając od czasów zamierzchłych, gdy łódź wypalano z pnia drzewa. Rodzice obiecali mu się wystarać o coś, coby choć w części podobne było do jego marzeń.

Staś rysuje, ojciec gra ze mną w warcaby, a mama czyta nam na głos „Pana Tadeusza". Szalenie mi się podoba ten poemat! Czytałem już go parę razy sam, umiem wiele ustępów na pamięć, a rad jestem zawsze, gdy mi go czytają na głos. Zaliczam do wielkich przyjemności te chwile, kiedy mama weźmie książkę do ręki i czyta nam głośno poezje. Zwłaszcza „Pana Tadeusza" słuchałbym i słuchał bez końca. Zastanawiałem się dlaczego go tak lubię i doszedłem do przekonania, że za umiłowanie przyrody i miłość kraju, które wyzierają z każdej prawie karty. Czy można piękniej opisać las, matecznik, puszczę, zmierzch, wieczór letni, pole, sad, grę chmur, grzyby? Gdzie jest poeta, któryby był takim miłośnikiem wsi, takim amatorem naszych prostych a pięknych krajobrazów. I czuć, że on to wszystko kocha, że lubuje się tem, rozkoszuje się cudami które opisuje. Tyle uczucia włożył w te opisy, z takim zapałem wysławia piękność naszego kraju i broni ją przed lekceważeniem! „Pomarańcze, cyprysy, oliwy, migdały, aloesy, mahonie, kaktusy, sandały"—są ciekawe, i warto je zobaczyć, poznać, pobyć śród nich, ale tylko czas krótki! Żyć zaś można chyba szczęśliwie tylko w swoim kraju i śród swoich.

Teraz, gdy deszcz pada, czytuję dużo sam. Przeczytałem „Serce" Amicisa; wiele o niem rozmawiałem z mamą, niektóre zaś ustępy czytaliśmy po kilka razy. Mama bardzo ceni tę książkę, ja zaś, przyznać się muszę, choć ze wstydem, okropnie płakałem przy niektórych rozdziałach. Dużo tam rzeczy smutnych. Mama mówi, że choć

smutne, wszystko to jest prawdziwe. Tem jednak smutniej! Przykro mi, gdy sobie przedstawię, że nie wszystkim dzieciom tak dobrze i szczęśliwie jak nam. Wieleż to jest biednych, chorych, nieuków, kalek, żebraków, wieleż jest sierot, lub co gorzej, mających złych opiekunów, ile od najwcześniejszego dzieciństwa jest zmuszonych ciężko pracować, wieleż rwie się do nauki daremnie, ileż ciężko choruje, a są i tacy co nie słyszą, nie mówią, nie widzą! Gorzko płakałem nad niemi. Płakałem dlatego, że nie mogę im pomódz, że czułem się bezsilnym, że zdawałem sobie dokładnie sprawę, że nic poradzić nie mogę -- a choćbym i w czemś dopomógł, to cóż to znaczyć może: tyle co kropla w morzu! Strasznie jest przykro nie módz pomódz tym wszystkim nieszczęśliwym dzieciom poniewieranym, krzywdzonym, cierpiącym! A jabym tak chciał, żeby wszystkim dzieciom na całym świecie było dobrze, tak dobrze jak mnie, żeby wszystkie były zdrowe, miały kochanych i kochających rodziców, żeby były wesołe i szczęśliwe.

Nadeszła mama. Dowiedziawszy się jaki jest powód mej rozpaczy, uspokoiła mnie, dowodząc, że nie zawsze tak źle będzie, że już teraz wiele się robi dobrego biednej dziatwie, a w przyszłości dużo więcej będzie się o niej myślało.

— Jesteś dziecko — powiedziała mi — i dlatego nie wiele możesz tu poradzić, skoro jednak dorośniesz, a czuć będziesz tak jak dziś chęć poprawienia losu nieszczęśliwych dzieci, wówczas nic nie będzie stało ci na przeszkodzie oddać życie pięknemu temu celowi. Musi nastąpić kiedyś taka chwila, kiedy więcej sprawiedliwości będzie na świecie, kiedy wszystkim dzieciom będzie o ile można dobrze. Ludzie bowiem powinni usilnie starać się o to, aby niesprawiedliwości narzucone siłą rzeczy wyrównywać.

— Cóż jednak ludzie poradzą na ślepotę, niemotę i inne kalectwa? — zapytałem — dziecko ślepe, zostanie nim, bo na to niema rady.

— Niekoniecznie — rzekła mama — znajdą się niezawodnie liczne wypadki dające się wyleczyć. Wobec postępów nauki, znajdzie się rada, na niejedno nieszczęście. Kalecy są i dzisiaj kształceni w specjalnych zakładach, a z czasem zostaną w nich zaprowadzone różne ulepszenia, których celem będzie zapełnienie życia im pożyteczną pracą, wobec czego, nie będą mogli się czuć zupełnie nieszczęśliwymi.

I długo mi opowiadała mama, jak to wiele biedom można zaradzić, i jak to będzie więcej szczęścia na świecie wówczas, gdy ludzie na prawdę zechcą myśleć nietylko o sobie, ale o swych bliźnich. Uspokojony zasnąłem.

Nazajutrz, ponieważ deszcz jeszcze padał, wziąłem się do budowania skrzynek dla ptaków. Widziałem w Połądze mnóstwo skrzynek, które wieśniacy robią sami i zawieszają na drzewach, na dachach, na wysokich żerdziach po to, aby w nich zamieszkały ptaki. Każdy gospodarz dba tam bardzo o to, aby w ogrodzie jego lub sadzie było jaknajwięcej ptactwa, gdyż ptaki są przez to pożyteczne, że tępią owady. Owady zaś są prawie wszystkie szkodliwe, zwłaszcza gąsienice objadające liście i pąki drzew, a także pędraki niszczące korzenie roślin uprawnych. Ptaki szerzą straszne spustoszenie śród owadów, gąsienic ich, pędraków, jajeczek. Niektóre ptaki owadożerne niszczą ich dziennie tysiące, a w ogrodzie, w którym gnieździ się dużo ptactwa, liszki nigdy nie wyrządzą zbyt wielkiej szkody.

Skrzynka dla ptaków.

Dla przynęcenia ptaszków do naszego ogrodu, postanowiłem porobić im domki, czyli skrzynki. Wiele ptaków zamieszkuje bardzo chętnie skrzynki, zwłaszcza te, które lubią gnieździć się w dziuplach, np. sikory, szpaki.

Dostałem deseczek sosnowych od stróża Stanisława, a że miałem ze sobą narzędzia stolarskie, więc bardzo łatwo mi przyszło wyciąć cztery ścianki, podłogę i obszerny dach. Najtrudniej było z wycięciem otworu, przez który ptaszki mogłyby wchodzić do skrzynki i wychodzić z niej. Otwór ten zrobiłem okrągły, o średnicy półtora-calowej, a przed tym otworem umieściłem kijeczek, na którym ptaszek mógłby sobie trochę posiedzieć. Dach zrobiłem w jednej skrzynce z dwóch deseczek, jak na rysunku, w dwóch zaś z jednej tylko deski, na płask przybitej na skrzynce. Starałem się o to, aby dach znacznie wystawał po za skrzynkę, i tym sposobem chronił przyszłe ptaszki od deszczu, Nie miałem kleju, więc skrzynki pozbijałem po prostu gwoździkami.

Jedną skrzynkę uwiązałem mocno w gęstwinie wielkiego, rozłożystego jałowca, drugą umieściłem w lasku świerkowym, trzecią zaś przybiłem po lewej stronie naszego domku, pod osłoną werandy. Nakładłem do skrzynek trochę mchu, siana, słomy, trochę puchu z ostów, żeby ptaszki które zechcą się tu osiedlić, znalazły materjał na posłanie.

Ale prawda, uplotłem ze słomy sznur, a z tego sznura skręciłem gniazdko otwarte, jak zwykłe gniazdka ptasie i powiesiłem z prawej strony naszego domku, również pod osłoną werandy.

Czekałem cierpliwie, jakie też ptaszki osiedlą mi się w skrzynkach.

Bardzo lubię ptaki. Gdybym mógł, tobym sobie założył ptasi raj. Byłaby to olbrzymia klatka, w której rosłyby krzaki, a nawet drzewa, gdzieby były klomby z kwiatami, basenik z wodotryskiem i gdzieby mieszkały

w gniazdkach różne piękne ptaki Jabym tam miał swoją ławeczkę, czasem wchodził bym do tego ogródka, siadał sobie na niej, wśród roślin, kwiatów i ptaków, rzucałbym im ziarno i cieszył się niemi. One znałyby mię dobrze, brałyby mi z ręki, siadały na ramionach i radowałyby się z mej obecności. Takie mam marzenia o „ptasim raju".

VII.

Nasze zwierzęta.

Wspominałem już o tem, że mamy psa, Hetmana. Jestto zwykły kundel, ale wygląda na bernarda. Ma piękną, gęstą sierść, długą i białą, w wielkie żółte plamy i ładne oczy czarne, bardzo wyraziste.

Hetman ogromnie lubi mięso. Gdy nasza dobra i stara kucharka, zwana przez nas wszystkich „Kumą", wyniesie mu krupnik, wówczas najpierw starannie powyjada mięso, poogryza kości, a kaszę i kartofle pozostawia, spoglądając na nie wzrokiem pełnym lekceważenia i pogardy. Gdy częstuję go chlebem lub bułką, wtedy obrażony Hetman odwraca głowę, a potem rzuca mi spojrzenie mówiące: „za kogo mnie masz kochanku?"

W Warszawie Hetman nigdy nie chciał przełknąć kaszy, schudł, zmizerniał, a na swojem postawił: nie jadł i kwita. Może chciał nas tem zmusić do karmienia go tylko mięsem. Ale rodzice postanowili nie ustąpić, gdyż karmienie samem mięsem byłoby szkodliwe dla niego.

Niemało czasu upłynęło zanim Hetman zdecydował się zjeść swój krupnik. Nastąpiło to dopiero w Józefowie. Widocznie na świeżem powietrzu przybyło mu apetytu i głód przezwyciężył upór. Zasmakował mu jednak

widocznie ten krupnik, gdyż od tego czasu sprząta całą jego ogromną miskę.

Przybyło mu tu dużo humoru i wesołości. W dzień jest zwykle uwiązany, gdyż pogryzłby, a przynajmniej wystraszył przekupniów, którzy znoszą różne rzeczy. Skoro go spuszczę z łańcucha jest tak szczęśliwy, że aż miło na to patrzeć. Przedewszystkiem skacze, wspina się, liże swego oswobodziciela, a potem puszcza się takim pędem po ogrodzie, że aż ziemia się za nim sypie. Biega po ogrodzie, wszędzie pójdzie, nawet do pokojów, potem przeskakuje parkan, który jest wcale wysoki, i puszcza się w szaloną jakąś gonitwę po polance, po lesie, gdzie się da. Bardzo lubi polecieć nad Świder, wskoczyć w wodę, i biegać po niej w podskokach i pląsach goniąc za jaskółkami i ważkami.

Kto go widział, mówił potem zwykle, że to dziki pies. Zapewne, te szalone gonitwy, którym oddaje się z widoczną rozkoszą, to lubowanie się swobodą, powietrzem, ciepłem i wodą, wskazuje, iż nie jest to pies salonowy, wytresowany, a poprostu dziecko przyrody.

Hetman straszliwie nie lubi kija. Nie znosi po prostu, gdy kto ma laskę lub kij w ręku. Mnie lubi ogromnie, i wyje, skoro idę gdzie bez niego na spacer; często razem skaczemy i gonimy się po ogrodzie, a jednak niech tylko wezmę kij do ręki, to nawet na mnie warczy. Gdy rzucę kij zdala od siebie, Hetman, łasząc się, podchodzi do mnie, a gdy go podniosę, znów warczy, a nawet o zgrozo! zęby szczerzy.

Hetman jest arystokratą, a to dlatego, że nie szczeka na ludzi porządnie ubranych, którzy nas odwiedzają, ale niech tylko zajdzie do nas chłop, przekupień jakiś, żebrak, żyd—wówczas szczeka zawzięcie, a jeśli nie jest uwiązany, to gotów się rzucić; zauważyłem, że nie lubi ludzi w butach z cholewami. W Warszawie nie znosi dwóch ludzi: listonosza i roznosiciela gazet, dlatego zapewne, że noszą dłu-

gie buty lub że obaj wpuszczają do skrzynki listy i pisma: „majstrują coś przy drzwiach", myśli sobie zapewne, „to niezawodnie złodzieje!" i pędzi ku nim gdy ich zobaczy, szczeka, ujada, probuje się rzucić. Raz, na spacerze, poznał naszego listonosza na innej zupełnie ulicy, zdala od domu i napadł na niego z taką złością, że trudno mi było go obronić.

Stasiek Wojciechowy odwiedza mię bardzo często, mimo to Hetman zawzięcie szczeka na niego, raz ugryzł go w łydkę, ale nie bardzo; może go nie lubi za to, że nędznie ubrany.

To też boją się Hetmana w sąsiedztwie, choć mnie się zdaje, że niemają czego, bo on przedewszystkiem chce nastraszyć groźną miną, wściekłemi oczami i białemi swemi zdrowemi zębami. W gruncie musi on być trochę tchórzem, i kto wie, czyby nie uciekł, gdyby kto z tych ludzi prostych tupnął nogą i stanowczym krokiem przystąpił do niego.

A jaki on zadowolony gdy mu się uda kogoś nastraszyć i jak lubi straszyć, jaką satysfakcję mu sprawia widok przestraszonej osoby! Nie może się nawet wstrzymać w takim razie od kręcenia ogonem! Kto go zna, odrazu spostrzega, że on straszy na śmiech; niestety! mało osób umie obserwować zwierzęta.

Pewnego razu przyszła do mamy znajoma kobieta wiejska z grzybami. Zanim jednak doszła do domu, Hetman ją spostrzegł, a że nie był uwiązany, więc przyleciał do niej z okropnem szczekaniem. Babinka ze strachu przysiadła na ziemię, i siedzi tak skulona, bez ruchu, jak martwa. Hetman zaś obszczekuje ją dokoła; widać jednak odrazu, że to komedja, że go bawi śmieszna sytuacja, bo ogonem kręci, oczy mu się śmieją, a mimo to szczeka zawzięcie, obchodząc dokoła biedaczkę.

Razu pewnego przyszedł do naszego ogrodu wędrowny grajek, popisywać się okrutnemi fałszami na skrzyp-

cach. Hetman zaraz przyleciał go nastraszyć, ale trafił na dowcipnisia, który brzdęknął mu struną pod nos. Przeraziło to do tego stopnia psa, że stuliwszy ogon pod siebie umknął co sił. Po chwili namyślił się, nabrał odwagi i znów pobiegł do grajka ze szczekaniem, ale ponowne brzdęknięcie struną pod sam nos nabawiło go takiego strachu, że odskoczył i pobiegł schować się do swej budy.

To też całe to szczekanie i straszenie takie podobno niezbędne na wsi, wydaje mi się pozowaniem. Nielada blagier z tego Hetmana! Ale to dobrze, bo nikomu poważnej krzywdy nie zrobi. Skoro mu się uda kogoś nastraszyć, wówczas poczytuje to sobie za wielką zasługę i przychodzi się łasić. Już to wielki z niego pieszczoch, bardzo lubi gdy go głaszczą, gdy czule do niego przemawiają, wtedy lubi głowę swoją ocierać o nasze kolana i przytulać się, ale rzadko kiedy liże.

Niedawno dowiedzieliśmy się, że u jednych państwa jest mały kotek dla zabawy dzieci, dzieci zaś bardzo męczą tę żywą zabawkę. Złożyliśmy się ze Stasiem i uprosiwszy mamę, odkupiliśmy tego kociaka.

— Jakże będą żyli razem z psem? — troszczyła się mama — toż pies i kot nie mogą się znosić i skończy się na tem, że Hetman zagryzie kociaka.

Ale gdzie tam! Hetman z taką wyższością spoglądał na naszą Milusię, tak bowiem nazwaliśmy kotka, że patrzeć na to było zabawnie. Nieraz Hetman leży na werandzie, a Milusia skacze koło niego, wspina się na nim, bawi się jego ogonem; Hetman spojrzy tylko od czasu do czasu z najwyższym lekceważeniem na to małe, zwinne stworzonko i nie raczy nawet mruknąć.

Nieraz dla zabawy sadzałem Milusię na grzbiet Hetmana i prowadziłem ich po ogrodzie: ona się pyszniła, że jej miękko leżeć na gęstych, psich kudłach, a Hetman nic sobie z niej nie robił.

Milusia była bardzo milutką koteczką. Tak się prędko oswoiła, że chodziła z nami na spacer. Nawet i po ogrodzie lubiła biedz za mamą lub tatusiem.

Nieraz tatuś spaceruje późnym wieczorem po ogrodzie, a za nim sunie się biały punkcik: gdy tatuś zwalnia kroku, biała kropka się zatrzymuje, gdy tatuś chodzi prędzej, biały punkcik bieży szybko za nim.

Idziemy do lasu, Milusia jak piesek biegnie za nami. Idziemy nad Świder, wkrótce kotka zjawia się także. I trwało to czas długi, aż razu pewnego, gdy ojciec poszedł odprowadzić późnym wieczorem krewnych naszych, którzy przyjechali nas odwiedzić, poszła za ojcem Milusia; zabłądziła gdzieś w drodze i więcej jej nie widzieliśmy. Cośmy się jej naszukali, ale daremnie! Milusia przepadła jak kamień w wodę. Mama jest tego zdania, że musiał ją ktoś ukraść, bo sąsiedzi wiedzieli o zaletach kotka i zachwycali się jego sprytem i zmyślnością.

Sroka.

Mieliśmy także młodą srokę. Nazwaliśmy ją Basią. Przyswoiła się bardzo prędko. Karmiliśmy ją chlebem, mięsem i serem. Za serem przepadała!

— Basiu! Basiu!—wołam stojąc na werandzie.

Sroka odpowiada mi z poblizkiego drzewa, zabawnem swem krakaniem!

— Chodź tu Basiu! dostaniesz sera!

Sroka odpowiada zaraz skrzeczeniem, poczem sfruwa z drzewa i zabawnie podskakując przychodzi piechotą, zatrzymuje się co parę kroków, potrząsa łebkiem, kracze— wreszcie przeskoczywszy schodki jeden za drugim zjawia się przy mnie na werandzie. Wówczas podrygując i krącząc otwiera szeroko swój ogromny ale słaby dziób,

a ja wpuszczam weń kawałeczki sera. Sroka kracze, dopraszając się jeszcze. Ja udaję, że odchodzę. Basia leci za mną z krakaniem tak przeraźliwem, że wracam i znów ją karmię. Wówczas uspakaja się, przycicha, tylko z łapczywością chwyta ser i połyka. Gdy ma dość, zamyka dziób i okropnie się gniewa, gdy ją jeszcze traktować jedzeniem.

Basia wszystko łyka, ale mimo to ma poczucie smaku bardzo wysokie. Mnieby się zdawało, że kto połyka, a nie rozgryza, ten nie może rozróżnić smaku pokarmów. Widocznie jednak tak nie jest, bo Basia doskonale rozróżnia mięso, chleb i ser. Gdy ją karmić serem, a potem włożyć w dziób kawałeczek chleba, wypluwa go, gniewa się; skoro znów jej dać sera, to połyka go z zadowoleniem, i nadstawia dziób po jeszcze.

Przez figle, karmiąc ją serem, poczęstuję ją chlebem: zawsze go wyplunie, a gdy ten żart ją zniecierpliwi, odwraca się tyłem obrażona, i nic brać nie chce.

Musiałem nauczyć ją fruwać, bo była małem pisklęciem, gdy ją Stasiek przyniósł i nie umiała sama ani jeść, ani fruwać. Nakarmiwszy brałem ją na rękę i z początku puszczałem na krzaczek najbliższy, a później na drzewa. Basia posiedzi trochę na krzaku, lub na drzewie, ale wkrótce sfruwa i podskakując bieży na werandę, tu zobaczywszy kogo z nas, kracze i dopomina się znowu jeść. Wówczas wyrzucam ją znów wysoko na drzewo. Chcąc nie chcąc musi rozpostrzeć skrzydła i machnąć niemi parę razy, zanim usiądzie na gałęzi. Tym sposobem nauczyła się używać skrzydeł.

Trzeba było nauczyć ją aby jadła sama. W tym celu postępowałem w taki sposób. Pokazuję jej kawałeczek sera: wówczas Basia leci krącząc i otwiera dziób po smaczny kąsek. Ale ja kładę ser na podłodze. Z początku nie chciała brać z podłogi i wciąż otwierała dziób,

kracząc, prosiła w ten sposób, aby jej jedzenie do dzioba włożyć.

— Nie Basiu! jedz sama! ser tu leży — mówię, pokazując go jej palcem.

Widząc, że nie ustąpię, zabierała się niezdarnie do jedzenia, przekręcała głowę na bok i długim dziobem jak szczypcami starała się uchwycić ser bokiem. Wreszcie uchwyciła! od tej pory starałem się aby choć raz dziennie sama jadła.

Siedzę w ogrodzie na ławeczce i wołam:

— Basiu! Basiu! chodź, chodź na ser, na ser!

Basia z krakaniem sfruwa z drzewa i biegnie do mnie. Staje, nogi szeroko rozłożywszy i przechyliwszy głowę na bok patrzy na mnie pytając wzrokiem: gdzie ten ser?

Z Hetmanem i Basią.

— Tu Basiu! na ławce!—mówię, krusząc ser na ławkę. Basia się wzdryga, narzeka, kracze, prosi, żebym sam

ją karmił, ale daremnie! Pozostaję niewzruszony. Widząc wreszcie, że to wszystko na nic, ze złością zabiera się do jedzenia, w miarę zaś jak się rozsmakowywa w serku, uspakaja się, i wszystko do ostatniej okruszyny niknie w jej szerokiej gardzieli.

Z równym apetytem zajadała mięso, chlebem zaś gardziła. Odkąd nauczyła się jeść sama, zaczęła szukać po ogrodzie żuczków i liszek i smacznie je dziobała. Jednocześnie rozbudziła się w niej taka ciekawość, że wszystko, co choć trochę błyszczy bierze dziobem, ciągnie i zanosi w jakiś kącik, aby to ukryć. Niedarmo zowią sroki złodziejami.

Bywało nieraz, mama chodzi po ogrodzie, a za nią krok w krok skacze Basia. Gdy mama się zatrzyma przy drzewku wiśniowym i rwie wiśnie, wówczas Basia widząc, że zanosi się na dłuższe czekanie, siada na drzewie i kracze do mamy. Wkrótce mama idzie do drugiego drzewa, wówczas Basia zrywa się i leci za mamą.

Nieraz mama otworzy w swoim pokoju okno i woła:

— Basiu, Basiu, chodź do mnie! jestem tutaj!

Zaraz odzywa się gdzieś z ogrodu krakanie Basi, słychać ją gdy z trudem jeszcze sfruwa z jednego drzewa na drugie, skrzecząc jakby pytała: „Gdzie jesteś? gdzie jesteś?"

— Basiu, Basiu!—woła mama—chodź tu!

— Gdzie? gdzie?—pyta Basia swem krakaniem.

Wreszcie zjawia się w oknie.

— Basia grzeczna! dostanie sera! — mówi do niej mama, dając jej wielki kawałek twaroga. Sroka chwyta za ser i ucieka z nim w gęsty zakątek ogrodu; zdaje mi się, że go nie zawsze zjada tylko schowa.

Gdy podrosła, lubiła robić mamie niespodzianki. Mama idzie przez ogród, a tu raptem zrywa się z krakaniem Basia z poblizkiego drzewa, i leci za nią na skrzydłach, aż usiądzie jej na ramieniu, i tak spacerują sobie razem.

Pewnego razu zerwała się raptowna i gwałtowna wichura z deszczem i gradem. W jednej chwili stanęły olbrzymie kałuże w ogrodzie: wiatr chylił drzewa, łamał gałęzie. A tu Basia została na dworze! Wołamy ją wszyscy, ale daremnie, żadnej odpowiedzi. Byłem pewny, że zginęła od gradu. To też gdy tylko burza uspokoiła się cokolwiek, pobiegliśmy do ogrodu wołając jej i szukając. Nie odpowiadała! Zaczęliśmy zatem przeszukiwać gęste krzaki i wreszcie znaleźliśmy ją; siedziała przemoknięta w środku gęstego jałowca. Wysuszyliśmy ją ręcznikiem, nakarmili i dopiero wówczas głos odzyskała. Z początku krakanie jej było tak żałosne jakby się skarżyła. Ale niebawem odzyskała dobry humor i zaczęła ciągnąć sznurowadło od bucików, bawiąc się tem.

Nieraz sadzałem Milusię i Basię na Hetmana i tak spacerowaliśmy po ogrodzie. Hetman poddawał się temu, spoglądając na obie panie z lekceważeniem. Szczególniej na Basię patrzał tak zabawnie, jakby chciał pytać: „A to co znowu za straszydło?"

Najpocieszniejsze jednak były zabawy Milusi z Basią. Temu przyglądała się nawet babunia z uśmiechem. Basia ciągnęła swym dziobem za ogon kotkę, a ta wyprawiała wówczas najzabawniejsze skoki. Udawała, że chce się rzucić na Basię, a ta uciekała, pomagając sobie lekko skrzydłami i oglądając się za kotką, jakby ją zachęcając do gonitwy. Po chwili Milusia wracała na werandę i rozkładała się na słońcu. Wówczas Basia kręciła się w koło niej w zabawnych podskokach, aż wreszcie znów ją ciągnęła za ogon. Kotka zrywała się, aby na straszyć srokę i rozpoczynała się znowu zabawna gonitwa po ogrodzie.

Ale razu pewnego, nad wieczorem, przyleciało kilka starych srok; krążyły one nad ogrodem, krącząc bezustannie. Basia przerażona przyleciała z ogrodu skryć się na werandę i wtuliwszy głowę siadła tuż koło mamy

i nasłuchiwała niespokojnie. Ja i Staś wzięliśmy długie tyki i staraliśmy przybyłe sroki wystraszyć z ogrodu.

Powtarzało się to przez kilka wieczorów, ale Basia coraz mniej się obawiała starych srok. My zaś rzucaliśmy w ich stronę kijami, kamieniami i robiliśmy co przez myśl przeszło, aby sobie poszły. Jakoż przestały przychodzić wieczorem, ale za to rozpoczęły swoje wizyty raniutko, gdyśmy wszyscy jeszcze spali. Basia spała w gnieździe sztucznie jej przez nas zrobionym pod dachem werandy.

Służąca nasza, Agnieszka, bardzo lubiła tę srokę. Ona pierwsza zrozumiała, że owe przybyłe sroki chcą naszą Basię uprowadzić z sobą do lasu. To też skoro raniutko posłyszała ich krakanie, zrywała się z łóżka, wołała Basię, i dawała jej ser i mięso, aby ją tą przynętą zatrzymać przy nas. Pewnego jednak ranka zaspała i już nie znaleźliśmy Basi w ogrodzie: uprowadziły ją stare sroki na swobodę, do lasu!

Szkoda nam jej było! musi być jej jednak lepiej w lesie niż u nas, choć miała jedzenia i pieszczot pod dostatkiem. To darmo! nic nikomu nie może zastąpić swobody. Jest ona najdroższym skarbem dla wszystkich.

W naszym ogrodzie jest pełno ptaków!

Pewnego razu, Staś przybiegł zdziwiony do mamy, mówiąc, że w drewnianej ramie, w którą wprawiona jest pompa, siedzi mnóstwo małych żabek. Poszliśmy tam zaraz z mamusią, żeby zobaczyć, co to być może.

— Ależ to nie żaby! zawołała mama, to są malutkie ptaszki, nagie pisklęta! Jakiś ptaszek założył tu sobie widocznie gniazdko, a to są jego małe. Schowajmy się w krzaki, i baczmy, czy który z rodziców zawita ze śniadankiem dla głodnej dziatwy, która i do nas dzióbki otwiera, prosząc jeść.

Jakoż niedługo czekalismy. Wkrótce zobaczyliśmy małą ptaszynę, która frunęła na poblizkie drzewo i stam-

tąd wprost do dziupli. Słychać było wyraźny pisk piskląt, dopominających się jedzenia. Nakarmiwszy małe, ptaszyna wyleciała, a w dziupli zrobiło się cicho.

Zrazu rozpoznać nie mogłem, co to za odważny ptaszek założył sobie gniazdko w ramie pompy, do której przecież chodzą brać wodę. Wprawdzie pompa ta była mało używana, gdyż mieliśmy drugą, bliżej kuchni. Z tej czerpano wodę tylko do polewania roślin.

Zaczaiłem się w pobliżu pompy dla obserwacji, i przekonałem się, że ptaszkiem tym była zwyczajna sikora bogatka, maleńka, a tak odważna, że nawet w czasie pompowania wody, nie obawiała się odwiedzać swoje dzieci. Nastąpiło to jednak wówczas dopiero, gdy przekonała się, iż my wiemy o jej gniazdku, zaglądamy do niego, a jednak nie robimy krzywdy jej dzieciom.

Sikory.

Pisklęta tymczasem rosły, dostawały piórek na skrzydełkach, okrywały się puchem. Było ich dwanaścioro! Co za pracę mieli rodzice w nakarmieniu tej gromadki. Cały dzień się uwijali, ze zręcznością i zwinnością niezmierną, łapiąc, szukając i znosząc owady, liszki i jajeczka. Pisklęta tak głośno nieraz piszczały, dopominając się jedzenia, że o parę kroków od pompy słychać było ich głosiki.

Rosły szybko i coraz ładniały. Wreszcie stały się zupełnie podobne do rodziców: głowę miały czarną z dwoma białemi plamami pod oczami, brzuszek żółty z czarnym pasem przez środek, skrzydła niebieskawe z czarnemi brzegami a grzbiet zielonkawy. Pstre, ale łagodnie pstre, gdyż barwy ich nie są jaskrawe.

Cieszyliśmy się, że sikorki tak podrosły, aż pewnego poranka zniknęły! Ani rodziców, ani dzieci! Sikorki wychowawszy pisklęta, przeniosły się poprostu na inne mieszkanie.

Przy parkanie, na akacji, jakiś ptaszek usłał sobie gniazdko w rozwidleniu gałęzi. Było tam coś ze sześć jajeczek w plamki żółtawe i brązowe. Pewnego razu, gdym przyszedł jak zwykle obejrzeć gniazdeczko, ze smutkiem spostrzegłem, że gniazdko strącone leży na ziemi, a obok niego potłuczone jajeczka.

Co się stało! czy pastuszkowie taką krzywdę zrobili rodzicom, czy też może wiatr, który dzisiejszej nocy wył na dworze, strącił gniazdeczko?

W parę dni potem zauważyłem, że do gniazdka, uplecionego przezemnie ze słomy i zawieszonego pod dachem werandy, zaglądają dwa szare ptaszki. Wkrótce mogłem stanowczo powiedzieć, że gniazdko moje zostało zamieszkane. Codziennie widziałem po kilka razy ptaszki wlatujące i wychodzące z gniazdeczka. Były one nieduże, szare z wierzchu a białawe od spodu; ogon miały widełkowaty i długie, ciemniejsze skrzydła. Dziób spory i szeroki. Nogi bardzo krótkie. Były to muchołówki szare. Zaglądałem do ich gniazdka: nie było w niem jajeczek.

Niewiem dlaczego przyszło mi na myśl, że to te same ptaszki, którym zapewne wiatr strącił gniazdeczko. Postradały domek i dzieci, dlatego przyszły się osiedlić przy ludziach, gdzie bezpieczniej. Dowiedziałem się później, że muchołówki klecą gniazdka bardzo niedbale, więc

utwierdziło mię to w przekonaniu, że nikt inny tylko wiatr strącił licho sklecone domostwo.

Przyjrzałem się dokładnie trybowi życia muchołowek. Cały dzień siedziały milcząc na drzewach, najczęściej na uschniętej topólce i rozglądały się na wszystkie strony. Spostrzegłszy muchę zrywały się, chwytały ją i znów siadały na gałęzi. I tak schodził im dzień cały. Nie ćwierkały, ani nie śpiewały nigdy. Przypisywałem to ich smutkowi po utracie gniazda i dzieci, — ale potem przeczytałem, że wszystkie muchołówki są bardzo milczące.

Ptaszki te były u nas, aż do samego naszego wyjazdu z Józefowa.

Muchołówki.

Los zawieszonych przezemnie skrzynek był nie bardzo pomyślny. Skrzynki umieszczone dalej od domu zniknęły. Podobno pastuszkowie je sprzątnęli. Jedna tylko została przy domu, pod osłoną werandy; zagnieździły się w niej wróble. Pierwszy Staś spostrzegł, że od czasu do czasu wróbelek cichaczem wchodzi do skrzynki niosąc w dzióbku to słomkę, to trawkę, to szczyptę puchu, to odrobinę mchu. Potem zaczęliśmy rozróżniać samczyka z ciemniejszą główką od jaśniejszej samiczki. Po niejakim czasie wróble przestały się nas bać: nieraz, gdy wszyscy siedzimy na werandzie, one wychodzą i wchodzą do skrzynki, jakby nas nie było.

Samiczka musiała w skrzynce złożyć jajeczka, nie chciałem jednak do niej zaglądać, raz dlatego aby nie spłoszyć ptasząt, a powtóro że gniazdko to było za wy-

soko. Wreszcie posłyszeliśmy cieniutkie głosiki piskłęce. Zwłaszcza gdy rodzice zjawią się z jedzeniem, wówczas podnosi się zabawny pisk w skrzynce. Może dzieci tak się cieszą, na widok nadlatującej matki, i każde nadstawia rozwarty dziobek, dopominając się pokarmu dla siebie?

Później, gdy podrosły, wyglądały nieraz przez okienko skrzynki, patrząc się ciekawie na ogród.

Pewnego pięknego poranku rodzice wyprowadzili dzieci, i ku wielkiej naszej radości zobaczyliśmy całą rodzinę wesoło szczebiocząca na poblizkim drzewie. Siedziało na niem coś z osiem maleńkich wróbelków, a stare radośnie gaworząc uwijały się w koło nich, znosiły im jedzenie i zachęcały do próbowania skrzydeł.

Próby te odbywały się przez kilka dni, a wówczas widzieliśmy przez cały dzień małe ptaszki na poblizkich drzewach, a rodziców na straży niedaleko nich. Na noc wracała cała gromada do skrzynki. Skoro jednak młode wróbelki nauczyły się dobrze fruwać, wówczas zniknęła cała wróbla rodzina, opuściła naszą skrzynkę! Ale może mimo to zamieszkuje nasz ogród? nie mógłbym ich rozpoznać, gdyż wszystkie wróble są do siebie podobne.

Pewnego razu poszliśmy z Hetmanem na spacer do lasu.

Wracając, gdyśmy byli o jakie sto kroków od domu, wypłoszył on z pod rozłożystej choiny całą rodzinę kuropatw. Z pod jej nizko rozpostartych gałęzi wysypała się cała moc młodziutkich kuropatewek. Rodzice zaś krążyli nad niemi tak nizko, że Staś schwytał jednego dorosłego ptaka za skrzydło, ale mu się wyrwał. Wziąłem Hetmana za obrożę, żeby nie płoszył rozpierzchłego biedactwa. W jednej chwili młode kuropatewki pochowały się pod sąsiednie choinki, jedna tylko, malutka i śliczniutka nie zdołała się skryć. Wzięliśmy ją ze sobą do domu. Wpuściłem ją do klatki: biegała niespokojnie i głowę chowała w kącik. U kuropatw, tak samo

jak u kur, młode są odrazu upierzone, biegają doskonale i szukają same pokarmu. Niema śród nich piskląt nagich, ślepych, niezaradnych.

Nasza mała kuropatwa była brązowa w jaśniejsze kropki, a zatem trochę odmiennie upierzona od starych kuropatw. Martwiło mię to, że nie chciała ani jeść, ani pić. Mama poradziła mi, abym ją odniósł do rodziców, bo zginie. Odnieśliśmy ją więc, w parę godzin po złapaniu, pod rodzinną choinę, obiecując sobie, że nazajutrz,

Kuropatwy.

a potem codzień, przyjdziemy odwiedzić nasze kuropatewki. Będziemy widzieli jak młode rosną, będziemy podpatrywali ich życie.

Nazajutrz z bijącem sercem zbliżamy się do gniazda kuropatw; zaglądamy pod choinę ostrożnie podnosząc opuszczone aż do ziemi gałęzie.... nic i nikogo. Obejrzeliśmy wszystkie choinki w pobliżu, przeszukaliśmy wszystkie okoliczne gąszcze: kuropatw ani śladu. Nastraszone przez nas, wyniosły się jaknajspieszniej z całą dziatwą w dalszą, bezpieczniejszą okolicę, gdzie ich nikt nie znajdzie.

Spacerując po ogrodzie posłyszałem któregoś dnia żałosne, ogromnie żałosne zawodzenie ptasie. Zaczaiłem się śród krzaków, w pobliżu miejsca, skąd rozlegało się wołanie pełne skargi. Stąd widziałem wszystko dokładnie.

W zaroślach malin, gniazdko sobie usłał słowik. Wiedzieliśmy bardzo dobrze, że w gniazdku są młode pisklęta. Zaglądaliśmy nieraz do nich, ale nigdy nie ruszaliśmy ani gniazdka, ani piskląt. Otóż, mamusia słowik wywodziła w tej chwili swoje żale i skargi! Siedziała na pobliskiej akacji, to znów fruwała dokoła gniazda z rozdzierającym piskiem. Co za przyczyna tego niepokoju? Zapewne małe jej są w niebezpieczeństwie. Zacząłem się rozglądać, szukając nieprzyjaciela, który biednej słowiczce narobił tyle strachu. Niebawem go odkryłem. W pobliżu, na parkanie, siedział spory, krępy ptaszek, z różową piersią, niebieskawoszarem wierzchem głowy i rdzawemi skrzydłami. Był on bardzo ładny. Tylko dziób mi się nie podobał, mocny i haczykowato zakrzywiony. To drapieżca! Poznałem go! Jestto gąsiorek czyli dzierzba cierniokręt, wielki zjadacz owadów, ale jednocześnie amator piskląt i jaj ptasich! jestto okrutnik jakich mało! Lubi bowiem schwytane pisklęta, żuki, motyle nabijać na ciernie i rozszarpywać po kawałeczku. A taki z niego żarłok, że często nie może zjeść odrazu wszystkiego co ułowi: wówczas zostawia swe ofiary na

Słowik.

cierniach, w wiadomem mu miejscu i przychodzi po nie później, gdy głodny. Tym sposobem ma on dla siebie i swej rodziny istną spiżarnię.

Gąsiorek.

Nic dziwnego zatem, że słowiczka tak się obawiała tego pięknego okrutnika i starała się wystraszyć go piskiem i trzepotaniem skrzydeł. Po co on tu przylatuje? czy pisklęta chce nam wybierać? ptaszki nam będzie wystraszał z ogrodu? bo ptaszki opuszczają ogród często nawiedzany przez gąsiorki. Tak mi się żal zrobiło przestraszonej i zrozpaczonej słowiczki, że pobiegłem cichutko po Stanisława i jego fuzję. Stanisław zaczaił się w gąszczu, zmierzył, wypalił... postrzelony gąsiorek zaczął uciekać, aleśmy go złapali. Żył jeszcze parę godzin, ale nie chciał nic jeść ani pić i zdechł.

Kosy.

Dałem go do wypchania i trzymam w swoich zbiorach na pamiątkę.

W zeszłym roku przywiozłem ze sobą do Józefowa kosa, synogarlicę i parę czyżyków. Kos był dość oswo-

jony. Wypuszczałem go nieraz z klatki aby mógł swobodnie fruwać po pokoju. Jest on cały czarny, tylko dokoła oczów ma żółte obwódki. Siedzi sobie na szafie i ślicznie gwiżdże. Lubiłem bardzo jego miły śpiew i jego tak niezwykłą powierzchowność. Gdym go wołał po imieniu: „Maciuś, Maciuś!" wówczas przylatywał do mnie. Postawiłem jego klatkę w ogrodzie, aby mu lepiej było na świeżem powietrzu, karmiłem go mięsem, a czasem rzuciłem mu nawet garść żuczków.

Czyżyk.

Odkąd jednak zamieszkał w klatce, w ogrodzie, Maciuś ogromnie stracił na humorze. Przestał gwizdać, jadł mało, tylko siedział nieruchomie na jednem miejscu. W Warszawie był daleko weselszy.

Zaciekawiło mię bardzo skąd mogła pochodzić taka zmiana humoru? Przecież powinien być właśnie weselszy, bo siedzi śród drzew, bo lato, ciepło, słońce świeci! Zacząłem bacznie mu się przyglądać i zrozumiałem! Kos w klatce swej wciąż nasłuchiwał, chwytał uchem świergot ptaków, ich wesołe przekomarzania, kukanie kukułek, pogwizdywanie wilg, krakanie wron. Wszystkie te odgłosy lasu i ogrodu napełniały go nieokreśloną tęsknotą! On tęsknił! pragnął lasu! swobody! Zauważyłem, że widok blizko jego klatki przelatujących ptaków wprawiał go w podziw i zachwycenie, starał się wówczas wzlecieć, ale się tylko tłukł o szczeble swej klatki. Żal mi się zrobiło tęskniącego więźnia, otworzyłem mu drzwi klatki, a sam usiadłem w pobliżu, aby zobaczyć co on zrobi. Kos powolutku wyszedł z klatki, czas jakiś dziwił się, rozglądał, a potem, widocznie zrozumiał, bo odrazu skoczył w krzaki, a tam, rozpiąwszy skrzydła poszybował... do lasu!

Przyswojoną synogarlicę, zwaną Szarusią, także wypuściłem. Szarusia wołała często: „cukru! cukru!" zwłaszcza nad ranem. Nawoływaniem swem budziła nas co-

dziennie. Zbudowałem dla niej gniazdo w ogrodzie, przy domu, gdyż niepodobna było trzymać ją w pokoju. Czas jakiś mieszkała w tem gnieździe i zjawiała się na werandzie gdym ją wołał po imieniu. Musiały ją jednak zwabić synogarlice licznie zamieszkujące las, bo raptem zniknęła i więcej nie wróciła do nas.

Miałem także dwa czyżyki, które kupiłem na ulicy przez litość, bo żal mi było biednych ptaszków, schwy-

Kury.

tanych przez jakichś łobuziaków. Były one bardzo zabawne. Wesołe, gadatliwe, ruchliwe, wyprawiały istne sztuki akrobatyczne, np. łaziły po dachu klatki, głową na dół. A żarłoki niebywałe! Dawałem im siemię lniane, a gdy dostały jeść, to się biły o to, który pierwszy dopadnie misecki z ziarnem, I co zabawne: zawsze mniejszy, bardziej rezolutny i sprytniejszy odpędzał starszego i dopuszczał go do biesiady, gdy sam się już najadł. Oba mi tu uciekły! Służąca, Agnieszka, zostawiła niechcący

ich klatkę otwartą i poszły na ogród. Sfrunęły na pobliską akację. Śledziliśmy z mamą co będą robiły. Starałem się bardziej przyswojonego złapać, ale mi się nie udało. Zdawały się zachwycone i oszołomione odzyskaną swobodą Z jednej akacji sfrunęły na drugą i tak dalej, aż wyleciały po za ogród. Szliśmy oboje z mamą za niemi, śledząc ich wzrokiem i nasłuchując ich charakterystycznego wołania. I tak doprowadziliśmy je aż nad Świder, do olszynki, w gąszczu której nam zniknęły.

Mama powiedziała mi, że to szczęśliwie, iż trafiły one do olszynki, bo tam znajdą swoje ulubione pożywienie: orzeszki olchowe. Dobrze im tam będzie! A swoją drogą żal mi ich bardzo, bo je lubiłem, zwłaszcza mniejszego.

Mama trzymała tu zawsze sporo kur i kurcząt. Zabawne są pomiędzy niemi okazy.

Mieliśmy jednego kogutka nazwanego niewiem przez kogo Pietrkiem. Nazwa ta tak się utarła, że wszyscyśmy go tak nazywali. Był nieduży i młodziutki, a rej wodził w całym kurniku. On zwoływał kury na obiad, i dopiero gdy one sobie podjadły, zabierał się sam do ziarna, lub kartofli. Zawsze pilnował, aby wszystkie się zebrały, inaczej szukał je po ogrodzie, piał i na swój sposób zapraszał do jadła. On też pilnował, aby wieczorem wszystkie weszły do kurnika i darł się niemiłosiernie gdy spostrzegł że kucharka chce kurnik zamknąć, a brak jednej kury. Wszystkie kury go słuchały: nawet stare, wielkie, ciężkie i poważne słuchały we wszystkiem małego kogutka. Ale on jednej starej kury bardzo nielubił: gonił ją nielitościwie po ogrodzie, tak, że musiała zmykać przed nim na skrzydłach z okropnym krzykiem, a gdy przypadkiem stanęła koło niego, to ją dziobał. Nasza kucharka dowodziła, że to dlatego, że ona jaj nie znosi. Wszystkie bowiem stare kury się niosły, prócz tej jednej.

Otóż kuma zauważyła, że Pietrek odbywa codzień spacer z jedną kurą czubatką: odprowadza ją do parkanu, koło którego czubatka gdzieś znika, a on czeka na nią, skoro się zjawi, wówczas razem wracają. Ponieważ kuma powierzyła mi swoje spostrzeżenie, więc postanowiliśmy podpatrzeć kogutka i kurę.

Poszliśmy tedy niepostrzeżenie za niemi. Przy parkanie Pietrek pozostał, jakby na czatach, czubatka zaś przeszła dołkiem po pod parkan i znikła w poblizkim rozłożystym chojaku. Choinka była gęsta, nizka, a zbite jej dolne gałęzie leżały na ziemi. Niebawem kura wróciła tą samą drogą (pod parkan) na ogród, i oboje z Pietrkiem wesoło gaworząc kroczyli sobie w stronę kurnika. My zaś z kumą obszukaliśmy choinę i znaleźliśmy pod nakryciem gałęzi pięć jaj złożonych w wygrzebanym dołku.

Kura chciała widocznie siedzieć na jajach, a ponieważ zabierano jej jaja z kurnika, więc wzięła się na fortel: niosła je w kryjówce, może ją do tego namówił Pietrek, bo on taki sprytny!

Wszystkie te kury, razem z Pietrkiem i dwiema prześlicznemi rasowemi kurami z wielkiemi i białemi jak śnieg pomponami na głowie, skradli nam złodzieje! Skorzystali z takiej nocy, gdy rodzice zwolnili stróża, i wynieśli wszystkie kury razem z kurnikiem, dlatego z kurnikiem, aby mniej robić hałasu. Kurnik znaleźliśmy w parę dni później pod lasem, ale kur... ani śladu! Stały się łupem złodziei; zapewne je gdzieś sprzedali i poszły pod nóż. Najwięcej żal nam było Pietrka, a stara kucharka płakała po nim, gdyż jak mówiła, lubiła go tak prawie jak dziecko. Od tej pory mama nie hodowała kur: kupowała ich tyle, ile trzeba było do stołu, ale nie chciała robić zapasów.

VIII.

Wycieczka do Wisły. Łąka. Trawy. Wierzby i topole. Wierzbówki. Turzyca. Tojeść. Rozświta. Skrzypy. Jeżoglówka. Grzybień żółty. Osty i osetnik. Babka. Zawisak borowiec. Serso.

Zaczęły się cudne, ciepłe dni lipcowe. Teraz nie oblewano nas rano zimną wodą, gdyż rozpoczęliśmy kąpiele w Świdrze. Codziennie koło godziny pierwszej kąpaliśmy się. Co to za rozkosz! bo nie w łazience zamkniętej, a wśród przyrody, pod gołem niebem. Rozbieramy się na murawie, zostawiamy swe ubranie śród rozchodników i pachnącej mięty, i przyodziani w lekkie stroje trykotowe biegamy najprzód po brzegu, na słońcu, brodzimy, łapiemy rybki, przewracamy koziołki, tarzamy się po piasku. Z pół godziny trwa taka kąpiel powietrzno-słoneczna, od której tak się opaliłem, że jestem prawie brązowy. Z początku skóra poczerwieniała, nawet bolała i trochę swędziła, później pociemniała i tak się zahartowała, że teraz zupełnie nie boli, choć ją słońce przypieka niemożliwie.

Ale jak to przyjemnie potem wskoczyć do wody, orzeźwić się, wypluskać, ubawić, pływać! Bo nauczyłem się trochę pływać. Wprawdzie Świder jest płytki i dorosły człowiek pływać nie może. Ale dla mnie jest wody dosyć, tembardziej, że znam takie miejsca, gdzie brzeg jest urwisty, a woda sięga mi pod pachy. Tam pływam. Najłatwiej pływać nawznak: położę się jak deska i tylko rękami trochę ruszam. Prąd mię unosi i lecę, lecę, brzegi migają mi przed oczyma, aż słyszę wołanie mamy:

— Dość, dość Adziu! popłyniesz mi jeszcze do Wisły!

A ja radbym lecieć i lecieć unoszony wartkim prądem, i razem ze Świdrem wpaść do Wisełki.

Staś umie także „robić deskę”, ale daleko gorzej odemnie, w czem niema nic dziwnego, bo jest znacznie młod-

szy. Obaj szalenie lubimy kąpiel w rzece. Jabym chętnie cały dzień spędził w rzece, gdyby można było, ale rodzice nie chcą się zgodzić na takie życie ziemnowodne i więcej jak dwadzieścia minut nie pozwalają mi siedzieć w wodzie.

Wczoraj nie byliśmy w kąpieli; wynajęliśmy bryczkę i pojechaliśmy na wycieczkę do Wisły. Wiózł nas gospodarz Kunowrodzki, mąż naszej mleczarki, która jest bardzo ładna i dobra kobiecina. Siedziałem koło niego na koźle i rozmawialiśmy sobie o koniach. Ja powoziłem. Długi czas jechaliśmy drogą przez pole, potem wzdłuż wioski Małe Świdry. Mama kazała nam stanąć przed chatą Jędrzeja, który tu jest sołtysem i dzieciom jego wysypała moc karmelków, pierniczków i różnych łakoci. Chata jego wyróżnia się od innych schludnością; biała, porządnie ogrodzona, a przed oknami rośnie pełno malw i nagietków.

Cykorja.

Zaraz za tą wioską widać zdaleka Wisłę. Błyszczy ona na słońcu, jak wstęga szaroniebieska, mieniąca jedwabnemi połyskami. Tu oddałem lejce Kunowrodzkiemu, bo bałbym się wywrócić, zjeżdżało się bowiem z wysoko położonej drogi na mokre łąki. Wożono tędy wprawdzie siano skoszone z łąk, ale droga była niemożliwa: wyboje, bagna, kałuże. Coraz bryczka zapadała po osie, lub koń z trudnością ciągnął nas przez wodę, poczem wyjeżdżaliśmy na ląd suchy.

Wreszcie minęliśmy trzęsawisko i wjechaliśmy na cudowną łąkę. Usłana była kwiatami. Wysiedliśmy z bryczki zabierając ze sobą koszyczek zapasów i przybory przyrodnicze, a więc siatki i aparaty.

Margeritka.

Miejscami łąka była cała niebieska od kwiatów cykorji, tu znów bielała od margeritek, tam złociła się od jaskrów, ówdzie pełno było rumianku, wyki łąkowej fijoletowo szafirowej, drjakwi polnej o kwiatach zebranych w główki liljowe, żółte i niebieskie. Wszędzie moc prześlicznych traw o kłosach przedziwnej piękności.

Jaskier.

Za łąką płynęła w dole Wisła. Brzeg był urwisty. Stanęliśmy tuż, tuż nad przepaścią; u stóp naszych rozbijały się mętne ale wartkie fale naszej szarej Wisły, która była widocznie teraz dość płytka, bo miejscami wychylały się z wody wielkie mielizny piasczyste. Na przeciwnym brzegu rosła bujna roślinność, widać było pełno wierzb i topoli... a wszystko owiane mgłą. Przypomniał mi się obraz Chełmońskiego, widziany w Zachęcie, a przedstawiający Wisłę i jej wybrzeże w kolorach mglistych i szarych, zupełnie jak tu!

Rumianek.

Staś zachwycał się krajobrazem i obiecywał sobie namalować go z pamięci, skoro wrócimy do domu. Ja zaś stanąwszy na stromej skarpie, tuż nad wodą zacząłem deklamować z wielkiem przejęciem cudnie piękny wiersz Lenartowicza, pełen miłości naszego kraju i szarej naszej Wisły:

Drjakiew.

Wyka.

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie,
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótna wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne,
A z borów cienistych leśnej okolicy
Rozwiewa się wonność sosnowej żywicy.
Po niebie obłoki, jak bieluchne runo,
Słoneczkiem przeciekłe pod błękitem suną.

Na wodzie, na Wiśle, wśród ciszy poranka
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary!

Po borze jagody dziewczę rwie na wrzosie
I śpiewa miłemu: — Pędź głosie, po rosie.
Po długiej dolinie tęskne tony cieką,
I słychać piosenkę daleko, daleko.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem,
Brzmi nuta serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju —
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Oj, śliczna to ziemia, to nasze Mazowsze!
I czystsza tu woda i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze i dziewki kraśniejsze,
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze.
Gdzie mi kto na świecie tak zagra od ucha?
Gdzie mi się rozśmieje tak raźno dziewucha?
Gdzie mi pokażecie taką chatę lichą?
Taki bór szumiący, taką łąkę cichą?
Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku?
Skąd wam modrej Wisły i białego piasku?
Serce moje, serce do tych lasów goni,
Do Wisły, do Wisły! oj tęskno mi do niej!
Niech ci Pan Bóg szczęści ziemio Mazowiecka,
Płakałem nad tobą od małego dziecka,
I myślałem nieraz siedzący na progach,
Czemu tyle krzyży stoi na twych drogach?

Wiele razy mówię te wiersze, dławi mię w gardle i łzy mi się w oczach kręcą. Tyle uczucia, tyle ukochania jest w tej poezji, tyle prostoty!

Posłyszawszy moją deklamację mama przyszła do mnie i wsparłszy się na mym ramieniu, mówiła:

A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha,
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.
Stare się wierzby nad nią zadumały
O swej starości, o spróchniałej korze,
Ściętych konarach i minionej porze,
Bo one młodość z Wisłą przeigrały,
I do niej jeszcze krzywe, karłowate,
Stroją swe czoła w zieloności szatę.

Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy,
Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała.

— Eh! — zawołał Staś, czyż to Wisła zawsze tak cicho i spokojnie płynie?

— Oh nie! na wiosnę dzieją się na niej dziwy. I dlatego Antoni Czajkowski mówi dalej w tymże samym wierszu do Wisły:

.... Wtedy z strasznym grzmotem
Łamiesz kry, toczysz rozłożyste fale,
Pienisz się, płyniesz szeroko, wspaniale
I pierś swą wzdymasz za wiosny
powrotem.
A kiedy w górach potopnieją śniegi,
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi,
Zalewasz pola i unosisz z sobą
Wieśniacze chaty z całą ich chudobą.
. . . . . .

Staś niecierpliwił się już trochę, bo pragnął zwiększyć zbiory swoje nowemi okazami przyrodniczemi. Poszliśmy zatem na poszukiwania po łące. Rwaliśmy i rwaliśmy bez końca kwiaty i trawy. Tak było miło brodzić po tym suchym oceanie, po pas w roślinach kwitnących!

Mieliśmy śliczną drżączkę, o wiechach rozpierzchłych, o kłoskach jedwabistych, kształtu małych serduszek. Serca te, wisząc na długich i cienkich ogonkach wciąż drżą.

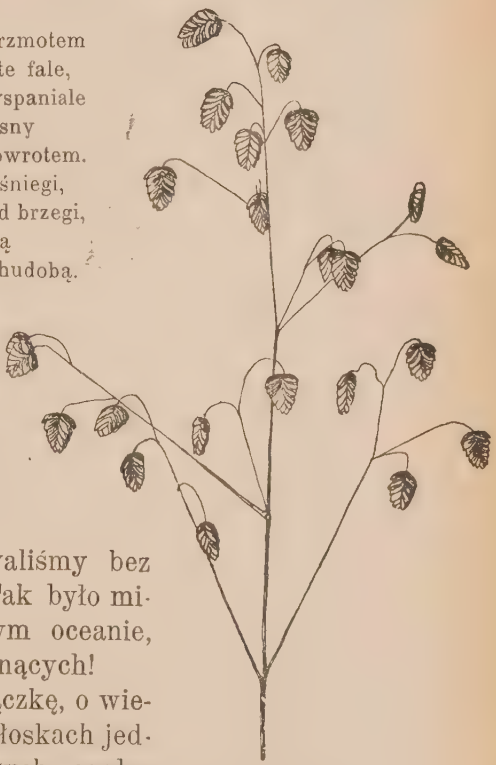

Drżączka

Mieliśmy także spory pęk tymotki o kłoskach zbitych w gęsty walec. Ze środka tej szczoteczki wychylały się pręciki, bo tymotka była w pełnym rozkwicie. Staś wybierał tonkę wonną, która nadaje zapach skoszonemu sianu. Miał zamiar ją suszyć, a potem wyciągnąć z niej

Tymotka.

Kłosówka.

3a.

Tonka wonna.

aromat i zrobić mamie w podarunku trochę perfum, bo mama bardzo lubi zapach skoszonego siana. Ciekawym tylko, jakby się wziął do tej fabrykacji?

Pełno było kłosówki, która jest cała pokryta miękkiemi włoskami szaremi, a wiechy ma duże, rozpierzchłe,

barwy fijoletowej. Wreszcie, ozdobą naszych bukietów była kupkówka; kwiaty jej są zebrane w wiechy, ale nie rozpierzchłe jak u kłosówki, a przeciwnie, zebrane w kupki. Stąd jej nazwa. Obiecywałem sobie zrobić śliczny bukiet suchy z tych traw i zawieźć go do Warszawy. Postawię go sobie na biurku, niech mi przypomina lato!

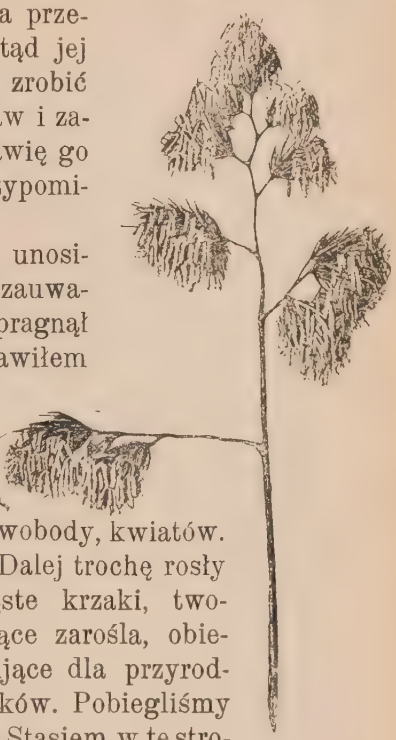

Kupkówka.

Nad trawami i kwiatami unosiły się roje owadów, alem nie zauważył żadnego, któregobym pragnął mieć w zbiorach. Więc zostawiłem je w spokoju. Latały tam pszczoły, osy, modraczki, żarki, kapustniki, nawet pazie królowej, alem się na nie nie kusił. Niech używają słońca, swobody, kwiatów.

Białodrzew.

Dalej trochę rosły gęste krzaki, tworzące zarośla, obiecujące dla przyrodników. Pobiegliśmy ze Stasiem w tę stronę. Rosło tam pełno młodej wierzbiny, wśród której widzieliśmy bardzo wiele uśpionych białych ciem, dobrze nam znanych wierzbówek. Gdzieniegdzie spotykaliśmy puste ich oprzędy, zaczepione pajęczyną do gałązek. Były tam gąszcze topoli osinej i białej, zwanej także białodrzewem, bo liście jej są od spodu srebrzysto siwe. A co tam rosło ślicznego

groszku różowego! Piął się on po wierzbinkach, wtłaczał się w gąszcza topolek, zdobiąc je pięknemi bukietami swych kolorowych kwiatów.

Ta zaś roślina, o różowych kwiatkach, obdarzona jak groszek koroną motylkową, mówiła mama, to wilżyna ciernista, nazwana tak z powodu licznych i długich cierni, któremi niemiłosiernie kłuje.

Dopiero teraz spostrzegłem, że się skaleczyłem i że krew ciekła mi z prawej ręki.

Groszek różowy.

— Czyś rwał nieuważnie tę roślinę ciernistą, pytał zaniepokojony Staś, nic innego skaleczyć cię nie mogło.

— Nie, nie rwałem.

— To może brałeś mikołajki, one także porządnie cierniste.

— Nie brałem mikołajków.

Mama obejrzała mi dłoń, zawiązała ją chusteczką i rzekła:

— Ranka nie pochodzi od ukłucia lecz od przecięcia, jest to długa blizna, jakby zrobiona nożykiem. Wiesz co Adziu, tyś się pewnie skaleczył rwąc trawy.

— Rwąc trawy? — zapytałem zdziwiony.

— To niemożebne! — oburzał się Staś — trawy nie mają ani kolców, ani cierni, ani żadnych innych przyrządów obronnych! Skądby trawa mogła tak dłoń przeciąć?

— Trawy bywają tak ostre, że tną jak noże, odpowiedziała mama. Nagromadzają one w swych liściach i łodygach moc krzemionki i rzną niemiłosiernie. Trzeba je rwać uważnie, inaczej boleśnie się pokaleczysz.

— A na co im ta krzemionka matusiu, musi im przecież do czegoś służyć, skoro ją gromadzą?

— Krzemionka nadaje trawom moc i sztywność. Wszak źdźbło, czyli łodyga trawy jest we środku pusta, i tylko w kolankach (to jest miejscach, z których wyrastają liście) jest pełna. Łamałyby się i gniotły za lada powiewem wiatru źdźbła traw, gdyby nie miały sztywności nadanej im przez krzemionkę. Dzięki jej trawy są nawet bardzo wytrzymałe, chylą się, gną pod wpływem wiatru, ale się nie łamią. Lepiej wytrzymują nawałnice niż niejedno kruche drzewo.

Wilżyna ciernista.

— Jak w bajce o dębie, który drwił sobie z trawki rosnącej u jego stóp. Przyszła burza i złamała dąb. Trawka zaś giętka chyliła się pod parciem nawałnicy i deszczu, a potem wyprostowała się i dalej rosła szczęśliwa, gdy dąb potrzaskany leżał na murawie.

Mikołajek.

— Mnie się ta giętkość nie podoba — rzekłem — wolę hardość dębu.

— Zapewne — rzekła mama — że uginanie głowy i chylenie się przed potęgą nie jest sympatyczne pod względem moralnym, stawianie zaś czoła burzom wywołuje zachwyt i podziw. To się jednak stosuje do ludzi, i dziwnem byłoby gdybyśmy taką samą skalą chcieli mierzyć człowieka i roślinę. W danym przypadku chodzi mi tylko o zaznaczenie, jak sobie potrafią radzić rośliny, aby nie zginąć, aby wyjść obronną ręką z takich silnych

wstrząśnień, jakiemi dla nich są burze. Źdźbłu dodają mocy pełne kolanka, często bardzo zgrubiałe, i pochwy liściowe. Patrzcie, jak te liście są wązkie, długie, prostobrzegie, opatrzone pochwą, obejmującą łodygę na znacznej długości.

— Słyszałem — rzekłem — że trawy kwitną; tymotki są widocznie w pełnym rozkwicie, bo na tym wałeczku, złożonym zapewne z gęsto zbitych kwiatów, sterczy mnóstwo pręcików. Ale kwiaty są tak malutkie, że nie wiem doprawdy, jaki owad może pomódz w ich zapyleniu, tembardziej, że słodyczy chyba nie mają.

Turzyca ostra.

— Trawy są wiatropylne, wystawiają pręciki na zewnątrz kwiatka, aby wiatr porwał ich pyłek i roznosił po całej łące, po całym łanie. Dlatego to kwiatki ich są tak niepozorne i pozbawione barw nęcących oko, że owady nie są im potrzebne. Ot np. ta tymotka, ma kwiatki składające się w głębi ze słupka zakończonego na wierzchu pióropuszkiem i trzech pręcików znacznie wyższych od niego. Wszystko to jest otulone kilku plewkami, obecnie barwy bladozielonej. Przyjrzyjcie się im pod lupą, bo gołem okiem niedobrze wszystko widać.

Mama wydostała z kieszeni lupę i pokazywała nam przez nią części kwiatu trawy, choć ja wcale nieźle rozpoznawałem je gołem okiem.

— Matuś, matuś! — zawołał Staś — mam trawę o pełnem źdźble, bez kolanek.

— Jestto turzyca ostra, krewniaczka traw. Skąd ją wziąłeś, Stasiu?

— Niedaleko małego stawu matusiu, chodźmy, tam śliczna jest roślinność.

Rosło tam istotnie mnóstwo turzyc o łodydze pełnej i kańczastej. Kwitła też obficie tojeść pospolita błyskająca złotemi wiechami kwiatów, a także śliczna roślina błotna zwana rozświtą, o ładnych kwiatach różowych, ułożonych w baldaszki. Wzięliśmy jej cały bukiet. Kwiat jej ma jedną trójkę płatków większych i różowych, od spodu zaś drugą trójkę bledszych i mniejszych. To też sprawia wrażenie trójpłatkowego, jak wszystkie prawie kwiaty z bagnisk.

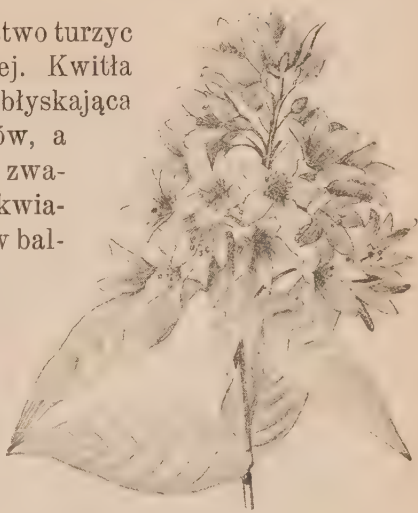

Tojeść pospolita.

Rozświta.

Niedaleko stał cały łan rozkwitłej babki wodnej o kwiatach drobnych, białych, niepozornych, zebranych w duże wiechy rozpierzchłe.

Obok rosło całe pole skrzypów. Dziwna roślina ten skrzyp! Cała członkowana, kolankowata i szeleszcząca, a przytem składa się jakby z dwóch roślin, wyrastających z jednego korzenia. Jedna stanowi zielony krzaczek: to liście skrzypu. Druga jest pędem nagim, wysokim, członkowanym,

z oryginalnym kłosem u góry. Kłos zaś składa się z szeregu okółek, złożonych z łusek. Ot ten skrzyp, który wziąłem do obejrzenia, ma 12 takich okółek, jego kłos jest jakby dwunastopiętrowy, koloru brązowego.

— Pod temi łuseczkami — rzekła mama — znajduje się mnóstwo zarodników skrzypa, pochowanych w małe torebki. Pochowane są i przykryte łuskami, aby czasem nie zmokły. Gdy dojrzeją, wówczas wiatr je porywa i rozsiewa. Nie pamiętam, czy mówiłam wam kiedy, że przed wielu, wielu wiekami skrzypy były olbrzymiemi drzewami. Całe lasy skrzypów rosły kiedyś na świecie, gdy ziemia była bogatsza w soki niż dziś i niewyczerpana uprawą. One to przyczyniły się w znacznej mierze do utworzenia się pokładów węgla. Dzisiaj zaś są szkodliwym chwastem, trudno dającym się wykorzenić z gruntów uprawnych, gdyż kłącze jego są głęboko zapuszczone i rozrastają się coraz dalej i dalej, a krzemionki mają w sobie tyle, że używane są dla swej szorstkości do polerowania.

Skrzyp.

— Patrz matuś! – zawołał raptem Staś z radością — patrz com znalazł! coś tak cudacznego, coś tak zabawnego, niby małe kasztany wyrastające na trawie!

— Jakaś roślina najeżona, kolczasta, może trująca! rzuć to lepiej Stasiu! — zawołałem.

— Z powodu tych strasznie wyglądających kolców roślina ta zwie się jeżogłówką. Jest ona dość pospolita nad stawami. Nastroszone kolce zebrane w główki, są kwiatami tej rośliny. Górne, żółciejsze, są złożone z samych pręcików, dolne zaś, zielone, z samych słupków.

— Alem porządnie nogi zamoczył, sięgając po nią— rzekł Staś—bo daleko rosła, wprost w wodzie.

— Jakżebym pragnął dostać te wielkie kwiaty żółte, rosnące tam daleko, na środku stawku!

Nie dostaniesz się tam kochanku — rzekła mama. — Łódką jeżdżą po grzybień żółty, który rozpościera swoje duże, żółte kwiaty i olbrzymie, płaskie liście na powierzchni wody, korzenie zaś zapuszcza w szlam, będący na dnie wód stojących.

Jeżogłówka.

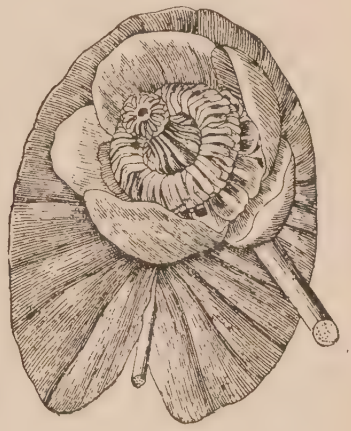

Grzybień żółty.

— Żaba! żaba! — wołał Staś — żaba siedzi na liściu grzybienia, ot tam, na tym wielkim liściu! Jak w łódce, albo na tratwie! Przyjemnego spaceru pani Rechotalskiej!

— A tu na innym liściu grzybienia przysiadła sobie rusałka!

— Ależ tak — rzekła mama — liście te są wielkie i mocne, służą też wielu zwierzątkom, ba, nawet ptaszkom za miejsce odpoczynku. A co się dzieje pod niemi,

trudno opisać! Wiele tam mieszkań, gniazdek, norek; co za polowanie odbywa się wokoło nich, jakie czaty i zasadzki! Całą książeczkę o tem można napisać.

— To już ja o tem kiedyś pomyślę — odparł Staś — gdy dorosnę. Będzie to powieść, pod tytułem: „Co się dzieje na stawie, dokoła liści grzybienia żółtego?" Będzie to rzecz bardzo ciekawa. Bohaterką będzie żabka wodna, albo rybka lub owad wodny.

Mama zaczęła naglić do powrotu. Uprosiliśmy, żeby jeszcze raz nam pozwoliła pobiedz nad samą Wisłę i napoić oczy jej cudnym widokiem. Matuś nie tylko się zgodziła, ale nawet poszła razem z nami.

Zaczęliśmy biegać obaj nad wyniosłym brzegiem, gonić się, tak, że Duszka ledwo za nami zdążyć mogła. Dobiegliśmy tym sposobem do miejsca, gdzie stała płaska i biedno wyglądająca łódź, uwiązana na łańcuchu. Czyja może być ta łódź, kiedy niema tu żadnego domu, żadnej chatki, a do wsi porządny kawał.

Wtem posłyszeliśmy rozmowę. Tam gdzieś są ludzie — pomyślałem i instynktownie cofnąłem się do mamy. Mama nic się jakoś nie nastraszyła, przeciwnie, zadecydowała, że trzeba pójść do tych ludzi i zobaczyć co tu robią.

Wówczas zobaczyliśmy, że nad samym urwistym brzegiem Wisły stał szałas. Ale jaki szałas; trudno opisać całą nędzę tej budowy. Był on uklecony z gałęzi uschniętych, starych jakichś szmat, było nawet parę desek, ale to wszystko przeświecało, wiatr wiał na wylot tego budynku; a deszcz? nie mówmy lepiej o deszczu, który musiał tam nie padać, a lać!

Opodal na łące suszyły się sieci rybackie. Niżej zaś, na samym szczerym piachu wiślanym, dwóch ludzi gotowało coś w saganku nad malutkim ogniskiem. Byli oni bardzo starzy. Podeszliśmy bliżej i wów-

czas spostrzegliśmy, że niżej, na piasczystej skarpie, opadającej tu do wody łagodnym spadkiem, zrobiony był drugi szałas, ale z piasku. W twardym piasku wydrążona była duża nisza, tyłem zwrócona do wiatru, a wejściem w stronę zaciszną. Nisza ta była podparta gałęźmi i deskami. U otworu wisiała jakaś brudna szmata, zastępująca widocznie drzwi. Były to zapewne dwa mieszkania rybackie.

— Co tam robicie rybacy? — zapytała mama.

— Ano, strawę se warzym.

— Rybki gotujecie sobie na zupę, co?

— Rybki to my sprzedajem, a kupujem se ziemniaków i kaszy.

— Gdzież wy idziecie z rybami? do Warszawy daleko.

— Chodzim czasem do Otwocka i sprzedajem na bazarze, a najczęściej żyd przyjdzie raniuśko i wszystko co mamy kupi i sam potem roznosi po letniakach.

— A zarobek macie niezły?

— Jak czasem. Niekiedy i rubla dostaniem, a w inne dnie łapie się sam drobiazg, co go sprzedać nie możem.

— A to wasze mieszkanie? niebardzo wam tu wygodnie.

— Eh! jak se człek naharuje, napracuje, namozoli przy wiosłach i ciągnięciu sieci, to mu wygodnie.

— Ale musi zaciekać w deszcz?

— My zwyczajni do tego.

— Zimą chyba nie mieszkacie tutaj?

— My tu tylko na letniaku. Zimą trza się przenieść gdzieniebądź na wieś, bo tu byś zamarzł.

— Jeśli macie świeże ryby, tobym chętnie kupiła.

— Wszystko żyd dziś rano zabrał.

Poszliśmy w stronę bryczki, gdyż czas było wracać. Rozmawialiśmy o twardem życiu tych biednych lu-

dzi, o niewygodzie, którą znoszą, o ciężkiej ich pracy, lichym zarobku; tylko Staś był zachwycony tem życiem w szałasie, nad Wisłą, całodziennym połowem, gotowaniem zupy nad ogniskiem. Jemu wydawało się to wszystko ponętne. Przyznam się, że i jabym spędził w ten sposób z ochotą dni parę, — ale tak „żyć" nie chciałbym i zdaje mi się, że to musi być bardzo ciężko.

Oset.

Kunowrodzki zaś powiada, że to zabawa, że żaden zdrowy parobek na taki chleb nie pójdzie, bo on woli orać, siać, bronować i t. p. Dlatego też tylko ludzie starzy i niezdatni do pracy trudnią się takiem rybołówstwem. Jestto zajęcie dla niedołęgów.

Na wzgórku rozciągało się całe morze ostów. Rośliny te nie bardzo są zachęcające do bliższego obejrzenia, gdyż liście i łodygi mają kłujące, kwiaty zaś czerwono fijoletowe, wyraźnie wskazujące swym kształtem na przynależenie do rodziny złożonych. Nie są one ani ładne, ani wonne, choć podobne, zwłaszcza w pąkach, do chabrów. Poszedłem jednak w ich stronę, gdyż zobaczyłem parę motylków uwijających się nad ostami. Motyle te wydały mi się nieznane.

Schwytałem jednego. Była to rusałka osetnik, składająca swe jajeczka na ostach, gdyż liszka jej karmi się temi paskudnemi, kłującemi liśćmi. Motyl, choć pospo-

lity, jest bardzo ładny, to też chętnie wziąłem go do zbiorów. Przynajmniej wrócę z jednym zdobytym motylem do domu! Jest on żółtawo czerwonawy w czarne plamki, a na wierzchołku przednich skrzydeł ma białe plamki.

Nabraliśmy ze sobą mnóstwo roślin do bryczki, raz, że lubimy mieć w domu bukiety, a powtóre, suszymy rośliny do zielnika. Muszę jednak się przyznać, że zielnikiem zajmuje się głównie mama. My zbieramy z zamiłowaniem, ale nie możemy się zdobyć na cierpliwość suszenia, bo trzeba każdą roślinę rozłożyć jaknajładniej na bibule, uważać żeby był kwiat, pąk, liść i łodyga. Na drugi dzień trzeba bibułę zmienić, codzień trzeba dać nową, suchą, a starą zwilgotniałą suszyć. Zasuszoną roślinę przyklejamy na arkuszu papieru, za pomocą cieniutkich pasków papierowych. Wszystko to jest dla mnie nudne! Wolę daleko mieć do czynienia z owadami, lubię nawet je rozpinać i codzień do nich zaglądać, czy mi ładnie wyglądają. To też uprosiłem mamę, aby ona suszyła nam rośliny, tembardziej, że Duszka woli mieć do czynienia z roślinami niż z owadami, których rozpinanie przejmuje ją nawet pewnym wstrętem.

Rusałka osetnik.

Po tej wycieczce, przez długi czas stał u nas na werandzie wspaniały bukiet roślin łąkowych, a więc: różowej rozświty, złotej tojeści, zielonych skrzypów, białych wiech babki wodnej, liljowych kwiatów strzałki, a wszystko to ozdobione cudnemi trawami. Nie mogliśmy dość się nacieszyć tym ślicznym bukietem!

Tatuś przywiózł nam z Warszawy serso! Któżby nie znał tej zabawy, polegającej na rzucaniu i chwytaniu kółek! Bardzo to miło przed wieczorem stanąć na murawie, i bawić się w puszczanie i chwytanie obręczy. Cała nasza rodzina staje do tej zabawy, ale babuni nie możemy namówić do gry. Gdy kto z rodziny lub znajomych przyjedzie z Warszawy, to zaciągamy go zaraz do sersa. Tylko Staś okrutnie figluje: łapie kółko skierowane nie do niego, biega od jednej osoby do drugiej, stara się splątać szyki, a gdy mu się uda, wówczas się cieszy, przytem kijek swój przypasuje sobie do lewego boku i udaje, że ma pałasz, taki zabawny!

Miałem dziś dobry dzień, bo z rana pojechaliśmy do Wisły, po południu graliśmy w serso, a wieczorem miałem niespodziankę.

W naszym ogrodzie rósł olbrzymi krzak lepnicy, rośliny dziko rosnącej. Wyrósł w jednym zakątku ogrodu, a widocznie dobrze mu było, bo był olbrzymi i okryty mnóstwem białych, wonnych, lepkich od słodyczy kwiatów, podobnych nieco do goździków.

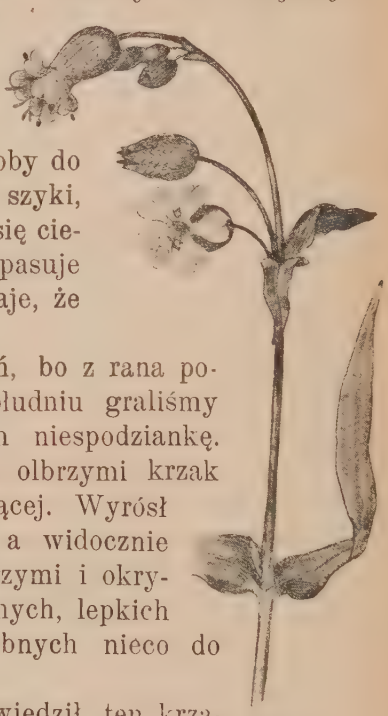

Lepnica.

Gdym o zmierzchu odwiedził ten krzaczek, spostrzegłem wielką szarą ćmę, która trzepocząc się dokoła kwiatów wypijała z nich słodki sok. Pobiegłem po siatkę. Gdym wrócił, ćma w dalszym ciągu oddawała się upajającej uczcie i do tego stopnia zajęta była rozkoszowaniem się słodkim sokiem, że ani się spostrzegła, gdy dostała się do mej siatki.

Był to motyl podobny do zawisaka tawulca, ale mniejszy, żałobny, cały szary w ciemniejsze zygzaki. Tyl-

ne skrzydła, znacznie mniejsze od przednich, były ciemniejsze, przednie zaś, bardziej wydłużone, były jaśniejsze. Odwłok paskowany czarny z białem. Musiał to więc być krewniaczek tawulca.

Otworzyłem atlas motyli, znalazłem rozdział o sfinksach czyli kordziukach i dowiedziałem się, że moja ćma

Zawisak borowiec.

to zawisak borowiec, amator wonnych i słodkich kwiatów, których nektar spija swoją długą trąbką. Gąsienica jego ma gorszy smak, bo zapamiętale zajada igły sosen, stąd jest wielką szkodnicą. Nie zrobię zatem szkody, gdy borowca wezmę do aparatu, ochronię tem nie jedną choinę od zniszczenia. Podobno jednak borowce nie zjawiają się w takiej ilości, żeby aż całe mogły zniszczyć lasy. A są takie szkodniki, tylko, że ja ich jeszcze nie znam.

Nadszedł Stasiek, ale nie podobała się mu moja ćma, gdyż dla niego wesołe jaskrawe barwy są milsze od ciemnych i żałobnych Jabym borowca nazwał ćmą dystyngowaną, bo jest smukły, ciemno dyskretnie ubrany, cichutko lata i upaja się słodyczą i wonnością kwiatów.

Stasiek przyszedł pobujać się na kołobiegu. Jak on to lubi! buja się w jedną stronę, w drugą stronę, zakłada sznur na jedną nogę, to znów siada cały w pętlicy, podbija się, trzymając sznur rękami, figluje, podrzuca nogi do góry i puszcza się szalonym pędem dokoła słupa.

Chłopcy wiejscy dowiedziawszy się, że pozwalamy Staśkowi używać kołobiegu, zaczęli przychodzić, prosząc, aby i im wolno było się pobujać. Rodzice pozwolili im przychodzić w niedzielę po kościele. Nieraz przyjdzie ich sześciu, ośmiu, i są nie do wypowiedzenia szczęśliwi z tej bujawki, jak oni mówią. Ale co oni wyprawiają, trudno opisać. Przedewszystkiem skaczą okropnie wysoko, aż strach bierze, żeby się nie rozbili, a śmieją się, i dowcipkują!

Kiedy spostrzegli, że się im na wszystko pozwala, zaczęli przychodzić po kilkunastu z harmoniką: jedni grają, drudzy się bujają. Tylko nas, to już mama trzyma przez tę parę godzin na werandzie, bo podobno żarty ich i dowcipy niezawsze bywają w dobrym guście. Nic dziwnego: są prości, bez wychowania, bez wykształcenia, to i weselić się umieją w swój sposób.

Chętnie poddawaliśmy się obaj ze Stasiem uwięzieniu na werandzie, gdyż miło nam było bardzo zrobić przyjemność chłopcom wiejskim i zdaleka posłuchać ich gwarnej wesołości.

IX.

Motyle dzienne, ćmy, gąsienice, poczwarki i hodowle. Łubin. Wiśnie. Wilgi. Mszyce, mrówki i biedronki. Chrabąszcze pstre. Złotawce.

Od tego czasu schwytałem kilka borowców. Jedne znajdowałem o zmierzchu, trzepoczące się dokoła kwiatów lepnicy, inne znalazłem w lesie, w stanie uśpienia przytulone do pni sosny.

Wieczorami zjawiała się moc chrabąszczów pstrych, czyli wałkarzy. Są one z kształtu bardzo podobne do chrabąszczy majowych, tylko, że są większe i pokrywy mają nakrapiane w białe kropki. Rożki ich są bardzo zabawne, gdyż składają się z wielu listeczków razem stulonych. Można je jednak porozdzielać za pomocą szpilki przy rozpinaniu nieżyjącego owada, a chrabąszcz z rozpierzonemi wąsami nabiera wspanialszego wyglądu.

Wałkarz.

Gdym złapał pierwszego wałkarza, ze zdumieniem posłyszałem jego pisk żałosny. Więc istnieją owady piszczące! Wszystkie wałkarze skarżą się gdy je złapać, a latając, tak głośno burczą, że zdaleka słychać. Można je łatwo poznać po wielkich skrzydłach rudych, które rozpościerają w locie.

Są to szkodniki, gdyż pędraki ich, tak jak chrabąszcza majowego żywią się w ziemi korzonkami roślin. Rodzice kazali nam je łapać i oddawać Stanisławowi do zniszczenia. Nie bardzo je żałowałem, bo dlaczego wybrały sobie nasz ogród do składania jajeczek! W lesie ich niema, na polu jest ich trochę, a u nas w ogrodzie, skoro zapada wieczór, to burczą i burczą bezustannie. Udało

mi się zdobyć bardzo pięknego żuka złotawca, o pokrywach zielono złotych. Nie wiem o nim nic więcej, tylko tyle, że jest ładny.

I dwie ćmy prześliczne zdobyłem. Jedną znalazłem w dzień, śpiącą na ziołach w naszym ogrodzie. Była nieduża, ale tak przepiękna, że wszystkich zwołałem, aby ją podziwiali. Nazywa się niedźwiedziówka turczynka. Przednie skrzydła ma złote w delikatne plamki, tylne zaś purpurowe w czarne plamki. Odwłok złoty, czarnokropkowany. Wspaniała! Wszak złoto i purpura to królewskie kolory. Jestto ćma dość rzadka, a w każdym razie nie wszędzie można ją spotkać. U nas znalazła widocznie dogodne warunki życiowe, gdyż widziałem w naszym ogrodzie sporo jeszcze turczynek.

Złotawiec.

Za to jeden, jedyny tylko okaz udało mi się zdobyć blizkiej krewnej turczynki, zwanej niedźwiedziówką wdową. Jeżeli pierwsza zowie się dość trafnie turczynką, bo jest jaskrawo ubrana, to jeszcze trafniej druga zowie się wdową. Przednie skrzydła ma czarne jak aksamit, białoplamiste. Tylne – krwiste w czarne plamy. Odwłok czerwony z czarnym. Całość jest tak piękna, że nie ustępuje turczynce. Jestto ćma bardzo rzadka, trafiająca się na piaskach. To też okaz nasz zajmuje honorowe miejsce w pudełku i otoczony jest specjalnemi względami. Zna-

Niedźwiedziówka turczynka.

Niedźwiedziówka wdowa.

leźliśmy ją w polu, przy miedzy, w biały dzień; coś ją widocznie wypłoszyło z ukrycia, i powoli, ociężale lazła po złotym źdźble zbożowym. To ją zgubiło, gdyż rzucił się nam w oczy wielki, ciemny motyl, odbijający rażąco swą barwą od koloru zboża.

W mojej hodowli wylęgły się ćmy bardzo zbliżone kształtem i ubarwieniem do turczynki, co jest całkiem naturalne, gdyż zaliczają się do wspólnej rodziny. Z gęsto uwłosionych liszek, zwanych przez nas niedźwiadkami wylęgły się niedźwiedziówki nożówki. Zanim to jednak nastąpiło, nasze niedźwiadki zamknęły się w kokony, utworzone z pozlepianych włosów. Oryginalne to były oprzędy. A zatem włoski, stanowiące ozdobę i wybitną cechę liszek, posłużyły im następnie do zrobienia schronienia dla poczwarek. Jakież piękne ćmy lęgły się nam z tych oprzędów! Duże, ociężałe, o przednich skrzydłach brązowych w białe plamy, gdy tylne i odwłok są purpurowe w plamy granatowe. Ćmę tę zowią pospolicie kają albo gosposią.

Niedźwiedziówka nożówka.

Tym sposobem mam trzy piękne niedźwiedziówki: turczynkę, wdowę i pospolitą wszędzie, a jednak ładną gosposię.

Zacząłem pilnie przeglądać atlas motyli i dowiedziałem się stamtąd, że rodzina niedźwiedziówek otrzymała swą nazwę stąd, że gąsienice tych ciem są tak gęsto uwłosione, że podobne są do niedźwiadków. Jakże trafnie udało się nam nazwać hodowane przez nas liszki niedźwiadkami! i to zupełnie niechcący, bośmy nie wiedzieli, co to za jedne.

Wszystkie moje trzy niedźwiedziówki są pstre, plamiste, barwy mają jaskrawe, lecz pięknie dobrane, przypuszczam więc, że musi to być cecha całej rodziny.

Wczoraj rano, z jednego z wielkich szarych kokonów wyszła ćma, wielka ćma brązowa, o skrzydłach powycinanych jak liście dębu. Tułów i odwłok miała wielki, włochaty, brązowy. Istne straszydło! Była to barczatka namiotówka we własnej osobie. Taka była gruba, kosmata, ciemna, żem bał się jej dotknąć. Nic dziwnego, z gąsienicy wielkiej, grubej, włochatej i trochę naprawdę strasznej, nic innego przekształcić się nie mogło. Będę miał jeszcze jedno takie straszydło, gdyż miałem wszystkiego dwie liszki, z których powstały dwa oprzędy.

Barczatka namiotówka.

Tegoż dnia wieczorem miałem miłą niespodziankę, bo z kokonów szarych, lecz mniejszych, wyszły odrazu dwie ćmy, których narodzin powinienem się był spodziewać w tym właśnie czasie. Wyszły dwie barczatki sosnówki. W hodowli, w cieple (na noc zabieram hodowlę do mieszkania) wylęgają się prędzej motyle, niż na swobodzie, w lesie lub polu. Dotychczas nie znalazłem ani jednej sosnówki w lesie, do którego codzień prawie chodzę, — a w hodowli mam ich już dwie. Są to ćmy silne, o ciele grubym, mocnym i włochatym. Przednie skrzydła są szare z brązowym pasem i brązową nasadą, ozdobione białem oczkiem. Tylne zaś są całe brązowe. Ćmy zatem te są cokolwiek podobne do namiotówek: brązowe, silne, włochate, grube, a gąsienice ich są jeszcze do siebie podo-

bniejsze. Nic dziwnego, że obie zowią się barczatkami i należą do tego samego rodzaju.

Nie było mi żal wpuścić te szkodnice do aparatu. Dlaczego nam sosny niszczą, ogałacając je z igieł i powodując choroby, a nawet śmierć drzewa? Drzewo bez liści nie ma czem oddychać, a także nie może się karmić gazem węglowym z powietrza i ginie.

W hodowli dużej zrobiły się pustki, bo gąsienice pierścienicy już dość dawno mi się oprzędły białą, jedwabistą przędzą w regularne, beczułkowate kokony i przeniesione zostały do małej hodowli. Dziś rano, znalazłem w niej nowych gości, świeżo urodzonych: trzy śliczne pazie królowej, które zaraz wypuściłem na wolność, i jedną niedużą ciemkę.

Prządka pierścienica.

Mama oznajmiła mi, że najpewniej wylęgła się ona w nocy, gdyż słychać było późnym wieczorem ogromne trzepotanie się w hodowli.

Zbadawszy ją dokładnie, doszedłem do przekonania, że to prządka pierścienica. Jest ona mała, niepozorna i nieładna, choć gąsienica była pstra i niebrzydka. Skrzydła ma ta prządka rdzawe, przednie ciemniejsze, tylne jaśniejsze, z przepaską tegoż koloru, lecz w innym cieniu. Ona to trzepotała się w nocy tak głośno, że aż mama słyszała, gdyż wszystkie pierścienice latają z furkotem.

Do tego samego rodzaju, co pospolita u nas prządka pierścienica, należy osławiony jedwabnik, którego prześliczne kokony dostarczają jedwabiu do tkania. Otóż nasze pierścienice bywają hodowane specjalnie dla kokonów, z których jedwab nie jest tak może piękny jak z jedwabników, ale w każdym razie zdatny do tkania.

Nie długo duża moja hodowla stała pustkami. Na tawułach czyli spirejach zaczęły się zjawiać wielkie gąsienice zielone, i pewnego pięknego poranku przynieśliśmy ich coś ze sześć. Trudnoby nie dostrzedz tak wielkiego zwierza, nie ustępowały bowiem co do wielkości gąsienicom namiotówki. Ale wygląd ich nie był tak straszny, bo były ładnego koloru jasno-zielonego, a po bokach paski miały liliowe i białe. Jasne barwy dawały im pozór wesoły. Były zupełnie nagie, bez włosków. To też choć uzbrojone z tyłu w róg zagięty, jednak nie sprawiały wrażenia odstraszającego.

Zaczęliśmy ze Stasiem pilnie przeszukiwać atlas motyli krajowych i znaleźliśmy naszą wielką liszkę obok tawulca. Wówczas dopiero przypomnieliśmy sobie o tych wielkich motylach nocnych. Z jajeczek przez nich poskładanych na wiosnę, wylęgły się teraz gąsienice, które gorliwie objadają nam liście tawuły. A tawuły akuratnie kwitną teraz; różowieją i bielą się ich puszyste kiście po całym ogrodzie. Nazbieraliśmy zatem tych liszek i karmiliśmy w hodowli liśćmi tawuły. Mają one znakomity apetyt i wciąż im muszę znosić porcję świeżych liści. Ciekawym, czy mi się też wylęgną z nich tawulce?

Dzisiaj Stasiek Wojciechowy przyniósł mi kilka nowych liszek. Są bardzo duże, grube i pokaźne, ale nie podobają mi się, bo są strasznie pstre, wprost niegustowne: sama liszka jest ciemno-zielona, ale ma czerwoną pręgę na grzbiecie i usiana jest po bokach czerwonemi i żółtemi plamami. Z tyłu ma róg taki sam jak gąsienica tawulca.

Stasiek znalazł te liszki na wilczomleczu, więc też karmiliśmy je wilczomleczem. Nabrawszy doświadczenia, domyśliłem się zaraz, że gąsienica żerująca na wilczomleczu musi być liszką ćmy zwanej wilczomleczkiem. I tak było istotnie. O ileż motyl jest gustowniejszy od swej liszki! Nie lubię takiej krzyczącej pstrokacizny. Radbym

aby te brzydkie gąsienice zamieniły się jak najprędzej w śliczne ćmy, o kolorach łagodnych i miłych oku.

Mam więc w wielkiej hodowli same ogromne liszki: jednym dostarczam tawuły, innym wilczomlecza.

W małej hodowli zostało mi z dawniejszych okazów sporo czarnych poczwarek brudnicy nieparki. Nie wiem dlaczego nie wylęgają się one dotychczas. Za to uzbieraliśmy ze Stasiem mnóstwo nowych poczwarek i kokonów, które zawiesiliśmy w małej hodowli. Znaleźliśmy mianowicie kilka dobrze nam znanych już poczwarek pazia królowej, które były zawieszone na roślinach baldaszkowatych, obficie rosnących w jednym zakątku naszego ogrodu. W lesie znaleźliśmy na młodych choinkach sporo oprzędów barczatki sosnówki. Wzięliśmy wszystko to do hodowli, bo to miło gdy codzień z rana coś nowego przybywa: to rodzi się motyl, to ćma. Wszystkie pazie wypuszczamy, wybierając na ten cel dzień ciepły, pogodny, bez wiatru. Jakże one ślicznie fruwają, powiewając swemi ogonkami! Sosnówki zato tępimy niemiłosiernie: wszystkie idą do aparatu.

Com ja jednak ślicznego znalazł! wprost wierzyć mi się nie chce, że w ogrodzie, tyle razy przeszukanym, znalazłem na parkanie i brzozach wiszące swobodnie na pajęczynkach śliczne poczwarki siwe, w srebrne plamki! mam ich cały tuzin! a ruszają się, wiją, kręcą! Muszą to być poczwarki motyli dziennych, gdyż tylko one wiszą swobodnie, a ćmy okrywają się oprzędami. Nie wiem tylko, co za motyl wyjdzie z tych siwych poczwarek. Może pawie oko? takbym chciał mieć pawie oko! dotychczas nigdzie je nie spotkałem, choć piszą, że to motyl u nas pospolity. Muszę te poczwareczki pozawieszać na nitkach u dachu hodowli, aby im dobrze było.

Za to lata u nas mnóstwo motyli ciemnych, prawie czarnych, z jasnemi przepaskami lub oczkami. Są to skalniki, pospolite na brzegach lasów sosnowych, na su-

chych i lesistych wzgórzach, których u nas nie brak. Nic też dziwnego, że jest ich tu bardzo wiele. Szkoda tylko, że nie są dość ładne, przynajmniej nie w moim guście. Nasze rośliny wodne doskonale się hodują. Właśnie teraz rozkwitła babka wodna. Kwiaty ma marne, drobne, zebrane w dużą, niezbyt zgrabną wiechę. Ale pojedyńczo wzięty każdy kwiatek jest ładny: bielutki, choć Staś twierdzi, że z odcieniem liliowym, trójpłatkowy. Nie mogę oswoić się z tym kształtem kwiatu. Trzy płatki, to tak mało! A jednak w ten sposób kwitnie wiele roślin rosnących na bagniskach.

Skalnik Alcyona.

. . . . . .

20 Lipca Dziś mamy imieniny tatusia.

Tatuś wczoraj wieczorem przyjechał z Warszawy, aby dzień ten spędzić z nami. Wszyscy jeszcze spali, gdym wstał i ubrawszy się pośpiesznie wyszedłem na ogród, cichutko otworzywszy sobie drzwi. Z radością przywitałem się z letnim porankiem, ciepłym, wonnym, słonecznym, zapowiadającym dzień prześliczny. Upajający zapach rozkwitłego łubinu zapełniał ogród. Był on wszędzie siany pomiędzy wiśniami. A dziś rozkwitł na dobre.

Lubię patrzeć na łan łubinu w rozkwicie. Zielony jest i złoty. Kwiaty łubinu, o koronie motylkowej, jak kwiaty akacji i grochu są prześlicznie złote, ułożone dokoła łodygi okółkami, po pięć w każdym okółku. Na szypułce kwiatowej jest po kilka, a nawet kilkanaście takich okółków, jakby pięter, wonnego kwiecia. Liście zaś są pięknej, zielonej barwy, szarawe od spodu i mają

wygląd małej dłoni, o wielu zielonych i wązkich palcach.

Wśród tej pięknej, gęstej zieleni strzelają w wyż złote wieżyczki kwiecia, o zapachu tak miłym, jak zapach bzu. Jestto jednak aromat bardziej słodki, bardziej miodowy, taki, jaki mają zwykle kwiaty letnie, rozkwitające zatem nie na wiosnę lecz w środku lata. Od wiosennych bije przedewszystkiem świeżość.

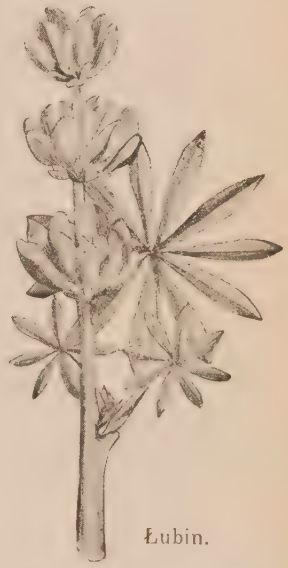

Łubin.

Ojciec kazał siać łubin między wiśniami, poto, aby wkoło nich użyźnić glebę, skoro bowiem łubin przekwitnie, tatuś każe go zakopywać dokoła drzewek, co stanowi zielony nawóz.

Pobiegłem zatem na łan rozkwitłego łubinu, rwałem jego złote kwiaty i układałem bukiety. Ogromna była rosa, ale choć się zamoczyłem, to i cóż? nic mi nie będzie!

Wkrótce mama wyszła na werandę. Znosiłem jej kwiaty łubinu, a potem całe kiście rozkwitłych białych i różowych spirei, a ona układała z tego wszystkiego bukiety i ozdabiała niemi werandę.

Wreszcie zjawił się Staś. Na to tylko czekałem. Poszliśmy razem w zarośla sosnowe, nabraliśmy sosnowych gałęzi i znosiliśmy całe ich pęki przed dom, a matuś zręcznie niemi przystrajała werandę. Dość, że weranda wyglądała wspaniale, odświętnie!

Z bijącem sercem oczekiwałem na ukazanie się tatusia. Mama tymczasem przygotowywała śniadanie, na którem dziś występowały pierwsze w tym roku maliny. U moich rodziców jest zwyczaj podawania owoców z rana, do pierwszego śniadania, gdyż w ich przekonaniu

spożywanie rano owoców jest bardzo zdrowe, choć wszyscy się temu dziwią.

Nareszcie wyszedł ze swego pokoju ojciec. Zauważyłem, iż był rozrzewniony na widok odświętnie na jego cześć przystrojonej werandy. Jeszcze bardziej się wzruszył, gdyśmy go ściskali, całowali, winszowali! Wreszcie, na znak dany mi przez mamę, stanąłem przed ojcem i zadeklamowałem sonet Mickiewicza: „Żegluga", poczem Staś wypowiedział wyjątek z „Pana Tadeusza".

Ojciec nas pochwalił za deklamacyę i po śniadaniu zabrał nas na spacer do Falenicy, gdzieśmy wstąpili na ciastka do cukierni. Gdy tatuś funduje, to pozwala brać tyle ciastek, ile chcemy. Dobry zwyczaj!

Wilga.

Gdyśmy wrócili do domu, oczekiwał na nas obiad wiśniowy, bo tatuś jest wielkim amatorem wiśni, w czem najzupełniej podzielamy jego gust. Owoc ten dopiero się rozpoczynał. Była więc ulubiona zupa wiśniowa i najmilsze pierogi z wiśniami, nawet kompot z wisien podano do kurcząt!

Wiśnie te pochodziły z naszego ogrodu. Drzewa wiśniowe bardzo obrodziły tego roku, a gałęzie ich, mało ulistnione, chyliły się pod czerwonym ciężarem.

Dziś przyleciała z lasu wilga do ogrodu! Widziałem ją doskonale, jak dziobała wiśnie, które pasjami lubi. Przelatywała sobie ona z drzewka na drzewko, szukając dojrzałych owoców, a co przyleci, to błyśnie swem złotem ciałem,... ale tu nie gwiżdże, boi się. Z lasu często słyszę jej wesołe pogwizdywanie, bo tam się czuje bezpieczna.

Z podziwem przyglądałem się cudnemu temu ptakowi. Jestto chyba najpiękniejszy ptak wśród krajowych: ciało złote, a skrzydła czarne jak aksamit, dziób spory. Szkoda, że przepiękny ten ptak krótko u nas gości,

gdyż dopiero w połowie maja przylatuje do nas, a wcześnie wybiera się do cieplejszych krajów, potrzebując widocznie klimatu łagodniejszego niż nasz. Przytem jestto ptak bardzo pożyteczny, gdyż owadożerny.

Żałowałem ogromnie, że Staś wilgi tej nie widział, bałem się jednak wołać, aby cudnego zjawiska nie spłoszyć. Stałem cichutko i nieruchomo i napawałem wzrok czarem pięknego stworzenia.

Skoro wilga odleciała, zacząłem za jej przykładem skubać wiśnie. Zauważyłem wówczas, że na wielu jej liściach było mnóstwo maleńkich owadów czarnych, dokoła których kręciły się zawzięcie mrówki. Zastanowiło mię to zjawisko, które powtarzało się na każdem drzewie. Zerwałem więc kilka listków, na których siedziała moc maleńkich, czarnych stworzonek i poszedłem z tem do mamy.

Mszyce.

— Są to mszyce, kochanku, żyjące na różnych roślinach; nakłuwają je smoczkiem i wysysają. Przez to są szkodliwe.

— Ale dlaczego mrówki kręcą się wciąż koło nich? czy je zjadają? karmią się niemi? tępią je?

— Mrówki pielęgnują mszyce i nie tylko je nie tępią, ale chronią je przed innemi owadami.

— Więc dla obrony towarzyszą one wszędzie mszycom?

— Nie są tak dalece bezinteresowne! widzisz Adziu, tak się ta sprawa przedstawia. Mszyce wydzielają ze siebie sok słodki, za którym mrówki przepadają, i dlatego kręcą się koło mszyc, aby tę słodycz zlizywać! Tu w ogrodzie widziałam spore mrowisko pomiędzy wiśniami. Pewna jestem, że osiedliły się tu po to, aby być w pobliżu ulubionego przysmaku, a bronią mszyce przed

nieprzyjaciółmi dlatego, że same ich potrzebują. Bywały takie przypadki, że mrówki zanosiły mszyce do mrowiska i tu hodowały je jak trzódkę, aby módz delektować się w każdej chwili słodkim ich sokiem.

— A czem karmiły one mszyce w mrowisku? czy znosiły im świeże liście, jak my do hodowli?

— Tego nie spostrzeżono. Zauważono natomiast, że działo się to wówczas, gdy mrowisko było pod drzewem i miało w swem obrębie jego korzenie.

Biedronki.

Na tych korzeniach umieszczały mrówki mszyce i hodowały je tak jak my hodujemy zwierzęta domowe.

— A to sprytne! nigdym nie przypuszczał aby jedne zwierzęta hodowały drugie dla własnego pożytku! Sądziłem, że jeden tylko człowiek jest tak rozumny, że potrafi ujarzmić zwierzęta dla swej potrzeby.

— Widzisz kochanku, na taki spryt zdobyły się małe mrówki, niepozorne mróweczki! nie darmo też podają je zwykle jako przykład niezwykłej inteligencji śród zwierząt. Czy nie widziałeś jednak biedronek na wiśniach?

— Owszem, pełno ich jest. Choć malutkie, błyszczą one swemi ceglastemi pancerzami, ozdobionemi siedmiu kropkami czarnemi. Bawiłem się nawet z niemi. Takie to sprytne bestyjki, że chcą straszyć człowieka i gdy je wziąć do ręki wypuszczają ze siebie kropelkę jakiejś cieczy żółtej, która musi być przykrą dla owadów napastujących biedronki. Ale dla mnie, cóż to znaczy! tyle tylko, że musiałem później ręce wymyć.

— Co one robią na wiśniach? jak myślisz?

— Nie zastanawiałem się nad tem Może polują na mrówki, może wysysają sok wisien, czy ja wiem.

— One karmią się mszycami, i dlatego tyle ich jest

Mrówki: królowa, truteń, robotnica.

na wiśniach. One szukają mszyc. Mszyce zaś tolerują mrówki koło siebie, bo one bronią je przed biedronkami. Dość, że i mrówki i biedronki odwiedzają wiśnie dla mszyc, które znów żywią się sokami liści wiśniowych. Dla biedronek mszyce stanowią nie lada przysmak, mrówki zaś przepadają za słodką wydzieliną mszyc i z tego powodu toczą walkę z biedronkami.

— Jakże mrówki mogą toczyć walkę z biedronkami, kiedy same są małe i zapewne nie bardzo silne?

— Co do siły, mało owadów dorówna mrówce. Zdarzyło ci się może nieraz widzieć mrówkę ciągnącą ciężar bardzo duży, np. igłę sosnową, patyczek, źdźbło słomy. Muszą mieć dużą siłę te istotki takie małe, które potrafią budować tak wielkie kopce! Czyż widziałeś u nas w ogrodzie na mrowisku dużego chrabąszcza pstrego?

— Podziwiałem go, gdyż jest wewnątrz zupełnie wyjedzony, tak, że została tylko zewnętrzna skorupa.

— To sprawa mrówek. Znalazły nieboszczyka i zaciągnęły do mrowiska, sobie na pokarm. Wyjadły go zupełnie wewnątrz, a skórkę zbyt twardą zostawiły. Pomyśl sobie tylko, co może znaczyć jedna mróweczka, wobec wielkiego, wypasionego chrabąszcza? Dużo ich musiało się zabrać do roboty i uradziły, bo są silne. Przytem są to zwierzątka złe. Potrafią gryźć mocnemi szczękami i puszczać ostry, parzący kwas, zwany mrówczanym, który mają na końcu odwłoka. Ba! mrówki sąsiednich mrowisk staczają nieraz prawdziwe bitwy, napadają na sąsiadów, porywają jajeczka i oprzędy i unoszą jako zdobycz wojenną. Następnie hodują je u siebie i wychowują z nich robotnice, zdatne do ciężkiej pracy.

— Robotnice tem się chyba różnią od innych mrówek, że są silniejsze.

— Są one zupełnie bezskrzydłe. Dlatego być może biorą się do ciężkiej pracy, że nie mając skrzydeł nie mają ochoty fruwać, bawić się i próżnować. Samczyki mają skrzydła i dlatego lubią wylecieć sobie w świat i dokazywać. Królowa zaś jest skrzydlata, i chętnieby może pobujała sobie gdyby przezorne robotnice, z obawy aby ich nie opuściła, nie obgryzły jej skrzydeł i tem nie zmusiły do pozostania w mrowisku.

— A na co ona im potrzebna! niech sobie leci kiedy ma ochotę!

— Potrzebna im koniecznie! bez niej całe mrowisko by zamarło. Ona bowiem jedna składa jajeczka. Całe życie swoje znosi i znosi jajka—to jest jej praca! na tem polega cały jej żywot. Dzieci swych nie wychowuje, bo czasu na to niema i robotnice chętnie czynią to za nią.

— Teraz rozumiem, że dużo robotnic trzeba w mrowisku!

— One wychowują dzieci, dostarczają pokarmu, bronią domu przed nieprzyjacielem, budują go i naprawiają, toczą wojny. Są najniepozorniejsze, a najpracowitsze, najinteligentniejsze. One nawet porozumiewają się pomiędzy sobą!

— Tak? a to jakim sposobem?

— Trącając się różkami, które są zapewne bardzo czułe. Temi różkami mówią sobie wiele rzeczy! Ostrzegają się przed niebezpieczeństwem, zapraszają do obiadu, proszą o pomoc w przeniesieniu ciężarów i t. p.

— Pójdę do mrowiska! jeśli mrówki są tak mądre, to warto je obserwować. Siądę w pobliżu i będę podpatrywał ich życie.

— Idź Adziu! idź razem ze Stasiem i opowiedz mu wszystko coś się o nich dzisiaj dowiedział.

— Dobrze, dobrze! Możesz być pewną Duszko, że nic im złego nie zrobimy.

X.

Deszcz!

Deszcz! deszcz! pada i pada od rana do wieczora i od wieczora do rana. Budzę się rano i odrazu słyszę to nieznośne chlapotanie; wyglądam przez okno: całe niebo zasnute, a z chmur spuszczają się cienkie nici wody, bezustannie uderzając o szyby. Co za nuda! Ja bo lubię obudzić się ze słońcem ciepłem i jasnem, pobiedz raniutko do ogrodu i rozkoszować się tem wszystkiem, co lato daje pięknego! Kocham słońce, jego ciepło i blask, kocham niebo błękitne, promieniejące nademną, kocham bogatą zieleń lata i różnobarwne jego kwiaty, kocham świergot ptaków, brzęczenie owadów... kocham wszystko, co jest pięknym dniem letnim!

A tu co? zamiast letnich cudów, mamy od kilku dni ciągłą słotę. Smutno! nudno! tęskno za słońcem!

Chcąc nie chcąc muszę w domu siedzieć! przykrzy mi się bez ruchu, bez biegania, bez spacerów.

Wziąłem się do czytania. Przeczytałem po raz niewiem już który „Historję o Krasnoludkach" Konopnickiej. Jestto jedna z moich ulubionych książek. Pierwszy raz czytaliśmy ją z mamą, a od tego czasu kilka razy czytałem ją sam. Mama mówi, że to wielkie arcydzieło! Zgadzam się z tem. Jeśli można tę książkę czytać tyle razy i zawsze z rozkoszą, to musi to być wielkie arcydzieło.

Mnie się przez to podoba, że tyle w niej poezji, czaru i prostoty. A perli się od dowcipu, pobudzając wciąż do wesołego uśmiechu! W innych znów miejscach tyle jest rzewności, że łzy napływają do oczów.

Dotychczas nie rozumiałem, co znaczy wyrażenie: książka pisana pięknym językiem. Otóż teraz rozumiem! w książce tej jest tak piękny dobór wyrazów, że nieraz zdania całe i ustępy czytam i powtarzam na głos, gdyż pięknie mi brzmią! Wyrazy są tak łączone, że tworzą piękną harmonję, że ślicznie dźwięczą, że napawać się można samym ich dźwiękiem. Jaki też nasz język jest piękny! jaki dźwięczny i bogaty.

Nietylko kraj ten, w którym żyjecie
Ojczyzną naszą się zowie:
Jest jeszcze druga ojczyzna w świecie,
Co w polskiej mieści się mowie.

A jakież czary mowa ta mieści:
Raz gromem huczy i błyska,
To znów się ozwie jękiem boleści,
Że nam łzy z oczu wyciska!

Trzeba jednak być artystą, żeby te wszystkie ukryte z niej wydobyć piękności! Jaka szkoda, że Konopnicka już nie żyje, bo ileżby pięknych książek napisała nam jeszcze!

Staś odrazu zwrócił uwagę na to, że rysunki w tej książce są śliczne. Ogromnie mi się podobają, zwłaszcza pierwszy rysunek kolorowy, przedstawiający Koszałka Opałka w stroju mnicha, na tle zimowego, górskiego krajobrazu. Smętek wieje od tego obrazka, skupienie czuć w duszy mnicha, a przyroda dostraja się do jego tęsknicy i żalu. Lubię także bardzo drobne rysunki piórkiem, które są rozrzucone po całej książce, a wykonane prześlicznie. Postać Koszałka Opałka powtarza się w nich bardzo często, ale za każdym razem inna, z innym wyrazem twarzy, nieraz wysoce komicznym. Dość, że cała książka jest bardzo piękna: zarówno słowa jak ilustracje.

Matuś twierdzi, że żadna literatura obca nie ma takiego arcydzieła dla dzieci jak nasza, że takiej książki jak „Krasnoludki" daremnie szukać u francuzów, anglików i niemców, a to dlatego, że mało który pisarz pierwszorzędnego talentu zdecyduje się zniżyć do umysłów maluczkich i pisać dla dzieci. Mama twierdzi, że to wielka szkoda! że, gdyby ona była wielką powieściopisarką lub poetką, to wszystko co ma najpiękniejszego w duszy przelałaby na papier dla młodzieży. Bo Duszka mówi, że dzieciom trzeba dawać wszystko co się ma najpiękniejszego, trzeba je uczyć od najwcześniejszych lat kochać piękno i dobro. Rację ma Matuś! próbowałem czytywać różne powieści dla młodzieży, ale mi się niektóre wydały tak wstrętne ze swojemi mordami lub płaskie, trywjalne, pozbawione poezji, że z gniewem je rzucałem. Za to rozkoszować się mogę takiemi „Krasnoludkami", „Sercem", Amicisa, „Panem Tadeuszem" Mickiewicza.

Przeczytałem teraz bardzo ładną powieść tłumaczoną ze szwedzkiego: „Nad dalekim cichym fjordem" Agot Gjems-Selmer. Śliczna rzecz! Opisuje tam życie jednej rodziny na dalekiej północy. Jakże oni tam mają długą

i smutną zimę! przez całe pół roku niema słońca! chowa się ono na całe miesiące, tak, że zima to jedna, długa noc, której przyświeca zorza północna! opisuje w tej książce, jak tamtejsi mieszkańcy żegnają słońce, gdy po raz ostatni świeci przed zapadnięciem w sen zimowy. Patrzą i patrzą na nie, napawają się jego długiemi czerwonemi promieniami, gdy powoli zasuwa się za wzgórze, chowając się na całe pół roku. Patrzą i patrzą na nie... oto jeszcze rąbek świeci... oto już tylko ostatni skraweczek... już tylko blask jego oświetla niebo nad wzgórzem... już go niema... nawet niebo już się nie czerwieni, szarość zalała ziemię dokoła! Dowidzenia! mówią słońcu, dowidzenia! za pół roku, na wiosnę, zobaczymy cię znowu, ale czy zastaniesz nas wszystkich gdy wrócisz?

Co za straszna tęsknota musi tych ludzi trawić przez całą zimę za słońcem! to nie to, co kilka dni deszczu! Podoba mi się rysunek na okładce. Przedstawia on dziewczynę tyłem zwróconą, zapatrzoną na niknące słońce za fjordem, za wzgórzem. Choć dziewczynka jest obrócona plecami i twarzy jej nie widać, jednak wspaniały nastrój jest w tym obrazku, tyle wyrazu jest w całej jej pozie, tyle tęsknoty i melancholji w układzie i kolorycie całego obrazku! obrazek znakomicie odpowiada treści książki. Staś bardzo ceni ten rysunek.

Z mamą przeczytaliśmy na głos „Grażynę" i „Konrada Wallenroda". Grażyna to postać wykuta ze śpiżu, wspaniała swem poświęceniem i ukochaniem ojczyzny. Ginie, aby zapobiedz zdradzie. Nie wszystko jednak rozumiem w tym poemacie. Nie ma tego uczucia, które zalewa całego Konrada Wallenroda i czyni z niego takie cudo!

O! bo Konrad jest przesiąknięty porywającem uczuciem, cały jest wzruszający, nic mu wyrównać nie może pod tym względem. Grażyna jest spokojna, niema tam porywów i dlatego ja Konrada wolę. Na jedno wszakże

zgodzić się nie mogę: na zdradę Konrada. To straszna rzecz, poświęcić tak jak on swoje szczęście i szczęście niewinnej Aldony i żyć w ciągłym fałszu śród wrogów. A potem poprowadzić wszystkich na śmierć, wprawdzie wrogów prowadził na zgubę, ale byli to ludzie! Ojczyznę powinno się kochać całą duszą i za nią oddać życie, ale zdradą nie powinno się służyć krajowi.

Prawda jednak i to, że Litwini byli do ostateczności doprowadzeni przez Krzyżaków, i że ci nie przebierali w środkach, aby ich gnębić: napadali, grabili, palili, brali w niewolę, męczyli, litewskie dzieci porywali i wychowywali na wrogów ojczyzny, lub zamęczali, robili zasadzki, niespodziewane napady. Czy z wrogiem postępującym nieszlachetnie i chytrze mamy być koniecznie wspaniałomyślni? czy im się wet za wet nie należy? Czy nie mamy prawa użyć wszelkich środków, aby pozbyć się tych, co nas rabują, grabią, palą, męczą i ojczyznę szarpią? Och tak! trzeba być wyrozumiałym dla zdrady Konrada, i tylko boleć nad tem, że taki środek był może jedynym wybawieniem, jedyną deską ratunku! Biedny Konrad! jakże on cierpieć musiał, jakie katusze przebyć, żeby zrobić to, co on zrobił! Jaką siłę trzeba mieć, żeby tak okrutnemu sprostać zadaniu! żeby wytrwać, wpół drogi się nie wrócić, postawić na swojem. A jednak jabym w żadnym razie nie mógł zdradzić! wszystko, tylko nie to! umrzeć? dobrze, zginąłbym na polu chwały, dla ojczyzny, ale zdradzić? przenigdy!

Czytam więc Konrada, deklamuję, powtarzam po wiele razy niektóre ustępy, a Staś ciągle rysuje. Narysował Grażynę na koniu, jadącą na czele hufców mężowskich, Konrada klęczącego u stóp wieży, ucztującego śród grona Krzyżaków i wracającego z wojny na czele garstki niedobitków. Teraz zaś, wziął się do rysowania motyli.

Całe arkusze niemi zapełnia! Maluje on nasze krajowe, a także egzotyczne, to jest żyjące w dalekich kra-

jach południowych. Są to wielkie motyle jak ptaki, skrzydła mają połyskujące metalicznie, a barw i kształtów nie szczędziła im natura. Widzieliśmy zbiory takich motyli, ale nie mam żyłki do kupowania drogich tych niezmiernie okazów! Ja lubię sam zbierać, mam przyjemność w szukaniu, w gonieniu za niemi, w zdobyciu ich! Zdaje mi się, że to ma wartość w co wkładam pracę, a nie pieniądze. Naturalnie, gdybym podróżował po krajach południowych lub wschodnich nieomieszkałbym polować na te okazy wspaniałe. Zwłaszcza indyjskie i brazylijskie są cudowne! Miałem w ręku pudełko motyli w z wyspy Ceylon! trudno wymarzyć coś podobnie pięknego! Są tam olbrzymie motyle, czarne jak aksamit, podobne z kształtu do naszych paziów, ale dwa razy od nich większe, z długiemi ogonami czarnemi, z czerwonemi ozdobami, lub wielkie szafirowe, o skrzydłach tak błyszczących jak metal, albo olbrzymie seledynowe, o konturach dziwnie powycinanych! Któż zresztą zliczy wszystkie te wspaniałości!

Motyle pochłonęły całkiem wyobraźnię Stasia. Wkłada w nie jednak dużo fantazji i czasem maluje śliczne motyle fantastyczne, urojone. Najwięcej mi się podobał motyl w stylu krakowskim. Tak go nazwał Staś. Wkleiłem go sobie do mego pamiętnika, bo jest bardzo ładny.

Rysunki Stasia naprowadziły mię na myśl czytania poważniejszych książek przyrodniczych, które mi są koniecznie potrzebne. Zabrałem się do Dyakowskiego i Brzezińskiego. Są to dwa moi ulubieni autorzy. Obaj ze Stasiem mamy wielkie uwielbienie dla tych dwóch ludzi, którzy tyle ciekawych książek napisali, i to takich, że my je doskonale rozumiemy. Chciałbym kiedyś być przyrodnikiem i tak wszystko w przyrodzie znać i rozumieć jak oni. Czasem sprzeczamy się ze Stasiem, który z nas będzie Dyakowskim, a który Brzezińskim? Jak czytamy Brzezińskiego, zdaje się nam, że on lepszy, gdy

weźmiemy się do Dyakowskiego, wówczas wszystko za niego oddamy. A mama z nas podkpiwa i mówi, że kto wie, może nie będziemy wcale przyrodnikami!

Ale to niemożliwe!

XI.

Wycieczka do Wielkiego Otwocka. Otwock. Karczew. Mały Otwock. Wielki Otwock. Zamek. Park. Dęby. Tatarak. Sitowie. Trzciny. Grzybień biały. Osoka aloesowa. Nietoperze. Kozioróg wielki. Barczatka sosnówka.

Jesteśmy w ostatnich dniach Lipca.

— Trzeba skorzystać z pięknych dni—rzekła mama— i wyruszyć na wycieczkę. Radziłabym do Wielkiego Otwocka, tam są piękne ruiny i jeszcze piękniejszy park. Niech Stanisław pójdzie zamówić bryczkę na jutro rano. Urządzimy sobie śliczny spacer, bo pogoda pewna, a kurzu mieć nie będziemy, gdyż ziemia stwardniała po niedawnych ulewach i przesiąkła wodą.

— Obaj rzuciliśmy się mamusi na szyję, dziękując za miłą niespodziankę.

— Dziś tatuś przyjedzie — zawołałem — może i on wybierze się z nami na spacer.

— Zapewne, jeśli tylko będzie mógł zostać się u nas, na dzień jutrzejszy. Gdy bardzo poprosicie, to zostanie, pewna jestem.

Naturalnie, uprosiliśmy tatusia i pojechaliśmy wszyscy. Zabrał się też z nami Stasiek Wojciechowy, który bardzo prosił o to moich rodziców. Ciekawy był „ruinów" co ich ani rozebrać nie mogą, ani naprawić, bo „złe" nie daje. Muszą tak „stoić" nietknięte, bo jak zaczną przy nich robić, to tak straszy, że nie sposób. Byliśmy i my ciekawi tego tajemniczego pałacu. Nazajutrz

wstałem raniutko, gdy jeszcze wszyscy spali i wymknąłem się na ogród. Dzień podnosił się prześliczny. Ciepło było, choć zaledwie wybiła szósta. Rosa perliła się na krzakach i kwiatach, a w stronie lasu unosiła się lekka mgła niebieska. Chodząc po ogrodzie marzyłem o starym zamku, dawno opuszczonym, o którym krążą różne baśnie. Stanisław mi mówił, że jakiś magnat w dawnych czasach wrzucił wszystkie swe pieniądze do pieca i spalił, a potem sam się zastrzelił. Od tego czasu pałac stoi pustkami i coś w nim straszy.

Długi czas błądziłem po ogrodzie zanim rodzice wstali i Staś ubrany pokazał się na werandzie z aparatem i siatką i zaczął mię wołać na śniadanie.

Wkrótce zajechała bryczka i wyruszyliśmy w drogę z przyborami przyrodniczemi i zapasami różnych dobrych rzeczy do spożycia przez cały dzień.

Musieliśmy przeprawiać się przez Świder. Trochę się bałem, aby bryczka nie wywróciła się w wodę i rozbuwszy się, wolałem przejść przez rzeczkę piechotą. Tosamo zrobili Staś i Stasiek Wojciechowy.

Zabawna to rzecz, że u nas w domu jest trzech Stanisławów! to też dla odróżnienia ich zowiemy Stanisławem naszego stróża, Stasiem mego braciszka, a Staśkiem synka Wojciechowego.

Zaraz za Świdrem rozpoczynają się liczne letnie mieszkania. Co tam stoi domków w lasku! po kilka na jednym placu. Ale jakie tam powietrze! Biedni ludzie, którzy muszą niem oddychać. Ale to wszystko nic nie znaczy jeszcze w porównaniu z tem, co się dzieje w samym Otwocku. Tam stoi domek przy domku i wygódka przy wygódce. Na drodze śmiecie i różne nieczystości! to też jedzie się miejscami jakby po śmietniku, a miejscami stoi gęste, czarne, cuchnące błoto. I to się nazywa letnisko? A przecież tu ludzie dla zdrowia przyjeżdżają!

— Bez sensu postępują, powiedział tatuś, budując tyle domków jeden przy drugim. Moc lasu powycinali! Teraz jest stanowczo przeludnienie w Otwocku. Warunki sanitarne są tu miejscami wprost gorsze niż w Warszawie. Pamiętam miejscowość tę przed piętnastu laty: wonna była, pachnąca żywicą, zaciszna swym pięknym lasem. A teraz, cóż za różnica!

Szybko minęliśmy miasteczko Karczew, które choć czyściejsze od Otwocka, nie było jednak bardzo pachnące.

Jechaliśmy przez pola. Miejscami, wzdłuż drogi ciągnęły się mokre łąki, po których chodziły bociany. Droga wysadzona była wierzbami, które nie zacieniały jej dostatecznie. Upał nie dawał się nam odczuwać, bo było jeszcze wcześnie.

Wreszcie wjechaliśmy do wioski Otwock mały. Jak tam czyściutko! domki świeżo pobielane, ze ślicznemi ogródkami, a w każdym ogródku aż się czerwieni od georginji i malw, a złoci od nagietków. Droga sucha! nigdzie tych obrzydliwych kałuż, ani tego czarnego, cuchnącego błota co w Otwocku. Tutaj gospodarze wywożą śmiecie i nieczystości na pole, dla użyźnienia gruntu. Widać też sienie domów wysypane czyściutko piaskiem. W oknach pełno kwitnących kwiatów.

Od tej wioski zbliżaliśmy się szybko do celu naszej wycieczki. Droga była coraz lepiej utrzymana, miejscami wysadzana akacjami. Gdzieniegdzie wznosiła się olbrzymia sosna rosochata, co jest rzadkością, gdyż sosny są zwykle gonne. Dowodzi to, że w okolicy tej rozciągała się kiedyś wielka puszcza, a sosny rosochate, pojawiające się tylko w puszczach, są pozostałością olbrzymich borów, które kiedyś tu rosły.

Wreszcie minęliśmy zabudowania dworskie wsi Wielki Otwock i zajechaliśmy przed duży staw, w środku którego, na wyspie, sterczały ruiny wspaniałego zamku.

Wtem bryczka zatrzymała się przed mostkiem, rzuconym z brzegu na wyspę. Wyskoczyliśmy wszyscy szczęśliwie, prócz Stasia, który pantofel swój zostawił w błocie. Nie było innej rady, trzeba było pantofel umyć, i zostawić na bryczce dla wysuszenia, a Staś musiał iść boso, czem się mama martwiła, gdyż zwiedzając ruiny mógł się łatwo skaleczyć. Otworzono nam bramkę przy mostku i weszliśmy do parku. Park był wspaniały! Olbrzymie drzewa zacieniały go, gęstwina krzaków była tak zbita jak w bujnym lesie. Park ten był opuszczony: drogi pozarastane trawą, ławeczki obrosłe chwastami.

Na wyspie, nad brzegiem jeziora, śród wspaniałych drzew, wznosił się zamek o dwóch basztach, patrząc swemi pustemi oknami na wodę. Należał on niegdyś do rodziny Bielińskich i wzniesiony został w końcu XVII w. Już w pierwszej ćwierci minionego stulecia został opuszczony i popadł w ruinę, z powodu waśni pomiędzy spadkobiercami. Pałac ten jest pamiętny pobytem króla polskiego Augusta II Sasa w czasie wojny szwedzkiej roku 1705. Tutaj właśnie monarcha ten zjechawszy się z carem Piotrem I kreślił pierwsze plany podziału Polski. Zamek ten więc, to smutna dla nas pamiątka!

Ruiny widocznie są pielęgnowane przez teraźniejszego ich właściciela p. Kurtza, gdyż ściany całe są dotychczas ozdobione różnemi ornamentami z czasów renesansowych. Nad głównym portykiem zachowały się herby zapewne rodziny Bielińskich. Weszliśmy do środka: wnętrze usłane było gruzami, nie było nigdzie ani podłóg, ani sufitów, ani drzwi. Na ścianach jednak widniały resztki malowideł ściennych, gdzieniegdzie zachował się marmurowy kominek, jakaś sztukaterja, płaskorzeźba, ornament.

Wyszliśmy tylnem wyjściem na ogród. Stąd nie było widać stawu, tylko park ciemny, ponury, wilgotny.

Przed zamkiem była niewielka polanka, na której zapewne w dawnych czasach urządzone były kwietniki

i klomby. Przecięta ona była czterema olbrzymiemi filarami: rosły tam cztery majestatyczne dęby, popodpierane miejscami żelaznemi linami, dęby o olbrzymich dziuplach zamurowanych cegłami. Dęby te miały pnie jak słupy krągłe, ciemne, proste, strzelające w niebo, i dopiero na znacznej wysokości rozpościerały się ich olbrzymie konary, jak groźne ramiona sięgające w obłoki.

Taki majestat bił od tych dębów, takie mię ogarnęło uczucie szacunku i podziwu dla tych imponujących

Zamek i dęby w Starym Otwocku.

olbrzymów, że mimowoli zdjąłem czapkę. Spojrzałem na mamę, na tatusia, na Stasia i zobaczyłem, że wszyscy byli wzruszeni, że byli pod wrażeniem wspaniałości, jaka biła od tych drzew, że zaimponowała im królewska duma jaką te bajeczne dęby niosły w sobie.

Obeszliśmy cały park w około oblany wodą. Była tam moc olch, grabów, lip, rozrastających się tak gęsto, że ciemno było w alejach. W jednem miejscu nad stawem drzewa były widocznie wycięte dla odsłonięcia

pięknej panoramy, jaka się roztaczała na jezioro, jego brzegi, zarośla, pola i lasy. Stała tam ławeczka, tak, że można było napawać się do syta pięknym widokiem. Ławeczka ta stała pod olbrzymiemi lipami. Były one mało co mniejsze od dębów, a jednak nie robiły tego imponującego wrażenia co dęby.

— Dlatego zapewne — objaśniła mama — że rozgałęziają się nizko, ulistnienie mają nie ciemne jak dęby, lecz jasne, co nadaje im wygląd wesoły i szczęśliwy.

Wróciliśmy jednak pod nasze dęby, oczyściliśmy ławeczki pod niemi stojące z chwastów i tam spożyliśmy obiad. Mieliśmy kurczęta, wiśnie, cukierki, biszkopciki i kawę. Dokuczało nam ogromne pragnienie, bo upał się wzmagał, to też przywitaliśmy kawę okrzykami radości.

Położyłem się potem na jednej ławeczce pod dębem i patrząc w wyż na ciemną koronę rozpościerającą się wysoko nademną, szumiącą gdzieś aż pod niebem, zacząłem marzyć o tym zamku, którego ruiny stały tuż w pobliżu. Jacy ludzie tam żyli, jaką mieli wspaniałą rezydencję, jak musieli nieraz spacerować po tym ogrodzie, siadywać pod tym samym dębem, jakie tu wokoło musiały być bory, jakto panowie bawili się bez troski w polowania, a panie przyjmowały gości i stroiły się w upudrowane peruki i francuskie stroje, choć Polska wolną wtedy jeszcze była. Przedewszystkiem zaś roiłem o pobycie króla śród tych murów i o zdradzieckich planach, które na nas gotował ten rozbawiony, rozhulany cudzoziemski elegant, o planach, które dopiero później miały się ziścić i żywcem nas do grobu wtrącić. Dziś, z tych wspaniałości został pusty pałac jak nagrobek pełen wewnątrz gruzów, i bujna roślinność. Dęby przeżyły swych panów i ich potomków—a teraz szumią jakby na cmentarzu modlitwę za nich, wspiąwszy się wysoko ku obłokom i wspominając z tęsknotą dni minionej chwały. Prawdziwe pomniki przeszłości! pomniki

tej tragicznej chwili! Może o nasze szczęście modlą się tak te dęby, może skargi szepcą Bogu i jęki boleści szlą w niebo? I wspominają dawne czasy...

Przeniosłem się myślą w te dawne czasy i w najlepsze sobie roiłem, gdy nadbiegł Staś, zachęcając mnie do obejrzenia roślinności w jeziorze i mówiąc że rodzice czekają na mnie nad wodą. Zerwałem się i pobiegłem.

Rogatek.

— Eh!—zawołałem z pewnem niezadowoleniem — nic tu nie znajdziemy nowego! widzę odrazu, że nad brzegiem kwitnie moc żabiścieku, aż się bieli od jego ślicznych kwiatków trójpłatkowych i wonnych.

— Oh! tak!—zawołał Staś — mają one zapach miodowy bardzo silny. Zerwałem duży ich bukiet, ale patrz, w jednej chwili mi zwiądł!

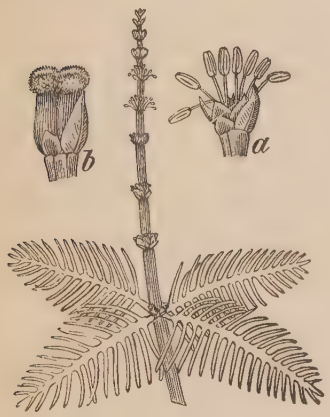

Wywłócznik.

— Roślina ta — objaśniła mama — ani chwilki żyć nie może bez wody, a teraz, zwłaszcza na takim upale, więdnie na poczekaniu.

— A tutaj—zawołał radośnie Staś — ile tu babki wodnej rozkwitłej, co strzałek kwitnących!

— Wielkie rzeczy — rzekłem—niby ja tego nie znam, możeśmy nad Wisłą tego nie widzieli, może w domu tego nie hodujemy?!

A jednak, ile tam w wodzie rosło różnych roślin! jedne jak delikatne nici, ułożone w regularne gwiaz-

deczki dokoła łodyg, inne jak gąbki lub kłaczki śluzu pływające. Miejscami dno było pokryte ślicznemi krzaczkami o listeczkach jak niteczki cienkich. Są to podobno rogatki i wywłóczniki. Najwięcej podobała mi się jednak dziwna roślina, na dnie wody rosnąca. Przypominała ona zupełnie pęk liści ananasów, gdyż z jednego miejsca wyrastał bukiet dużych liści, prostych, ostrozakończonych i kolczastych.

Osoka aloesowa.

— To osoka aloesowa — rzekła mama—zwana tak dlatego, że kształtem swym przypomina aloesy. Zowią ją także osoką kolczastą, gdyż ma liście kolące. Wielka szkoda, że teraz nie kwitnie, zobaczylibyście jej małe kwiateczki białe...

— Naturalnie trójpłatkowe! — zawołałem.

— Nieinaczej. Roślina ta ma osobne kwiatki pręcikowe, a osobne słupkowe. Jedne i drugie są trójpłatkowe. Weźcie tę roślinę do blaszanki z wodą, może nam zakwitnie w domu, a radabym bardzo widzieć ją kwitnącą i zająć się jej hodowaniem.

Natychmiast osoka znalazła się w blaszance z wodą, alem pokłuł sobie o nią palce.

Poszliśmy dalej. W jednem miejscu park oddzielony był od lądu stałego wązkim pasem wody, jakby kanałem. Cała ta przestrzeń wody pokryta była wielkiemi, skórzastemi liśćmi, płasko rozpościerającemi się na wodzie i całemi kwietnikami najcudniejszych białych lilji wodnych. Wykrzyknąłem z zachwytu na ten widok: nie wi-

działem bowiem nigdzie takiego mnóstwa lilji wodnych. Kilka razy zdarzyło mi się oglądać przepiękny ten kwiat na wodach stojących, alem nigdzie jeszcze nie widział takiego ich mnóstwa. Bieliło się poprostu na wielkich liściach zielonych od rozkwitłych kwiatów i wielkich pąków.

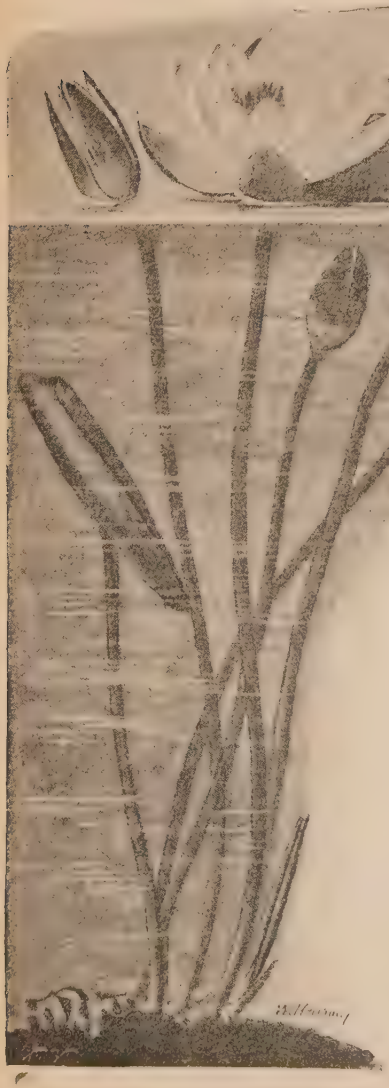

Lilja wodna.

— W krajach podzwrotnikowych — rzekła mama rosną najwspanialsze okazy lilji, zbliżone do naszej, ale daleko większe. Takim jest lotus rosnący na Nilu w Egipcie, a także Victoria regia upiększająca wody Ameryki południowej olbrzymiemi swemi kwiatami i liśćmi.

— Żeby to choć jedną dostać! — wykrzyknął Staś.

— Koniecznie dostanę! — zawołałem — z nara-

żeniem życia dostać muszę kwiat swojskiego lotosu! muszę, muszę tego dokonać!

Zacząłem szukać dogodnego miejsca, kręciłem się na brzegu, próbowałem, aż znalazłem. W jednem miejscu rosła nad brzegiem olcha. Woda podmyła jej korzenie, wiatry i wiek dokonały reszty, dość, że nachyliła się nad wodą i rosła prawie równolegle do jej powierzchni! Pokazałem ojcu drzewo, i wzrokiem tylko pytałem czy można? Ojciec skinął głową potakująco na znak zgody.

— Możesz—rzekł—boś dobry gimnastyk, jesteś silny i zręczny. Tylko uważaj!

Siadłem na olchę jak na konia i posuwałem się na pniu powoli, trzymając się to pnia, to gałęzi. Wkrótce zawisłem nad wodą. Posuwałem się dalej powoli ale wytrwale i niebawem znalazłem się tuż, tuż nad najpiękniejszym grzybieniem, o śnieżnej białości. Przyszła chwila najtrudniejsza. Po krótkim namyśle, schwyciłem się lewą ręką za mocną gałąź olchy, sam zaś się nachyliłem w prawo i uchwyciłem prawą ręką liljȩ. Urwała mi się krótko, prawie bez ogonka.

— Dość już, Adziu!—zawołała mama, która bacznie śledziła moje ruchy—jedna lilja nam wystarczy. Radabym zobaczyć cię już na lądzie, choć zręczności twej najzupełniej ufam.

Nie wiedziałem na razie jak zabrać ten kwiat, bo ręce mi były potrzebne, a w kieszeni kwiat zgniótłby się na nic. Po krótkim namyśle włożyłem go pod czapkę, a sam zacząłem się cofać. Droga powrotna była cięższa, gdyż musiałem się cofać tyłem. Wreszcie szczęśliwie wylądowałem i z tryumfem podałem liljȩ mamie. Mama mię uściskała.

— Dzięki tobie Adziu — rzekła — możemy się bliżej przyjrzyć pięknemu temu kwiatowi.

— Mnóstwo ma białych płatków w koronie — rzekł Staś.

— I niemniej pręcików—rzekłem.—Ale co to w środku za żółta gwiazdeczka?

— To znamię, którym słupek jest zakończony. Podobne jest ono do znamienia maku.

— A jak pachnie miodem! chyba znęca tą wonią owady?

— Nieinaczej! Lilje te są owadopylne. Owady roznoszą ich pyłek z kwiatu na kwiat. Skoro jednak nastąpi zapylenie, a kwiat zaczyna pomału zamieniać się w owoc, wówczas roślina wciąga swój kwiat pod wodę. Tym sposobem młodym nasionom będzie niedaleko do szlamu, do którego wpadłszy puszczają korzenie i dają początek nowej roślinie. Dlatego lilje rosną tak gęsto jedna przy drugiej, że nasiona ich kiełkują obok krzaku macierzystego. Rzadko kiedy nasionko się zmarnuje, bo każde prawie trafia na dno, gdzie znajduje wszystko co mu potrzeba do życia.

— Tym sposobem—odparł Staś—ten cały ogród lilji rosnący na tym stawie, stanowić może jedną rodzinę. Są tu prapraprababki, praprababki, prababki, babki, matki, dzieci, wnuki, siostry, bracia, ciotki, stryjkowie, wujkowie i t. d.

— Może to i przyjemnie — rzekła mama — wzrastać tak w wielkiej rodzinie, ale swoją drogą lepiej jest dla roślin, gdy nasiona pójdą w daleki świat, na skrzydłach choćby wiatru szukać szczęścia zdala od swoich. Tym sposobem rośliny rozsiewają się po całej kuli ziemskiej i w każdym miejscu jest ich wielka rozmaitość.

— Stado kaczek! patrzcie dzieci — zawołał ojciec — stado kaczek porwało się z szuwarów.

— Gdzie? gdzie?—wołał Staś—zapominając o cudnie białej lilji. Chodźmy tam! lećmy do szuwarów! Zobaczymy szuwary i może znajdziemy gniazdo kaczek!

— Oho!—odparł ze śmiechem ojciec — nie znajdziesz je tak prędko kochanku, jak sądzisz. To mądre ptaki!

Ścielą sobie gniazda śród trzcin, ale w takim miejscu, że nie dostaniesz się do niego, chyba łodzią. Czasem, dla zmylenia robią je na suchym brzegu, gdzie nikt szukać ich nie będzie. Znajdowano nawet gniazda kaczek dzikich na drzewach.

— Kaczki na drzewach? — zawołałem.

— Dzikie kaczki doskonale umieją latać, nie tak, jak te nasze domowe. Wszak na skrzydłach odbywają

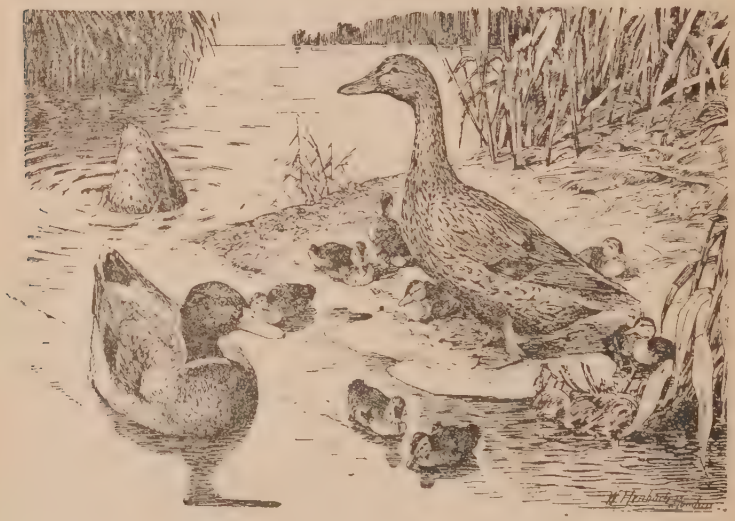

Dzikie kaczki.

długie i męczące podróże do cieplejszych krajów, gdzie im wygodniej przezimować. A na wiosnę wracają do nas z powrotem.

W szuwarach rosły całe łany tataraku, trzcin i sitowia. Tatarak ma piękne liście zielone, równe, proste jak miecze, a wszystkim dobrze znane, bo na Zielone Święta rozrzucamy je po podłodze i lubujemy się ich aromatem. Właściwie aromatyczne są kłącze podziemne różowego koloru, które rozrastają się w szlamie na dnie wody.

Kwiatów tataraku nie widziałem nigdy, ale czytałem, że kwitnie w lipcu i ma niepozorne, żółte kwiaty. Szukałem ich zawzięcie ze Stasiem, alem ich nie znalazł. Widocznie już przekwitły. Tatarak podoba mi się daleko więcej od sitowia, które ma wysoką łodygę pełną i bezlistną, zakończoną na wierzchu pęczkiem kłosków,

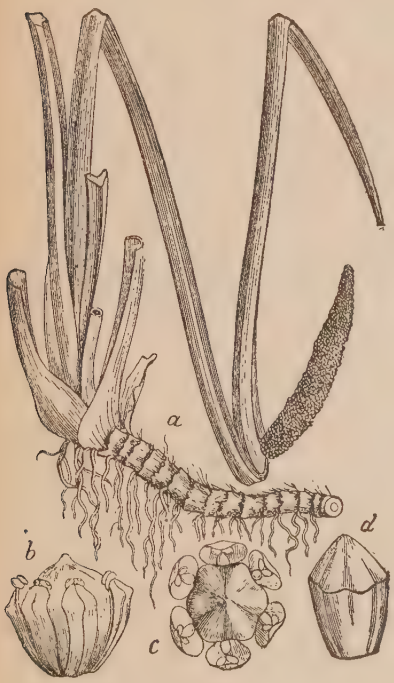

Tatarak.

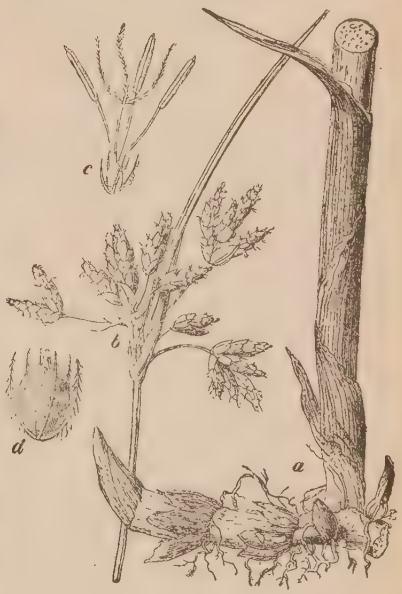

Sitowie.

wcale nie ładnych. Najbardziej lubię trzcinę. Rośnie tu jej moc wielka. Przewyższa ona wzrostem sitowie i tatarak, łodygę ma wewnątrz pustą, ale twardą, zdrewniałą, ozdobioną długiemi, wązkiemi i ostremi liśćmi. Oho! już teraz nie będę rwał traw rękami! Wycinam je scyzorykiem, aby rąk sobie nie pokaleczyć. Szkoda, że trzcina jeszcze nie kwitnie, bo chętnie obejrzałbym jej puszyste kiście kłosów.

Gdym nad tem rozmyślał, nadbiegł Staś, niosąc wspaniały pęk... pióropuszów trzciny.

— Skądże o tej porze?—wykrzyknąłem zdziwiony — przecież trzcina kwitnie dopiero w sierpniu, lub nawet we wrześniu.

— To są kłosy zeszłoroczne - objaśniła mama — przyjrzyjcie się, nie są już pełne, bo się już dawno rozsiały. Zawsze jednak możemy podziwiać wielkość tej wiechy, jej połysk jedwabisty, jej puszystość.

— To najpiękniejsza chyba z traw krajowych! — zawołałem.

— I największa. W tej gęstwinie tataraku, sitowia i traw ukryć się mogą nie tylko dzikie kaczki. Nieraz i ludziom służyły szuwary za kryjówkę w czasie powstań, pogoni, prześladowań.

— Ależ pamiętam, wyprawę Skrzetuskiego ze Zbaraża przez stawy i bagna i wszystko co bohater ten przecierpiał zanim dostał się do króla.

— Silny to był człowiek na duchu i ciele — rzekł ojciec — mało który wytrzymałby podobną przeprawę.

Niespodziewanie spostrzegliśmy znajomego naszego, pana Mieczysława, ucznia VI klasy, który spacerował nad brzegiem stawu z flowerem w ręku. Bardzo przyjaźnie przywitaliśmy się i w dalszym ciągu chodziliśmy razem. Dowiedzieliśmy się, że pan Mieczysław spędzał lato na kondycji w pobliżu Otwocka. Namówił nas na dokładne obejrzenie ruin pałacowych. Rodzice spoczęli sobie na ławeczce pod dębem, a Staś rozpoczął poszukiwania wokoło dębów, macał ich korę, robił inspekcję pni, kręcił się niespokojnie, dowodząc, że byłoby wprost niemożliwe, żeby te olbrzymy nie zasiliły czemkolwiek jego zbiorów. Ja zaś poszedłem z panem Mieczysławem do ruin. Zwiedziliśmy razem lochy pałacu przyświecając sobie zapałkami i pękami zeschłych liści, które zapalaliśmy jak pochodnie. Aleśmy nic a nic nie znaleźli.

— Trzeba wejść na wieżę – rzekł pan Mieczysław — tam prędzej coś się znajdzie.

— Chętnie się zgodziłem, alem zapomniał zapytać rodziców, czy pozwolą na podobną wycieczkę. Miałem szaloną ochotę wdrapać się aż na sam wierzchołek baszty, i dlatego zapewne znalazłem się tak niestosownie.

Trzcina.

Na wieżycę prowadziły wschody, ale drzwi wiodące do nich były tak mocno zabite, że pan Mieczysław nie mógł ich oderwać, choć jest bardzo silny.

— Widocznie teraźniejszy właściciel pałacu nie życzy sobie aby tędy chodzono, i dlatego kazał tak mocno zabić te drzwi.

— A może z tego względu, że schody nie pewne?

— I tak damy sobie radę!

Mówiąc to, pan Mieczysław zaczął się wspinać po rozwalonym murze, a ja za nim. Z muru dostał się na szeroki gzems, ciągnący się wzdłuż ściany. Z gzemsu przeszliśmy na balkon pierwszego piętra. Stąd, po gzemsach i belkach dotarliśmy do klatki wschodowej, która była tu otwarta. Następnie, po wschodach, które trzeszczały nam pod nogami, dotarliśmy na wieżycę. Rozejrzeliśmy się w koło: przepiękny widok roztaczał się przed oczami na ogród, jezioro, a dalej na łąki, pola i lasy. Panorama rozciągała się daleko,

daleko, aż kończyła się na horyzoncie siną linją borów sosnowych.

— Szkoda—rzekłem—że Stasia tu niema, dopierożby się zachwycał krajobrazem!

— On za mały jeszcze na takie wyprawy! Mógłby spaść i potłuc się.

Raptem spostrzegłem, że w szparach pomiędzy cegłami spało mnóstwo maleńkich nietoperzy, zawieszonych głową na dół.

— Musimy wziąć ich z kilka! prosiłem pana Mieczysława.

— A, i owszem! chętnie Adasiowi pomogę.

Wyjąłem spore pudełko z kieszeni. Pan Mieczysław wypłaszał nietoperze kijkiem, a gdy wylatywały, chwytałem je do pudełka. Złowiliśmy trzy sztuki, gdy rozległo się wołanie mamy:

— Adziu! Adziu! gdzie jesteś!

— Tutaj, tutaj! na baszcie!

— Jakżeś się tam dostał! jeszcze zlecisz!

— Jestem z panem Mieczysławem, a jak się dostałem: tajemnica.

— Ależ schodźcie prędzej, czas już jechać do domu.

Musieliśmy zejść. Jeżeli wejść nie było łatwo, to zejście okazało się bardzo trudnem. Przez wschody poszło nam prędko, choć okropnie trzeszczały pod nogami, ale przez gzemsy i belki szliśmy powoli: pan Mieczysław naprzód, a ja za nim, krok za krokiem. Mama stała na dole i śledziła każdy nasz ruch, ale nic nie mówiła i niczem nie okazywała swego niepokoju, żeby nas nie nastraszyć. Potem dopiero dowiedziałem się do jakiego stopnia była niespokojna.

— Nie trzeba wierzyć ruinom, mój Adziu, gruz się z nich sypie, cegły odstają jedna od drugiej. Łatwo wymknie ci się kamień z pod nogi, a wtedy... możesz zostać kaleką na całe życie.

Z tryumfem pokazałem moje nietoperze. Był to jakiś mały gatunek, bo okazy nasze były dorosłe. Zabawna, mała, małpia mordeczka, pokryta brązową sierścią, ciałko maleńkie, otulone brązowemi, jedwabistemi włoskami, zakończone malutkim ogonkiem. Uszki nastroszone, przednie łapy wielkie z olbrzymiemi palcami zakończonemi pazurkami. Pomiędzy bokami ciała, łapami i palcami rozciągała się naga błona, ciemno-brązowa, prawie czarna. Złe były, chciały nas gryźć i otwierały śmieszne swe pyszczki pokazując ostre, białe ząbki. Były to mroczki karliki, należące do najmniejszych gatunków nietoperzy.

— I pocóż wybrałeś je z miejsca urodzenia? — zapytał tatuś.

— Wypuszczę je w naszym ogrodzie, wiem, że są pożyteczne przez to, że wyjadają szkodliwe ćmy, mole, muchy, komary i inne owady.

Mroczek karlik.

— Ale jakim sposobem — zawołał Staś — mogą one widzieć po nocy? wszak w dzień śpią i dopiero późnym wieczorem wylatują na żer.

— Oczy mają niezłe — rzekł ojciec — ale jeszcze lepszy mają słuch. Spójrz się na te uszki sterczące ciekawie do góry i chwytające chciwie dźwięki. Inne nietoperze mają nawet olbrzymie uszy i łatają nastroszywszy je do góry dla lepszego chwytania wszelkich odgłosów i szelestów. One słuchem odróżniają cichy lot ćmy, brzęczenie komara i lecą tam, gdzie spodziewają się smacznej kolacji. A jedzą mnóstwo, zwłaszcza na jesieni, aby utyć przed snem zimowym. Przez całą bowiem zimę śpią i nie karmią się wtedy niczem.

— Jakże to dobrze, żem je złapał i że je wypuszczę w naszym ogrodzie!

— Chwalisz się i chwalisz bezustannie swemi nietoperzami—rzekł Staś — a nawet nie zapytasz co ja zdobyłem, przeszukując dęby. A mam nie byle wąsala!

I pokazał nam wielkiego żuka, szczupłego i długiego, o odwłoku zwężającym się przy końcu. Ozdobą jego były dwa olbrzymie wąsy, które dłuższe były od niego samego. Odrazu poznałem kozioroga wielkiego, mieszkańca dębu.

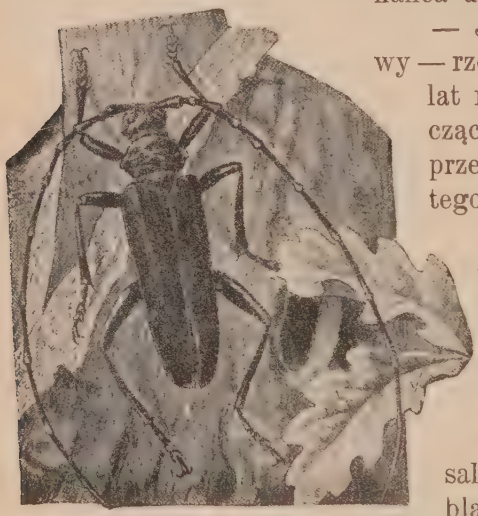

Kozioróg wielki.

— Jest on bardzo szkodliwy — rzekła mama — bo kilka lat mieszka w dębie, niszcząc jego drewno, zanim przeobrazi się w skrzydlatego owada.

— Tembardziej się cieszę, że zdobyłem go do zbiorów.

— Przytem okaz prześliczny.

Zabrałem swe nietoperze, Staś swego wąsala, pan Mieczysław niósł blaszanką z osoką aloesową i lilją, matuś pusty koszyczek po zapasach, a tatuś siatkę na motyle i aparat, bezpotrzebnie zabrane na wycieczkę—i wsiadłszy na bryczkę pojechaliśmy do domu.

Przez cały ten czas woźnica nasz Kunowrodzki spał na bryczce, a koń jego pasł się na łące w pobliżu. Kunowrodzki przyznał się, że był tak spragniony, że się napił wody ze stawu, rodzice zaś twierdzą, że od takiej wody można dostać dysenterji i umrzeć. Nie powiedzieli tego jednak na razie Kunowrodzkiemu, żeby go nie niepokoić. Przy najpierwszem jednak widzeniu mama postanowiła mu powiedzieć, że pijąc taką wodę stawia na szali swe życie

i wytłomaczyć mu dlaczego tak jest. W czasie powrotu opowiadaliśmy sobie swe wrażenia, śmiejąc się i dokazując. Bolało mię tylko to, że nie złapałem ani jednego motyla.

Otóż tak los zrządził, że wieczorem, gdyśmy po powrocie siedzieli przy kwaśnem mleku z kartoflami, znęcona światłem lampy, która świeciła się na werandzie, wleciała wprost na mnie duża, ciemna ćma. Przynajmniej teraz przydały mi się aparat i siatka.

Była to barczatka sosnówka.

— Niepotrzebna mi jesteś! — rzekłem z gniewem. Mam dość twych siostrzyczek w zbiorach, ale żeś szkodnica jakich mało, więc idź do aparatu! Giń! Wolę ocalić życie sosen niż twoje.

XII.

Wycieczka piechotą przez las do Falenicy. Grzyby. Macierzanka. Wiewiórka. Zmija. Jaszczurka. Mniszka. Nieparka.

Dziś rano Staś przyniósł z ogrodu kilka pieczarek. Rosły sobie pod krzakami porzeczek. Tatuś mówi, że było tam wiele nawozu i że dlatego grzyby te urosły takie wielkie, tęgie i zdrowe. We Francji jadają z grzybów tylko pieczarki, które hodują na nawozie końskim. Prawdziwków, rydzów nikt nie zbiera, może dlatego, że niema tam tak wielkich lasów jak nasze i o grzyby samorosnące musi być trudno. Nie znają też wcale grzybów suszonych. Hodują pieczarki w cieplarniach i przez cały rok mają ten przysmak. Jestto grzyb bardzo smaczny, to prawda, i zapach ma miły, ale wygląd cal-

Pieczarka.

kiem podejrzany! Gdybym nie wiedział, że ta oto pieczarka z jasnym na wierzchu kapeluszem, a gęstemi, czarnemi blaszkami u spodu, z trzonem ozdobionym strzępiastą kryzą, jest grzybem jadalnym, byłbym pewny, że mam przed sobą truciciela jakich mało.

Macierzanka.

Mama bardzo się ucieszyła ze znalezionych pieczarek i zaraz powstał projekt wycieczki do lasu na grzyby.

— Po tych deszczach — rzekła — musi być wiele grzybów w lesie, a teraz, w sierpniu, rozpoczyna się najlepszy czas na grzybobranie.

Ponieważ i tatuś zgodził się pójść z nami, więc postanowiliśmy odbyć wielki spacer po lesie, dojść aż do stacji Falenicy, oddalonej od nas w prostej linji o jakie dwie i pół wiorsty. Lasem droga była kręta i dłuższa. Zabraliśmy koszyczki, a także nieodstępne siatki i aparat.

Kurka.

Na skraju lasu kwitła obficie macierzanka, okrywając wzgórki piaskowe puszystym dywanem swych drobnych liljowych kwiateczków. Ma ona malutkie kwiatki o koronie wargowej, zebranej w gronka, a ponieważ rośnie gęsto i kwitnie obficie, więc murawa miejscami była fijoletowa od tego kwiecia. Cała roślina roztarta wydaje b. miły zapach, to też z rozkoszą rzucali-

śmy się ze Stasiem na te dywany macierzankowe i tarzaliśmy się po nich, napawając się ich aromatem.

Z początku znajdowaliśmy same kurki czyli lisiczki, których „czerw nie zjada, i dziwna, żaden owad na nich nie usiada". Najświętsza prawda! tyle! tyle! tych kurków już zbierałem, a nigdy nie zdarzyło mi się spotkać ani jednego robaczywego! może zapach tych grzybków, dla ludzi miły, jest nieprzyjemny, a nawet odpychający dla owadów. Jestto niewielki grzybek, żółciutki, pachnący i tem się różniący od innych, że trzon się rozszerza, przechodzi powoli w kapelusz, a nie odcina się od niego wyraźnie. Dość, że niewiadomo, gdzie się kończy pień, a gdzie się zaczyna kapelusz.

Muchomór.

Na małych polankach rosły obficie maślacze, żółciutkie od spodu i pokryte drobnemi dziureczkami jak gęste sito. Z wierzchu są brązowe. To w nich jest oryginalne, że kapelusz i trzon są u młodych maślaczy pokryte błoną białą, którą następnie grzyb rosnąc rozrywa. Ślady tej błony pozostają u starszych maślaczy na trzonie, w postaci kryzy białej i strzępiastej, jak u pieczarek. Ano, bo z pieczarkami dzieje się to samo. Młode są otulone w pieluszki białe, które następnie grzyb, rosnąc rozdziera.

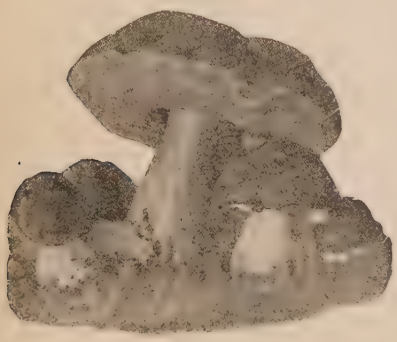

Prawdziwki

— To samo spotykamy rzekła mama i u muchomorów, czyli mucharów, znanych grzybów trujących.

Spójrzcie się, tu właśnie rośnie ich kilka, jedne są czerwone, inne żółtawe, a wszystkie noszą kryzy na trzonie, ba! nawet na kapeluszu pozostały resztki tej błony w postaci kropek białych i wypukłych.

— A tu - rzekłem—jest mały muchomorek, cały spowinięty jeszcze. Gdy mu się sprzykrzy siedzieć w pieluchach, to je porozdziera i wyjrzy sobie ciekawie na las!

Raptem posłyszeliśmy głos tatusia idącego przodem: Eureka! eureka!

Pobiegliśmy w podskokach, zaciekawieni tem, co tatuś mógł znaleźć. Ojciec trzymał wspaniałego prawdziwka!

— Ot, tu siedział, przy tym zbutwiałym pniu, wśród kępki wrzosów.

— Tatuś jest bohaterem dzisiejszego grzybobrania— rzekłem — nikt nie ma jeszcze borowika, tatuś pierwszy go znalazł.

— Jest to grzyb, który wzbudza zaufanie — rzekł tatuś—kapelusz gładki, brązowej ładnej barwy, pod spodem dziurkowany, pień biały, gruby, prosty. Rozumiem, że takie grzyby przyjemnie jest zbierać, ale schylać się po byle maleństwo, czyż to warto!

Tatuś obcina grzyby scyzorykiem, a nie wyrywa je z korzeniami, tak jak my. Ktoś mi mówił, że grzyby trzeba obcinać przy ziemi.

— Tak postępują na Litwie i z tego powodu tyle tam jest grzybów!

— Mylisz się Adziu—powiedziała mama — sądząc, że grzyby mają korzenie. Charakterystycznem dla grzybów jest, że są roślinami bez korzeni. Są to rośliny nie zdolne czerpać soków z ziemi, ani też gazu węglowego z powietrza, muszą żyć gotową strawą. To też grzyb wyrasta zawsze albo na gnijących jakich resztkach, lub na butwiejących szczątkach roślin. Pamiętajcie, że sam grzyb siedzi pod ziemią, i ma kształt splątanego kłę-

buszka nici. Nićmi temi oplątuje pokarm, który ma ssać i dopiero gdy przychodzi czas owocowania, wypuszcza z siebie trzon z kapeluszem po nad powierzchnię ziemi. Kapelusz to owoc—w nim siedzą zarodniki, które rozsiewają się dokoła, gdy dojrzeją. Zarodniki siedzą pod spodem kapelusza — albo w tych maleńkich dziureczkach, któremi jest usiany spód borowików i maślaczy, albo na tych cienkich a gęstych blaszkach, które od środka promieniują dokoła obwodu u spodu pieczarek, muchomorów i tych kolorowych syrojadek, których tu dużo rośnie dokoła, a których wcale nie zbieramy, choć są jadalne. Pieczarka młoda jest różowa od spodu, dopiero w miarę dojrzewania zarodników czernieje, bo zarodniki dojrzałe są w niej czarne.

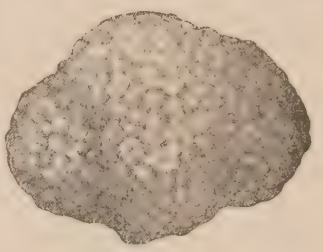

Trufla.

— A dlaczego zarodniki nie tworzą się w ziemi, tam gdzie sam grzyb siedzi?—zapytał się Staś.

— Dlatego kochanku, że muszą być suche, aby módz dojrzeć i rozsiać się po świecie. Z tego też powodu osłonięte są one potężnym kapeluszem, który jak parasol okrywa je przed deszczem i nie daje zmarnieć. A teraz powiedzcie chłopcy, dlaczego dobrze robię, że scyzorykiem ścinam grzyby przy ziemi, a źle postępują ci, co je wyrywają.

— Teraz rozumiem—zawołałem—tatuś obcina owoc, a nie wyrywa samego grzyba, który może wydać więcej jeszcze owoców. Czy tak?

— Nieinaczej! Tak samo niemądrze postępowałby ogrodnik, któryby dla zdjęcia gruszki uważał za potrzebne oderwać gałąź, lub wyrwać drzewko. Nie wiem jednak, dlaczego nie zbieracie tutejszych trufli?

— Trufli?—nie widzieliśmy tu jeszcze trufli.

— Ot tu! na tym wyrębie rośnie ich bardzo wiele.

— Ależ to osławione „pieprzniczki", purchawki, rozsypujące swój ciemny proszek zarodnikowy.

— Są to tutejsze trufle, nie takie smaczne jak francuskie, ale zapach mają śliczny i suszone do sosów nadają się doskonale. Wyglądają jak purchawki i rosną na powierzchni ziemi, nie tak jak prawdziwe trufle wewnątrz jej. Za młodu są w środku białe, w miarę rośnięcia ciemnieją, aż robią się czarne, zupełnie czarne. Wówczas są dojrzałe. W tutejszych lasach sosnowych jest ich sporo, gdzieindziej nie spotykałem się z niemi.

Gdyśmy o tem rozmawiali, dał się słyszeć szelest i spostrzegliśmy wiewiórecznkę, która ze zwinnością niebywałą wdrapywała się po rudym pniu sosny. Chwilami barwa jej zlewała się z kolorem kory sosnowej. Przystanęliśmy aby jej dobrze się przyjrzeć.

— Co to za miłe stworzenie — powiedział tatuś — takie zręczne, zwinne, a takie przytem szkodne!

— Naprawdę? — zawołał Staś ze zdziwieniem. — Eh! chyba nie zrobi bardzo wiele szkody, gdy zje trochę orzechów, lub wyłuszczy trochę szyszek!

— Zapewne, gdyby na tem tylko polegała jej szkodliwość! Co jednak powiesz na to, że czasem wiewiórki potrafią ogołocić las z nasion! Objadają na wiosnę pąki rozkwitające na drzewach, a wówczas, dla przetarcia zębów obgryzają korę młodych drzewek i ranią je swemi ostremi ząbkami.

— Na co im ta kora? wszak musi być niesmaczna.

— Ale twarda! Wiewiórki muszą ścierać zęby o twardy pokarm, gdyż zęby wciąż im rosną, i gdyby nie były ścierane, toby wyrosły tak wielkie, że zwierzę nie mogłoby zamknąć pyszczka i zdechłoby z głodu. Nie dość tego, ślicznotki te lubią wypijać jajeczka ptaszków leśnych, a gdy w drodze akrobatycznej, wśród tych ciągłych pląsów z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo,

spotkają gniazdko z pisklętami, to i pisklęciem młodziutkiem nie pogardzą!

— Tegom się nigdy nie spodziewał po wiewiórce!— zawołałem — wygląda na stworzonko łagodne, może dlatego, że taka milutka, taka zgrabna! Jak to pozory mylą!

— A co to za wygodnisia! jaka pieszczocha! Gdy deszcz pada i pogoda niemiła, siedzi sobie w swem gniazdeczku, wysłanem najprzedniejszym mchem i puchem roślinnym – a gniazdko jest zbudowane jak domek, opatrzone w dach i ścianki i tylko nieduży ma otwór do wchodzenia. Otóż w słotę, wiewiórka leży sobie wygodnie w swym zacisznym pokoiku, na dywaniku puszystym i śpi. Czasem zajrzy, czy się pogoda nie poprawia, a skoro deszcz leje, znów się wygodnie wyciąga i śpi dalej. Gdy bardzo silna wichura, wówczas mchem zasłania nawet wejście aby jej nie wiało.

Wiewiórki.

— Bardzo dowcipna — rzekłem — ale co ona je przez czas niepogody, który trwać może dni kilka. Chyba pości.

— Oho! zbyt jest wielką wygodnisią na to! Zbiera ona zawsze zapasy i ma w pobliżu nie jedną a kilka śpiżarni.

— Na co aż kilka?

— Poto aby jej się został pokarm nagromadzony w innych śpiżarniach, gdy człowiek lub inna wiewiórka odkryją jedną kryjówkę i zabiorą nagromadzone w niej zapasy.

— Taka sprytna!

— Lubi mieć dobre, wyborowe jedzenie pod ręką. Zna się doskonale na żołędziach, orzechach, szyszkach, buczynie. Wybiera same wyborowe owoce—i gdy deszcz pada, zajada je, delektuje się niemi, jak prawdziwa smakoszka, rozciągnięta na miękkich poduszkach puchowych! Taka to pani! Wybrednisia, łakoma, ale przy tem okrutna.

Wśród nierozkwitłego wrzosowiska latał sobie motylek brązowawy. Lot miał nie taki jak wszystkie motyle dzienne. Latał nizko, często przysiadał, jakby się wahał i nie był pewny gdzie dążyć. Złapałem go — zaraz po rożkach poznałem, że to była ćma, bo motyle dzienne nigdy nie mają rożków, podobnych do maleńkich piórecczek. Nie była to ładna ćma! Już byłbym ją wziął do aparatu, gdyby nie to, że mama raptem zawołała:

— Nie truj jej — to jest samczyk brudnicy nieparki, znany z tego, że choć jest motylem nocnym, jednak fruwa i w dzień. Puść go i uważaj gdzie poleci. Najpewniej zaprowadzi cię on do samiczki.

Usłuchałem mamy. Dostawszy się na swobodę, motylek fruwał to w tę, to w tamtą stronę,—a my ze Stasiem biegliśmy za nim, w pewnej odległości, żeby go nie spłoszyć, ale nie traciliśmy go z oczu. Przysiadał na chwilkę, potem leciał dalej, a my za nim. Wreszcie zatrzymał się czas dłuższy na pniu brzózki, drzewa dość rzadkiego w naszym lesie. Pobiegliśmy tam ze Stasiem, zaczęliśmy pień oglądać i wytropiliśmy naszego motylka obok dużej, niezgrabnej ćmy o białawych skrzydłach w ciemne gzygzaki i grubym włochatym odwłoku. Nie płoszyliśmy ich, nie ruszali, aż do przyjścia rodziców.

— Pomyliła się raz mama! — wołał Staś — bo to nie może być samiczka. Zupełnie jest inna i większa od tego samczyka, za którym takeśmy gonili.

— Dlatego zowią te ćmy nieparkami, że stanowią niedobraną parę. Oryginalne to bardzo zjawisko i rzadko się spotykające, bo chociaż bywają zawsze różnice pomiędzy samiczką i samczykiem, to jednak tak wybitna odrębność należy do rzadkości.

— Mamusiu, mamusiu — zawołał Staś — a co to jest tu na pniu, jakieś kudłate, nie wiem do czego podobne.

— Są to jajeczka tej nieparki. Składa ona kupkę jajeczek i okrywa je włoskami, które wyskubuje sobie z odwłoka; czyni to dla zabezpieczenia ich, dla ochrony. W takiej kupce jest kilkaset jajeczek. Otulone w ciepłe futerko przezimują, a na wiosnę wyjdą z nich maleńkie gąsieniczki, które obsiądą tę brzozę i objedzą ją do szczętu, a gdy brzozy zabraknie, wówczas pójdą na sosny, albowiem igły sosnowe smakują im także. Żarłoczki to niebywałe i szkodnice jakich mało! Lubią wprawdzie jeszcze więcej liście drzew owocowych, ale nie pogardzają sosną lub brzózką.

— Trzeba zniszczyć jajeczka — rzekłem — aby tym sposobem ocalić brzózkę. — Mówiąc to zeskrobałem kijkiem jajeczka i z zawziętością rozdeptywałem w piasku.

— Nie wiem dlaczego — rzekł Staś — dotychczas nie wylęgły się nam nieparki z poczwarek czarnych, których tyle mamy w hodowli.

— Zapewne niedługo będziecie na to czekali—rzekła mama—w sierpniu bywa zwykle dużo nieparek. Ogromnie nie lubię tych ciem, takie dla mnie brzydkie, grube jakieś, niezgrabne, wprost wstrętne.

Mieliśmy już koszyk pełen grzybów, a że niedaleko było do stacji Falenicy, więc poszliśmy na dworzec, odświeżyliśmy się kupionemi u dróżnika świeżutkiemi wi-

śniami wprost z drzewa, a tak dojrzałemi, że były prawie czarne.

W Falenicy jest mnóstwo domków, willi, letnich mieszkań. Ale mi się tam nie podoba, bo tak wszystko razem, blizko siebie, jedno przy drugim. Wprawdzie i w Józefowie jest natłoczenie straszne. Ale my mieszkamy zdala od wszystkich i nie mamy wcale sąsiadów. Przez długie lata nie było widać z naszego domku jak okiem zasięgnął żadnych zabudowań! Teraz zaczęli budować jakiś domek niedaleko nas. Z powodu tego odludzia rodzice moi trzymają dwóch stróżów. Jednego na cały rok, Wojciecha, a drugiego, którego biorą tylko na lato, Stanisława. Ten ostatni chodzi przez całą noc dokoła domku naszego, czyli jak go tu nazywają „dworku" z fuzją nabitą. Wprawdzie nie mamy potrzeby obawiać się tutejszych ludzi, bo rodziców naszych wszyscy włościanie kochają i szanują, ale obcy przybysze, przybłędy mogliby być niebezpieczni.

Wracając lasem z powrotem, znalazłem bardzo ładną ćmę. Niby podobna do nieparki, a niby niepodobna. Nieparka brzydka, a ta ładna. Nieparka gruba i niezgrabna, ta wysmukła i zgrabniutka. Duże jednak podobieństwo istnieje w przednich skrzydłach, które są białe, bielsze niż u nieparki i ozdobione czarnemi zygzakami. Tylnie skrzydła były szaro-białe, a odwłok w czarne plamki, na końcu różowy. Połączenie kolorów: białego, szarego, czarnego i różowego jest śliczne. Zachwycałem się urodą tej ćmy, ale uważałem po minie mamy, że innego była o niej zdania.

— To jest największa szkodnica borów sosnowych, żagnica mniszka, zwana także zakonnicą. Pod tym względem przewyższa podobną do niej, choć znacznie brzydszą nieparkę. Czasem zjawia się w takiej ilości, że wyrządza nieobliczone szkody: objada całe lasy. Gąsienice, gdyż to one są tak żarłoczne, rzucają się czasem na

lasy liściaste, ale najbardziej smakują im igły sosen i wśród tych drzew robią takie zniszczenie jak szarańcza na łanie zboża. Nic wprost z drzew nie zostaje, tylko pnie i nagie gałęzie! Przed kilku laty zjawiła się ta klęska w puszczy Białowieskiej. Całe morgi lasu zostały ogołocone z liści i igieł. Wynajęto włościan specjalnie do tępienia liszek. Cóż z tego, kiedy na miejscu, z którego starannie wybierano liszki, w kilka dni zjawiały się liszki nowe, wylęgające się z jajeczek poskładanych pod korą drzew.

Żagnica mniszka.

Nie było innej rady. Żeby zapobiedz szerzeniu się klęski odgrodzono część lasu zajętą przez mniszkę i podpalono. Przykro było patrzeć na las płonący żywcem — był to jednak środek ostateczny, którego chwycono się gdy nie było innego ratunku.

— No, no, no!—zawołał Staś—a dlaczego te szkodliwe bestje zowią mniszkami, albo zakonnicami, gdy zakonnice powinny być dobre i nikomu krzywdy nie robić.

— Zapewne wskutek kolorów, w które są ubrane.

W tej chwili, przechodząc koło spróchniałego pniaka na pagórku, zobaczyliśmy węża wygrzewającego się na słońcu.

Już, już Staś miał go trącić kijkiem, kiedy ojciec schwycił Stasia i podniósłszy go w górę, postawił o kilka kroków dalej.

— Żmija!—zawołał—nie zaczepiać jej i przyśpieszyć kroku!

Oddaliliśmy się szybko. Zdążyłem jednak zauważyć, że wąż ten jest wzdłuż całego ciała przecięty zygzakowatym, ciemnym pasem, a głowę ma u nasady znacznie rozszerzoną. Pierwszy raz widziałem żmiję. Znałem ją dotychczas tylko z książek, więc wiedziałem, że ma jadowite zęby i że trzeba jej starannie unikać. Nie wiedziałem jednak wtedy jeszcze co to są jadowite zęby, gdzie jest w nich jad, skąd się bierze.

Żmija.

— To bardzo ciekawe urządzenie – rzekł tatuś. — Ząb jadowity u żmij ma w środku kanalik, a sam jest osadzony na gruczole pełnym jadu. Gdy ząb jest w spokoju, wówczas jad się wcale nie wydziela, skoro jednak naciśniemy koniec zęba np. palcem, wówczas naciśniemy jednocześnie na gruczoł jadowy. Wydziela się z niego wtedy jad, płynie kanalikiem przez całą długość zęba i dostaje się na palec. Gdy żmija ugryzie, wówczas jad spływa do ranki i dostaje się do krwi. Następuje zatrucie, które dla dzieci kończy się najczęściej śmiercią.

— Wszystkie zwierzęta muszą się jej bać—rzekłem—skoro tak uzbrojona, i do tego wpada podobno czasem w okropną złość.

— Jeden jeż nie lęka się jej. Stacza z nią czasem walki, z których wychodzi zwycięzcą. A skoro ją pokona, to z apetytem raczy się jej mięsem, jak najlepszym przysmakiem.

Musi tu być jednak moc jaszczurek w tych stronach, zwłaszcza na tych słonecznych wzgórzach, pokrytych mchem i wrzosami. Pójdźcie zobaczyć chłopcy, może co znajdziecie.

Rodzice usiedli pod wielką sosną dla wypoczynku, a my obaj, niezmordowani i niezmęczeni niczem, podskoczyliśmy na wskazane wzgórza. Zaczęliśmy szturgać kijkami w mech i wrzosy i w krótkim czasie wypłoszyliśmy z pod mchu całą rodzinę jaszczurek. Maleńkie

Jaszczurka zwyczajna.

jaszczureczki przerażone uciekały kryjąc się po norkach, pod krzakami wrzosów lub pod mech. Było ich zapewne z dziesięć, a wszystkie zwinne, zgrabniutkie! Staś chciał wyłapać małe jaszczureczki, a potem puścić je do naszego ogrodu, bo są owadożerne a przez to pożyteczne. Ale mama nie chciała.

— Lepiej im tu będzie — rzekła — te jaszczureczki są bardzo młodziutkie, może parę dni zaledwie jak wykluły się z jajeczek złożonych pod mchem, a takie są już zwinne i zaradne! Zostawcie je tutaj, w rodzinnej kolebce, niech tu wzrastają i lasowi służą.

W naszym ogrodzie byłoby jej napewno niedobrze, niema mchu, ani słonecznych wzgórzy, jak tu w lesie.

U nas znalazłem niedawno inny gatunek zwany jaszczurką żyworodną; jest ona krótsza, brunatna w białawe kropki i grubsza od zwyczajnej. Nie rozumiałem wyrazu „żyworodna" i spytałem mamy, co to może znaczyć. Matuś mi wytłomaczyła, że zwyczajne jaszczurki znoszą jaja, z których się wyklują młode — żyworodna zaś znosi odrazu żywe młode jaszczureczki.

Spacer do Falenicy zajął nam całe przedobiedzie. Żałowaliśmy bardzo kąpieli w Świdrze, opuszczonej z powodu wycieczki. Ale, że dzień był bardzo ciepły i piękny, więc po południu poszliśmy z ojcem do rzeki i nażywaliśmy się pływania, nurków i odświeżeni wróciliśmy do domu. Wieczór wesoło nam zeszedł na kołobiegu i na grze w krokieta, tembardziej, że mieliśmy towarzystwo dwóch moich rówieśników, którzy przyszli mię odwiedzić. Szkoda mi było, że nie mogliśmy grać w palanta, bo niestety zgubiłem piłkę, a palant to moja ulubiona gra! Przynajmniej człowiek ruchu się nażywa, nabiega, naskacze, naweseli — krokiet jest jak dla mnie za spokojny i przez to trochę nudny. Ale cóż było robić — w braku piłki, graliśmy w krokieta, a dla rozruszania się, po każdej partyi, puszczaliśmy się w szaloną gonitwę na kołobiegu.

XIII.

Motyle dzienne i nocne. Hodowle. Pawie oko. Żałobnik. Admirał. Gąsienicznik. Barylkarz. Garbarze. Połów nocny. Błyszczka gama. Wstęgówka pąsówka.

Mam go! mam go nareszcie! mam prześlicznego, najcudniejszego, najbardziej upragnionego motyla! mam pawie oko! Wiele się naszukałem, wiele się namęczyłem, wiele nabiegałem, zanim znalazłem takie miejsce, gdziem go znalazł, i gdzie znajdę napewno jeszcze niejednego!

Miejsce to jest za Świdrem. Trzeba przejść przez kładkę, która ledwo się trzyma, albo lepiej boso przez Świder. Tam jest pewien zakątek, gdzie rośnie mnóstwo pokrzyw i ostów. Nad pokrzywami fruwają pawie oka. One tam się lęgną, bo ich gąsienice, czarne i kolczaste karmią się parzącą pokrzywą. Widocznie pokrzywa jest ich przysmakiem. Ale te brzydkie, kłujące gąsienice przepoczwarzają się, a z poczwarek wychodzą urocze motyle brązowe, ozdobione na każdem skrzydle kolorowem pięknem okiem. Widziałem nawet poczwarkę jasno

Pawie oko.

brązową w plamki złote, wiszącą na pokrzywie. Niestety! dostanie się do niej przypłaciłbym okrutnem poparzeniem. Próbowałem zdjąć ją siatką, ale mi się nie udało i poczwarka spadła między pokrzywy, skąd nie próbowałem nawet jej podnieść. A szkoda! bo coby to za przyjemność była, gdyby mi się wylęgło pawie oko! Ta poczwarka bardzo była podobna z kształtu, barwy i białych kropek do poczwarki rusałki pokrzywnik. Sprawdziłem tę rzecz w książkach przyrodniczych i atlasach, i dowiedziałem się, że pawie oko jest także rusałką, że

oba motyle pozostają w blizkiem pokrewieństwie, należą bowiem do tego samego rodzaju.

Równie blizkim krewnym jest rusałka żałobnik. Piękny motyl ciemno brązowy prawie czarny, z żółtą obwódką nakrapianą niebieskiemi plamkami, i najcudniejszym połyskiem aksamitnym. Fruwa ich teraz bardzo wiele, zwłaszcza nad Świdrem, i zalatują często do naszego ogrodu. Nic dziwnego, że tyle ich jest nad Świdrem, gdyż gąsienice ich żyją chętnie na wierzbach, topolach i brzózkach, i na tych drzewach przepoczwarzają się. Ale ja nie gonię za żałobnikiem! proszę sobie wyobrazić, że od paru dni lęgną mi się one co ranka w hodowli, po 2 lub 3 dziennie. Najpiękniejsze biorę do zbiorów, a brzydsze puszczam w świat, na swobodę. Te szare poczwarki w srebrne plamy, które znalazłem na parkanie i brzezince, — były właśnie poczwarkami żałobnika. Spodziewałem się, że wykluje mi się z nich pawie oko! alem się zawiódł, gdyż zaczęły mi codzień wychodzić z nich żałobniki, czyli płaszcze żałobne, może piękniejsze od pawiego oka, ale smutne i poważne — gdy pawik jest wesolutko ubrany i sprawia wrażenie czegoś młodego i bardzo miłego. Rano, gdy się obudzę, nie patrzę na godzinę tylko biegnę do hodowli. Zawsze coś nowego tam znajduję. Jeden żałobnik, widocznie nastraszony podczas pompowania skrzydeł, pozostał kaleką, z małemi zmiętoszonemi skrzydełkami. Żal mi go było bardzo, wziąłem go do zbiorów jako okaz motyla — potworka.

Żałobnik.

Codziennie chodzimy nad Świder do kąpieli, — otóż teraz urządzamy tam wielkie polowanie na motyle, bo co się ich obecnie uwija na brzegu wody, aż strach! — wciąż fruwają, to żałobniki, to pawie oka, to wreszcie admirały. Mamy ich aż trzy! Czarne jak aksamit, ubrane czerwonemi wstęgami i kilku białemi plamkami. Trudno dają się chwytać. Widocznie jednak przyszła na nie pora, bo aż się roi od nich nad Świdrem. Podobno lęgną się one tak jak pawiki na pokrzywie. Są to także rusałki. Doszedłem do tego przekonania, że wszystkie rusałki są dość pstre, efektownemi barwami ubrane, i bardzo u nas pospolite. Znam ich aż pięć: osetnik, pokrzywnik, pawie oko, żałobnik i admirał. Teraz poznałbym odrazu poczwarkę tych rusałek, gdyż wszystkie są ozdobione w złote albo srebrne plamy. Pokrzywnik i pawie oko mają złoto nakrapiane, a admirał i żałobnik srebrno nakrapiane poczwarki.

Admirał.

Rusałki mają liszki często okryte kolcami i chętnie żyjące pokrzywą. Ale co najdziwniejsze, że motyle te mają tylko 4 nogi, gdy liczba zwyczajna dla wszystkich owadów jest 6. Przednia para ich nóg jest przekształcona w jakieś kosmyczki i zupełnie nie może służyć im

do chodzenia. Bardzo rad jestem, że zapoznałem się bliżej z rusałkami, bo są śliczne, a przytem mnóstwo ich żyje u nas.

W hodowli mojej zaczęły lądz się ćmy brudnicy nieparki, nie mogę się jednak zdobyć na rozpięcie jej, bo wstrętna jest dla mnie ze swym kudłatem, wielkiem cielskiem. W ogrodzie znalazłem na pniu kilku drzew kupki jej jajeczek starannie otulone sierścią — alem je niszczył bez pardonu, aby zabezpieczyć kochane nasze drzewka przed temi brzydkiemi szkodnicami.

Muszę koniecznie opowiedzieć, co mi sie trafiło z jedną poczwarką nieparki.

Miałem w hodowli 12 poczwarek żałobnika i kilka czarnych poczwarek nieparki. Nic mi się jeszcze z nich nie lęgło. Aż pewnego pięknego poranku, zaglądam do hodowli, patrzę, siedzi sobie w niej dziwny jakiś owad. Cztery skrzydełka przejrzyste jak u osy, przednie większe, tylne mniejsze, nogi długie, w pasie cieniutki, dwa rożki cienkie i długie. Ani motyl, ani osa — niewiadomo wcale co to za przybysz. Ale przedewszystkiem skąd się wziął. Na pewno nie wleciał, bo hodowla szczelnie była zamknięta. Musiał się więc tu wylądz, u mnie, w mojej hodowli, ale z czego? Nic innego nie miałem po za poczwarkami nieparki i żałobnika. Więc jakim sposobem i z czego się wykluł? Naturalnie poszedłem z hodowlą do mamy, prosząc o objaśnienie. Matuś mi kazała obejrzyć dokładnie wszystkie poczwarki. Zacząłem im się dobrze przyglądać i ze zdumieniem zauważyłem, że jedna czarna poczwarka jest przedziurawiona i pusta.

— Cieniutki ten owad musiał z niej wyjść! — rzekła mama.

— Ależ jakim sposobem, skoro to poczwarka nie jego ale ćmy nieparki.

— Nic mu to nie przeszkadza do wyjścia w świat. Jest pewien owad, ot ten właśnie, który ci się wylągł, zwany gąsienicznikiem, który ma ten wstrętny zwyczaj, że składa swe jajka w ciało żywych gąsienic lub poczwarek. Z jajeczka po pewnym czasie wykluwa się malutka gąsieniczka drapieżna i okrutna, karmiąca się ciałem swego nieszczęsnego gospodarza. Gospodarz naturalnie mocno na tem cierpi i choruje, ale gąsieniczka rośnie, tyje, nieczuła na to, obojętna najzupełniej, że wzrasta kosztem cudzego życia. Gdy dorasta, z poczwarki, w której gościła, zostaje tylko powłoka, cienka skórka, mogąca służyć jeszcze za schronienie dla przepoczwarzającej się liszki. Zostaje więc ona w tym domku, dopóki jej potrzeba, a skoro z poczwarki uformuje się owad oskrzydlony, wówczas przedziurawia skórkę pozostałą po ciele swego gospodarza i wyfruwa w świat.

Gąsienicznik.

— Więc ten gąsienicznik....

— Rozwijał się najspokojniej w poczwarce brudnicy nieparki, a gdy przeszedł wszystkie przeobrażenia, wówczas wyszedł najspokojniej, jakby nikomu krzywdy nie zrobił, i zapewne szuka sposobności złożenia jajek...

— Oh! szkarada, muszę go zaraz usunąć z hodowli, aby mi nie ponakłuwał innych poczwarek. A to bandyta, okrutnik! Pomyśleć tylko, żeby jeść po trochu codzień ciało żywych gąsienic, toczyć je za życia! to grozą przejmuje!

— Nie bierz go palcami, bo cię pokłuje, to zły owad i z tyłu ma pokładełko ostre jak sztylecik. Ukłuł mię raz gąsienicznik w rękę, to wiem że to bardzo boli — ból jest ostry, przejmujący i nadzwyczaj przykry.

Wziąłem go ostrożnie pincetkami—wił mi się, cały odwłok wyginał na wszystkie strony, szukając nieprzyjaciela abygo ukłuć. Niema naiwnych mój panie! idź do aparatu. Zatruję cię, abyś nie robił takiej straszliwej krzywdy tym biednym gąsienicom lub poczwarkom. A przytem muszę cię mieć w zbiorach, mój ty panie cienkoodwłoczny, na pamiątkę twego wylęgnięcia się w mojej hodowli.

— Gąsienice, mój Adziu, są narażone na liczne niebezpieczeństwa. Życie ich wisi zwykle na włosku. Pomyślcie tylko, ile ptaków żywi się niemi. Z tego powodu owady składają setki jajeczek! Kto wie ile wyrośnie owadów uskrzydlonych z tej ogromnej liczby zapowiadającego się potomstwa, tembardziej że i same jajeczka stanowią ulubiony przysmaczek ptaków.

Baryłkarz.

Jest inny jeszcze owad nieduży, z pozoru niewinny, zwany baryłkarzem, podobny do naszego gąsienicznika. Ma on także brzydki zwyczaj składania swych jajek w ciało żywych gąsienic bielinka kapustnika, dobrze ci znanego motyla białego, ozdobionego czarnemi plamami. Gąsienice jego żywią się kapustą i bardzo są szkodliwe, przyprawiając gospodarzy o znaczne straty objadaniem liści kapuścianych. Godną pożałowania jest jednak ta gąsienica

którą baryłkarz wybrał jako żywy pokarm dla swych dzieci. Z całej kupki jajek złożonych w jej ciele wylęgają się malutkie i liczne liszki, toczące ją za życia. Widziałam raz liszkę taką, była żywa, ruszała się, wprawdzie opieszale, nawet jadła, a ciało jej było pełne robactwa, które ją obsiadło ze wszech stron jedząc ją dokoła. Gdy wszystko z niej wyjedzą, wówczas mają dość, przemieniają się w poczwarki Ale i gąsienica ma już dość tego życia. Samiczki składające jajka, dobrze wiedzą jaką wybrać gąsienicę, aby wystarczyła ich przyszłym dzieciom. Wybierają takie, żeby dzieci nie były głodne i mogły swobodnie się rozwijać. Okrutne zwyczaje istnieją w świecie zwierzęcym.

— Jakież to wstrętne!

— Tak, to jest wstrętne! a swoją drogą, wszystkich nieprzyjaciół liszek winniśmy uważać za swych przyjaciół, jako niszczycieli naszych wrogów, tępicieli szkodników pozbawiających nas czasem plonów ciężkiej pracy. Nawet ten baryłkarz i ten gąsienicznik...

— Są dla ludzi pożyteczne! może być, ale nic to ich nie podniesie w moich oczach. Pozostaną zawsze najobrzydliwszymi okrutnikami, drapieżcami i egoistami.

— A ptaki owadożerne, cóż o nich powiesz?

— Ależ one odrazu zjadają gąsienicę lub owad i na tem koniec. A te bestje je męczę!

— Zapominasz o gąsiorku!

— Gąsiorek jest wyjątkiem! i to niesympatycznym wyjątkiem, gdybym miał fuzję, zabijałbym je, strzelał, gdziebądź bym je spotkał.

— Zabijanie jest także okrucieństwem! ale masz rację sądząc, że jest ono mniejszem okrucieństwem niż męczenie i dlatego zwierzęta zabijające odrazu swoją ofiarę wydają się nam mniej okrutnemi niż te, które spożywają ją powoli nie bacząc na jej męczarnie.

Pod wrażeniem tej rozmowy, poszedłem do mej dużej hodowli w celu obejrzenia liszek. Niespokojny byłem o nie, czy co ich złego nie spotkało. Wyglądały jak nieswoje. Wielkie zielone, ślicznej zieleni majowej, gąsienice tawulca pożółkły, łaziły niespokojnie po hodowli, nie chciały jeść, grzebały się w ziemi, którą hodowla była wysypana. Zauważyłem, że to samo działo się z gąsienicami wilczomleczka: zbladły, to jest barwy ich pożółkły, wciąż zakopywały się w ziemię, a jeść nie chciały. Zaniepokoiło mię to bardzo, zwróciłem uwagę Stasia na te zmiany chorobliwe i obaj zaczęliśmy się martwić przypuszczając, że spotkało je jakieś nieszczęście, coś w rodzaju baryłkarza lub gąsienicznika. Zaniepokojenie nasze wzrosło, gdyśmy je zliczyli: było ich mniej niż dawniej. Ale matuś, która to wszystko słyszała z drugiego pokoju, uspokoiła nas zupełnie.

— To są liszki zakopujące się w ziemię. Przedtem barwy ich zwykle bledną, a same liszki niespokojnie łażą, szukając dogodnego miejsca. Pewna jestem, że niektóre już się zakopały i dlatego liczba ich jest mniejsza. Nie powinno się ruszać zakopanych liszek, ale dla przyjrzenia się im i sprawdzenia czy moje przypuszczenie jest słuszne, pogrzebię w ziemi i zobaczę czy w niej co jest.

Mama odgarnęła kijkiem ziemię w hodowli, i zaraz znalazła dwie wielkie, czarne poczwarki, z rogiem zagiętym. Ruszały się one, kręcąc tylnią częścią na wszystkie strony.

— Są to właśnie poczwarki tawulca, a ten róg nie jest rogiem prawdziwym lecz pochewką, w którą schowaną jest długa jego trąbka! Leżeć one będą aż do wiosny,— całą zimę spędzą w ziemi, dopiero w czerwcu a najwcześniej w maju wyjdą z nich dorosłe, oskrzydlone motyle nocne, jakeśmy mieli piękny tego przykład w tym roku. Wątpliwe jednak, czy wam się uda poczwarki te przezimować, gdyż

trudne są do przezimowania. Gdy leżą w ziemi zbyt suchej, wówczas wysychają, gdy przeciwnie, grunt jest za wilgotny wówczas pleśnieją — a utrafić w środek jest trudno. Trzeba na to długiego doświadczenia. Tu zaś zakopała się i przepoczwarzyła gąsienica wilczomleczka, — z tej pstrej czerwono i żółto pokropionej gąsienicy powstała brunatna, skromna poczwarka. Leżała tuż pod powierzchnią ziemi. Są to poczwarki zimujące tak samo jak tawulcowe. Dopiero na wiosnę doczekacie się z nich motyli. A tymczasem musicie baczyć aby się nie zeschły lub nie zapleśniały. Codzień trzeba badać suchość ziemi i jeśli jest za sucho, to ją pulweryzować. Wkrótce wszystkie te pstre i zielone gąsienice pójdą na zimowe leże do ziemi. Rada będę bardzo, jeśli uda się je wam przezimować i otrzymać z nich śliczne motyle.

— Wilczomleczek — rzekł Staś — nie ma nic właściwego ćmom, barwę i wygląd ma motyla dziennego. Jedno tylko, że o zmierzchu lata, każe nam go chyba zaliczyć do ciem.

— W układzie skrzydeł w stanie spoczynku jest wielka różnica. Motyle dzienne podnoszą podczas spoczynku skrzydła do góry — pokazując tylnią ich stronę. Ćmy zaś składają je dachówkowato, przykrywając przedniemi skrzydłami skrzydła tylne i pokazując widzom prawą stronę przedniej pary skrzydeł. Różki mają ćmy zwykle inne od motyli dziennych, bo ułożone albo w piórka albo w szczecinki — gdy motyle dzienne mają je zazwyczaj w kształcie cienkich niteczek zakończonych główką. Ćmy mają zwykle tułów i odwłok włochaty i gruby — motyle mają także ciało uwłosione, ale delikatnie, a tułów i odwłok cienki. Chciałabym abyście zapoznali się bliżej z ćmami i dlatego zaproponuję wam urządzić dzisiaj nocny połów na ćmy, gdyż zapewne wieczór będzie ciepły i nie wietrzny.

— Ależ matusiu droga — rzekł Staś — jakże tu biegać za ćmami po ciemnej nocy, tembardziej, że teraz księżyca niema i czarno jest zupełnie?

— Już my się tak urządzimy, że ćmy same do nas przyjdą.

— Jakto, nie będziemy biegali za niemi z siatką?

— Siatka będzie nawet niepotrzebna — a połów może być bardzo obfity — bo wieczór zapowiada się cudny.

Matuś nie chciała nam więcej powiedzieć! daremnie probowaliśmy dowiedzieć się jak to będzie, Staś nawet trochę dokuczał mamie, ale nic nie pomogło.

— Zobaczycie dziś wieczór — powtarzała mama — nie takie długie czekanie, żeby się niecierpliwić. Za kilka godzin będziecie wiedzieli o wszystkiem.

Dyląż garbarz.

Swoją drogą byliśmy bardzo zaciekawieni i oczekiwaliśmy niecierpliwie upragnionego wieczoru.

O zmierzchu fruwają teraz wielkie żuki czarne, z rożkami sporemi i członkowanemi. Są to garbarze, niby podobne trochę do kozioroga, ale znacznie grubsze, i o rogach daleko mniejszych. Staś mi proponował gonitwę za niemi, ale niebardzo mi się chciało, bo myśl moja czem innem była zajęta.

Skoro godzina dziewiąta się zbliżyła, mama rozesłała duży biały ręcznik na stole, na werandzie. Potem zapaliła lampkę acetylenową, którą tatuś używa do roweru, i postawiła ją na ręczniku zwróciwszy światłem na ogród.

— Same ćmy nam przylecą, zwabione światłem. Pomiędzy 9—2 w nocy najwięcej ich lata, ale tak długo siedzieć nie będziemy na polowaniu. Ty, Stasiu, idź spać, ja z Adasiem zostanę na werandzie do dziesiątej,

poczem Adaś pójdzie spać, a ja sama jeszcze dopilnuję połowu.

— Niech mi mama pozwoli, Duszko droga — mówił Staś — zostać tu choć pół godzinki! taką mam ochotę, choć pół godzinki!

— Dobrze — odpowiedziała mama — ale pod tym warunkiem, że prędko się rozbierzesz i umyjesz i nie będziesz zwlekał z pójściem do łóżka.

— Zgadzam się na wszystkie warunki! — ale poco matuś użyła lampki acetylenowej, a nie zwyczajnej, naftowej?

— Bo światło daje silniejsze, które prędzej zwróci uwagę ciem, nawet zdaleka.

Usiedliśmy z tyłu, w cieniu, za lampką, aby nas widać nie było i czekaliśmy cichutko na ćmy. Noc była gwiaździsta, ale bezksiężycowa i czarna. Ciepło było, nawet wietrzyk najmniejszy nie powiewał.

— Ćmy — mówiła mama półgłosem — nadzwyczaj są wrażliwe na światło, lecą do niego, opalają sobie skrzydła, parzą się, a pomimo to gdy się poderwą, znów lecą do niego i jeszcze gorzej się opalają. Czy dacie wiarę, że w miejscowościach, w których są huty szklane lub żelazne o piecach świecących się całemi nocami, ćmy zlatują się całemi chmarami aby spłonąć. Nieświadomie szukają śmierci, a ginie ich tyle, że wreszcie cała okolica zostaje pozbawiona motyli nocnych. W miejscowościach oświetlonych wielkiemi lampami elektrycznemi znajdowano nad ranem setki opalonych ciem leżących u stóp latarni. Sama widziałam w parku pod Odesą oświetlonym elektrycznością, jak setki ciem olbrzymich i małych tłukły się uporczywie dokoła lamp wysoko rozwieszonych. Co odleciały trochę, to znów wracały i z niebywałym uporem uderzały ponownie skrzydłami o szkło lamp. Nic też dziwnego, że entomologowie t. j. uczeni badający owady i ich życie, skorzystali z tego

niezwalczonego pociągu ciem i łapią je na światło. Pewien uczony niemiec łapał tym sposobem około 2000 ciem w przeciągu jednej nocy!

— To może i my tyle złowimy?

— Miał on lampę o daleko większej sile świetlnej, przytem wybrał miejscowość bardzo obfitującą w owady, i zapewne dzień jak najodpowiedniejszy. W lipcu zapewne połów jest większy.

— Dotychczas kręci się nam koło lampki sam drobiazg, mnóstwo ciem malutkich, nic nie wartych.

— Ależ małe ćmy przedstawiają dla znawcy dużą wartość!

— Ja wolę duże! okazałe! wielkie!

— Ot! masz i wielką!

— Eh! to brudnica nieparka! choć wielka a obrzydliwa.

— Ot, masz i drugą i trzecią!

— Aż trzy nieparki!

— Co mi po nieparkach — rzekłem — lęgną mi się wciąż w hodowli! a ja nawet na nie nie zwracam uwagi. Ale czy wiesz matuś, że zaobserwowałem jedno ciekawe zjawisko. Gdy hodowla z wylęgniętemi nieparkami stoi na werandzie w dzień, wówczas bardzo często przylatują do niej brązowawe samczyki, kręcą się dokoła hodowli, siadają na niej, a wejść nie mogą. Jakim sposobem one czują samiczki w hodowli? przecież te nie mają żadnego zapachu, którymby wabić mogły?

— My nie odróżniamy zapachu nieparki, kto wie jednak czy samczyk go nie odczuwa.

— Jakie one niemądre — rzekł Staś — poparzyły się najpewniej, a swoją drogą wciąż się zbliżają do latarki.

— A to co? jakaś inna ćma!

— Żagnica mniszka, z różowym odwłoczkiem!

— Sporo ich teraz!

— A ta szara, niewielka ćma, co to za jedna, matusiu?

— Musimy złapać, to zobaczymy.

W jednej chwili nakryłem ćmę aparatem, nawet siatki nie używałem. Mama przyjrzała się ćmie i powiedziała:

— Jestto błyszczka gama, ćma bardzo pospolita, nazwana tak dlatego, że na przednich skrzydłach ma wyraźnie wypisaną grecką literę gamę γ czyli nasze g. Błyszczką zowią ją z powodu ładnego połysku, którym jest obdarzona i zygzaków oraz plamek metalicznie połyskujących na przednich skrzydłach.

— Ach! gosposia! jak się masz! i ty przyleciałaś do światła, ciekawa jesteś czy dobre, czy smaczne! — przemawiał Staś do sporej niedźwiedziówki nożowki, która niespodziewanie zjawiła się na białym ręczniku i trzepotała się na nim razem z nieparkami, mniszką, kilkoma błyszczkami i wielką liczbą olbrzymich komarzyc.

Błyszczka gama.

— Powiedz im już dobranoc, kochanku, czas na ciebie, wkrótce i my podążymy za tobą.

Chcąc niechcąc musiał Staś pójść do pokoju, słyszeliśmy jak się pluskał, bo ktoby chciał pójść do łóżka, nieumywszy się należycie. Zostaliśmy oboje z mamą — ale nic nam nowego nie przybywało, furczały te same ćmy, a jeśli przybywała jaka nowa, to z tych gatunków, które już poprzednio przyleciały. Byłem już śpiący i znudziło mię trochę to długie oczekiwanie, więc miałem już iść spać, gdy mama mię przytrzymała za rękę, wskazując palcem na ucho. Zacząłem i ja się przysłuchiwać i wyraźnie rozróżniłem poblizki furkot. Jakoż wkrótce, warcząc i lecąc linją zygzakowatą wpadła na obrus wielka ćma. W locie wyraźnie widziałem na niej

czerwony kolor. Gdy jednak usiadła, ułożywszy skrzydła dachówkowato, spostrzegłem, że była cała szara w zygzaki.

W jednej chwili znalazła się w moim aparacie. Tu rozprostowała skrzydła i z zachwytem zobaczyłem, że tylne skrzydła miała podwójnie przepasane czerwoną wstęgą.

— Mamusiu, mamusiu — zawołałem — to musi być wstęgówka pąsówka, o której czytałem, że taka śliczna. Ale jakie ona ma delikatne skrzydła tylne!

Wstęgówka pąsówka.

— Nieinaczej, skrzydła te są bardzo kruche, — trudne nawet do rozpięcia, bo się drą o byle co. Jestto ćma pospolita, gąsienice jej żyją na wierzbach i topolach. Lata ona tylko późnym wieczorem, a dzień spędza w szparach lub wprost przytulona do pnia drzewa, na którym trudno ją spostrzedz, bo gdy się otuli przedniemi skrzydłami, kolorem i rysunkiem przypominającemi korę — to jej prawie nie widać.

— Rozumiem doskonale, że zwierzęta ubarwieniem swojem a nawet kształtem starają się naśladować środo-

wisko, w którem żyją, bo wówczas prześladowcy ich trudno je spostrzegą. Jest to więc środek obrony. Pasikoniki żyjące na trawie są zielone. Motyle fruwające z kwiatu na kwiat są jak kwiaty bajecznie kolorowe. Żuki przesiadujące na korze są szare lub brązowe i t. p. Nie wiem tylko, na co wstęgówce, wylatującej późną nocą mogą służyć czerwone wstęgi na tylnych skrzydłach?

— Różnie to sobie objaśniali entomologowie. Ma to jednak prawdopodobnie znaczenie następujące. Przypuśćmy, że wstęgówka śpi sobie w dzień przytulona do pnia. Wtem dzięcioł łażący sobie po pniach spłoszy ją. Zrywa się ona raptownie ze snu, błyśnie mu przed oczami czerwonemi wstęgami, zawarczy i raptem, otuliwszy się w szare przednie skrzydła przytuli się do pnia sąsiedniego. Dzięcioł zgłupiał! całą uwagę wytężył na czerwone przepaski, śledził gdzie lecą, zerwał się za niemi do lotu, a tu raptem! zjawisko znikło! niema nic! Jak niepyszny wraca do swej przerwanej pracy na pniu, sądząc, że chyba coś mu się wydało... na to są potrzebne czerwone wstążki pannie wstęgówce!

Bardzo mię ubawiła powieść o wstęgówce. Jakto w przyrodzie wszystko jest mądrze obmyślane! ale nie! co ja mówię! a baryłkarze, a gąsieniczniki? nie mogliby się urządzić inaczej?

Wkrótce poszedłem spać, a nawet i mama nie chciała już dłużej pozostać na werandzie. Długo jednak zasnąć nie mogłem. Wciąż mi się snuły przed oczami różne obrazki ze świata zwierzęcego, te ciągłe wzajemne gonitwy, to życie spędzone całe prawie na polowaniu i mordowaniu, na tej walce o byt, tak okrutnej i twardej. I pomyślałem sobie, że to chyba zawsze tak będzie. Tylko jeden człowiek, przez swój rozum, dojść może do coraz większego uszlachetnienia; ale zwierzęta pozostaną chyba zawsze takiemi, jakiemi są dzisiaj.

XIV.

Wieczór pod gwiaździstem niebem.

Rozpoczęły się wieczory sierpniowe, ciepłe, gwiaździste, pogodne. Tatuś, który miał wyjechać na kurację do Trenczyna, a stamtąd do Abbazji, przyjechał do nas na pożegnanie przed podróżą. Zabawi u nas dzień cały, do późnej nocy.

Poszliśmy na spacer do lasu i nad Świder, a gdyśmy wracali słońce cudnie zachodziło, rumieniąc białe chmurki na horyzoncie. Gdyśmy dochodzili do domu, dobrze już zmierzchało. Niebo było szare, tylko na zachodzie pociągnięte siwo-różowym pasem.

— Popatrz Adziu — rzekł Staś — dość jeszcze jasno, a oto pokazała się gwiazda na niebie!

— Gdzie — zapytałem — nie widzę żadnej gwiazdy.

— Spójrz! w tym pasie siwo-różowym, nad brzózką w dali, miga się gwiazdeczka.

— A prawda! to zabłyśnie, to zniknie!

— Jestto Venus — rzekł tatuś — zwana także gwiazdą wieczorną, gdyż pierwsza pokazuje się na niebie, albo jutrzenką, bo zobaczyć ją można przed wschodem słońca. Ale słuchajcie chłopcy, poproście mamy, aby pozwoliła wam dziś dłużej posiedzieć wieczorem. Jutro rano odeśpicie zato godziny skradzione bożkowi snu, Morfeuszowi. Wieczory są teraz wprost bajeczne! Niejednej rzeczy można się nauczyć, zwłaszcza, że mam ze sobą doskonałą lunetę, przez którą zobaczyć można ciekawe zjawiska.

Mama nie tylko się zgodziła, ale nawet była bardzo rada temu projektowi.

Zamiast więc pójść spać o zwykłej porze, zabawialiśmy się ze Stasiem w najlepsze w ogrodzie.

Gwiazd była taka moc na niebie, że było ono pokryte niemi jak sito dziureczkami. Światełka te były

miejscami drobne i zlewały się prawie pomiędzy sobą; gdzieniegdzie było ich mniej. To tu, to tam błyszczały gwiazdy znacznie większe, o blasku daleko silniejszym. Niebo było bez chmurki, ale dość ciemne. Ojciec tłomaczył nam, że to z tego powodu, iż księżyc nie był w pełni.

— Księżyc w pełni – mówił ojciec — rozświetla niebo, jak wielka latarnia. Dlatego to podczas jasnych nocy księżycowych niebo jest jasne. Ale przy tym blasku gwiazdy bledną i nie widać ich tak dobrze. Dzisiej-

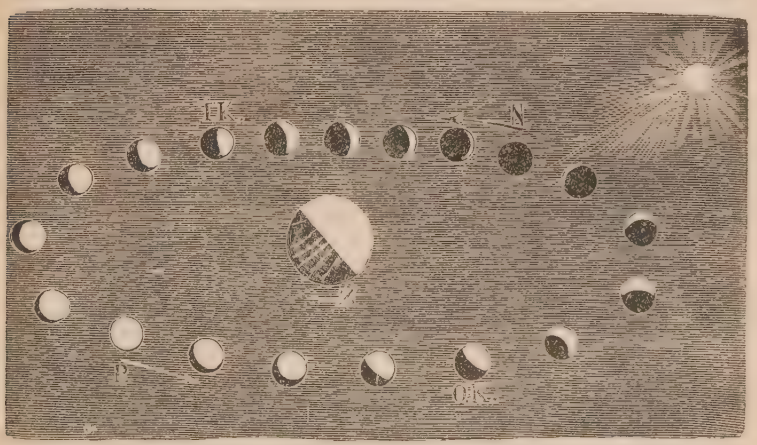

Obieg księżyca naokoło ziemi i jego odmiany.

sza noc nie jest najjaśniejszą, gdyż księżyc pokazuje nam ledwo połowę swej tarczy.

— Mój tatusiu — rzekłem — chciałbym bardzo wiedzieć, dlaczego księżyc jaśnieje raz w pełnym majestacie, drugi raz pokazuje tylko swój brzeżek lub połowę, a kiedyindziej nie zjawia się wcale na niebie, choć chmur niema, które mogłyby go zasłaniać.

— Wiesz zapewne o tem, że księżyc jest kulą daleko mniejszą od ziemi, i że krąży dokoła ziemi. Co miesiąc obiega ziemię, dlatego lud zowie go miesiącem. Otóż

podczas tego obrotu bywa rozmaicie zwrócony do ziemi i słońca. Jeśli stoi między ziemią i słońcem, wówczas zwrócony jest do nas swoją ciemną stroną. Nie widzimy go, bo on sam przez się nie świeci. Noce są wtedy ciemne, bezksiężycowe i mówimy, że księżyc jest na nowiu. Powoli jednak wychodzi z tego położenia, wówczas widzimy cały jego bok oświetlony przez słońce, w postaci sierpa. Z czasem sierp się zwiększa, gdyż coraz większą część księżyca widzimy oświetloną na niebie. Wreszcie, księżyc okazuje nam całą swoją okrągłą tarczę oświetloną na niebie przez słońce, czyli, że jest w pełni. Ziemia znajduje się wówczas pośrodku, między księżycem a słońcem. Obiegając drogę powrotną, księżyc będzie pokazywał nam coraz to mniejszą część swej powierzchni. Wreszcie wejdzie znowu w stan nowiu. Obieg taki trwa cały miesiąc księżycowy czyli cztery tygodnie.

— I powtarza się to ciągle i ciągle, bez końca?

— Nieinaczej.

— A ja tatusiu, nie pojmuję jednej rzeczy, mianowicie, jak księżyc może oświetlać ziemię, gdy jest w pełni, skoro sam nie świeci? Skądże ten blask się bierze?

— Księżyc jest kulą zupełnie wystygłą i blasku przez to mieć nie może sam przez się. Ale oświetla go słońce i tym sposobem rozjaśnia jego tarczę. Wiesz przecież, że lampa oświetla wnętrze pokoju i twarze ludzkie, które dlatego z daleka widać przy świetle. Tak samo księżyc staje się jasny od światła słonecznego, i tę jasną jego twarz widzimy w nocy.

— Więc to nie jest jego własne światło, tylko światło słońca, które jaśnieje na księżycu.

— Naturalnie! a skądżeby księżyc wziął własne światło, kiedy jest kulą wystygłą i martwą.

— Dlaczego martwą? a może są tam jakieś istoty żyjące?

— Prawdopodobnie że nie, gdyż, jak wykazały badania astronomów, na księżycu niema ani wody, ani powietrza, które, jak wiadomo, są niezbędne do życia, a przynajmniej do takiego życia, jakie jest na ziemi.

— W takim razie, niema tam także roślin?

— Nic żywego! przerażająca pustka! gdyby jakimś cudem człowiek mógł się tam dostać, to nie słyszałby własnego głosu.

— A to znów dlaczego?

— Głos potrzebuje powietrza, aby się rozprzestrzeniać i dojść do naszego ucha. Bez powietrza żaden szmer, żaden dźwięk, a nawet żaden najpiekielniejszy huk nie przeniknie do nas. To też na księżycu musi być uroczysta, niczem niezamącona cisza! A widok na niebo jaki niezwykły! choćby słońce nie wiem jak świeciło, nie rozświetli ciemnoszafirowego nieba usianego gwiazdami, które rozpościera się dokoła księżyca.

— Niebo jest ciemne i zawsze gwiaździste?

— Nieinaczej kochanku! dla nas niebo jest w dzień jasne, bo otacza je powietrze barwy niebieskawej, przesiąknięte drobniutkiemi kropelkami pary wodnej, i białe, jak muślin przejrzyste chmury, które słońce cudownie oświetla. Słońce kładzie tyle blasków na to wszystko, że gwiazdy wobec tej jasności bledną i zda się przepadają na rozpromienionem niebie. Na księżycu zaś niema powietrza, niema chmur, bo i skądby się wzięły, skoro niema wody. Słońce próżni nie rozświetli; to też przestrzeń otaczająca księżyc jest ciemna i widać na niej zawsze gwiazdy, występujące wyraźnie na ciemnem tle nieba. Taki to widok jest z księżyca.

— Jabym się bał pozostać tam chwilki!—rzekł Staś.

— Oho! i ja wolę naszą ziemię — rzekłem — naszą ziemię z powietrzem, wodą, chmurami, jasnem niebem, roślinami i zwierzętami.

— Nie pytacie się jednak chłopcy jak wygląda sam księżyc?

— Martwa kula kamienna!

— Najlepiej będzie przekonać się o jego wyglądzie za pomocą lunety, gdyż obraz przez nią widziany jest daleko dokładniejszy niż oglądany gołem okiem.

Widok księżyca.

Mówiąc to tatuś dostał lunetę z pudełka. Instrument ten składał się z czterech rur wchodzących jedna w drugą. Tatuś je rozciągnął tak, że utworzyła się z nich jedna długa rura. Na obu końcach rury były wprawione szkła. Tatuś przymocował lunetę na trójnogu specjalnie do tego zastosowanym, obrócił rurę w stronę księżyca i po chwili oglądaliśmy go przez lunetę.

Gołem już okiem widać, że na księżycu są cienie jakieś i jasne plamy. Przez lunetę widać to wszystko daleko lepiej. Te jasne plamy to są oświetlone kratery wulkanów, których jest moc wielka na powierzchni księżyca. Największy taki krater zowie się kraterem Kopernika i jest tak duży, że ma dwanaście mil w średnicy. Przez lunetę widzieliśmy go jako jasny punkt, od którego rozchodziły się promie-

nie. Na północo-wschód od niego ciągnie się łańcuch górski, zwany Apeninami. Tatuś mówi, że są tam także Alpy, a cała ta przestrzeń oświetlona i promienista to wszystko są kratery, któremi powierzchnia księżyca jest usiana.

Ogromnie byliśmy radzi, że zobaczyliśmy krater, czy jak inni mówią górę pierścieniową Kopernika i Apeniny na księżycu. Ale tatuś nie zakończył na tem rozmowy astronomicznej.

— Dowiedzieliście się więc trochę o tem, czem jest księżyc. Ciekawsze może są jeszcze wiadomości o słońcu.

— Eh! o słońcu, to ja wiem, że to olbrzymia kula ognista — rzekł Staś — która nam świeci i nas ogrzewa. I cóż więcej można o niem wiedzieć?

— A jego wielkość — spytał tatuś.

— Wielkie rzeczy! powiem tatusiowi, że słońce jest trochę większe od księżyca, ale niebardzo.

— Skądże tak sądzisz?

— Przecież to widać odrazu! wcale nawet nie trudno porównać słońce do księżyca! gołem okiem można osądzić, że słońce nie bardzo jest większe od księżyca, a może nawet wcale nie większe!

— Koń widziany z daleka, niewiększy jest od mrówki widzianej z blizka. Księżyc, kochanku, nie jest bardzo daleko od ziemi, bo tylko o 52000 mil, a słońce jest 400 razy dalej. Dlatego to, księżyc choć mniejszy od naszej ziemi, wydaje się stosunkowo duży. Od słońca dzieli nas przestrzeń niewymownie duża, trudna do wyobrażenia, bo 20 miljonów mil. Pomyślcie więc sobie, jaka wielka musi być kula słoneczna, skoro przedstawia się nam z takiej ogromnej odległości tak dużą jak księżyc. Ziemia jest ziarnkiem w porównaniu ze słońcem i dlatego może krążyć dokoła słońca. Na niebie zawsze mniejsza kula krąży dokoła większej. W tem tylko masz rację, Stasiu, gdy twierdzisz, że słońce to kula pło-

nąca. Inaczej nie mogłaby nam tak przyświecać i tak nas ogrzewać.

— Tatusiu — zawołałem — a czy są jakieś plamy na słońcu? bo niektórzy mówią: znalazł plamę na słońcu, o kimś, co w najlepszych rzeczach dopatruje się czegoś złego.

— Są plamy na słońcu. Ale plamy te zmieniają swoje kształty. Astronomowie przypuszczają, że powstają one wskutek rozstąpienia się gazów świecących. Są to zatem przepaście głębokie i wielkie, a w niejedną z nich cała ziemia nasza mogłaby wpaść i zniknąć bez śladu.

— Dobrze tatusiu, ale jakim sposobem astronomowie mogli poodkrywać te rzeczy, skoro żaden człowiek nie może spojrzeć na słońce, tak dalece jego blask oślepia?

— A od czego są czarne okulary? Nawet na księżyc w pełni trudno jest spojrzeć bez ciemnych szkieł, gdy się patrzy przez teleskop, to jest lunetę daleko większą i doskonalszą od naszej.

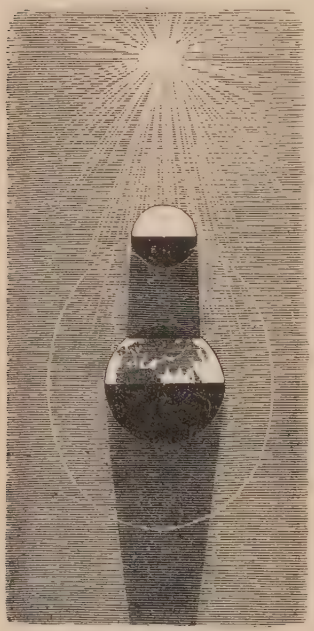

Zaćmienie słońca.

— Tatku drogi — rzekłem — jeśli to prawda, że księżyc okrąża ziemię, a ziemia znów słońce, to w tej wędrówce może się przecież zdarzyć, że księżyc, bliżej nas będący, zasłoni nam słońce, gdyż przebiegać będzie pomiędzy nami a słońcem.

— Naturalnie, że to bywa! wówczas mamy zaćmienie słońca. Księżyc przechodząc zasłania nam słońce, zrazu jeden jego brzeg, potem więcej, wresz-

cie całą jego tarczę, a potem pędząc dalej w swej wędrówce odsłaniać nam będzie słońce coraz bardziej z innej strony, aż zejdzie z niego zupełnie i pobieży dalej swoją drogą. To też gdy zaćmienie jest zupełne, wówczas księżyc zasłania całą tarczę słońca, a dokoła występuje tylko aureola świetlna, rozrzucająca blaski. Jestto widowisko wspaniałe, a tak niezwykłe, że przejmuje strachem ludzi i zwierzęta.

— Tak! — zawołał Staś — a ja zrozumiałem z tego co tatuś mówił o nowiu, że gdy księżyc znajduje się między słońcem a ziemią, to odwróci się ciemną stroną do nas i będzie nów.

— Zapewne — odrzekł tatuś — zaćmienia słońca spodziewać się w nocy nie sposób! tylko nów może być. Ale widzisz Stasiu, powiem ci bez żartów, że do zaćmienia słońca trzeba jednego ważnego warunku, trzeba mianowicie, żeby słońce, księżyc i ziemia znajdowały się na jednej linji prostej.

— Tatusiu — zapytałem — czy gwiazdy obracają się także, tak jak ziemia dokoła słońca?

— Dokoła słońca krążą prócz ziemi inne jeszcze planety, ale nie gwiazdy. Gwiazdy to zupełnie co innego, jak zobaczycie później. Planety zaś są to wygasłe kule, tak jak ziemia, nie mające swego blasku, a świecące tylko przez to, że słońce rzuca na nie swe promienie. Planet takich z ziemią jest ośm. Najmniejsza, zwana Merkurym krąży najbliżej słońca.

— Oho! — rzekł Staś — to nikt jej pewnie nie widział!

— A to dlaczego? — zapytałem.

— Dlatego, że skoro leży tak blisko słońca, to nikt jej nie zobaczy w dzień — a w nocy jej niema, bo chowa się ze słońcem.

— Mylisz się Stasiu — rzekł tatuś — Merkurego można zobaczyć przed wschodem słońca, albo po jego

zachodzie. Oczywiście nie jest to rzecz łatwa i Kopernik szukał go daremnie, i ani razu przez całe życie nie zobaczył. Wprawdzie nie miał szkieł takich jak dzisiejsi uczeni. Po Merkurym idzie Wenus, zwana Jutrzenką, Gwiazdą poranną lub Gwiazdą wieczorną. Przedstawia się nam ona jako piękna gwiazda: widzieliście ją właśnie dziś wieczorem. Teraz niema jej już na niebie, bo powędrowała za słońcem. Podobnie jak Merkury jest ona widoczna albo po zachodzie, albo przed wschodem. Ale, że znacznie jest dalej położona od słońca niż Merkury, więc zobaczyć ją łatwiej. Śliczną pieśń do gwiazdy wieczornej napisał Wagner w swoim Tannhauserze.

— Znamy ją dobrze! — zawołałem, mama lubi ją śpiewać:

Gwiazdo coś błysła w mrocznem tle!
Znów rozrzewniony witam cię!

— Ślicznie! — zawołał wesoło tatuś — astronomję ilustrujecie mi muzyką! wracajmy jednak do naszych gwiazd. Po Wenus następuje Mars, który prześlicznie dziś świeci na firmamencie i którego obejrzymy zaraz przez lunetę.

Mars.

Tatuś nastawił lunetę w stronę wschodnią nieba, blizko horozyntu i pokazał nam Marsa. Przedstawiał się on jako spory krążek, błyszczący światłem czerwonawym. Później patrzyliśmy na niego gołem okiem i również zwróciło naszą uwagę jego światło silnie czerwonawe.

— Przez dobry teleskop widać wiele ciekawych rzeczy na tej planecie.

Jestto ciało niebieskie najbardziej podobne do ziemi. Ma tam być powietrze i woda, astronomowie dopatrują się pór roku. Są tam lądy, pustynie, powietrze, chmury, dość, że istnieją warunki do rozwoju życia. Kto wie, czy niema tam istot podobnych do nas, a może od nas doskonalszych. W ostatnich czasach astronomowie doszli do przekonania, że choć Mars jest planetą podobną do ziemi, ale daleko bardziej od niej wystygłą. Jestto świat, który znacznie dawniej powstał od naszego. Jest stary, zimny, wyschnięty. Woda, która w obfitości istniała na jego powierzchni, tak, jak obecnie na naszej ziemi, w znacznej mierze ulotniła się. Powietrze zrzedło, gdyż w bezustannej wędrówce dokoła słońca, atmosfera planet powoli się rozprasza. To też powietrze jest tam prawdopodobnie tak rozrzedzone jak na naszych wysokich górach, wody jest bardzo mało, — zato pustynie pokrywają znaczną powierzchnię tego globu, i one to zapewne nadają mu ten blask czerwonawy, który odrazu zwrócił waszą uwagę. Niema tam gór. Mars jest jedną wielką płaszczyzną. Dowodzi to jego wieku. Wszak i na ziemi góry powoli się ścierają, skutkiem deszczu, burz i wiatrów. Rzeki zaś powoli nanoszą piasek, muł, żwir i kamienie na dno mórz i w głąb dolin, skutkiem czego zagłębienia w skorupie ziemskiej powoli się podnoszą. W Marsie wyrównanie powierzchni dawno się już dokonało: góry zniknęły, zniknęły też i wielkie głębie. Powierzchnia jego jest płaska, rozpaczliwie płaska!

— Jestto planeta niezmiernie ciekawa — ciągnął po chwili tatuś — i rad jestem, żeście ją widzieli choć przez lunetę, tembardziej, że najprawdopodobniej naszą ziemię czekają te same przemiany, które zaszły na Marsie. Tylko się nie obawiajcie! miljonów lat na to trzeba, żeby ziemia stała się taką babcią, jakim dziadkiem jest Mars. Dokoła Marsa krążą dwa księżyce.

— Dwa księżyce! a to co znowu! po co aż dwa? — wołał Staś.

— Mars ma dwa, a następująca po nim planeta Jowisz ma ich aż 8, z pomiędzy których jeden jest tak wielki jak Merkury, a drugi jak Mars. Sam Jowisz jest olbrzymem 1300 razy większym od ziemi. Jestto największa z planet. Obieg Jowisza dokoła słońca trwa prawie 12 lat, bo daleko leży od niego, i dlatego w swej wędrówce zakreśla wielkie bardzo koło. Powierzchnia jego jest porysowana w smugi równoległe do równika.

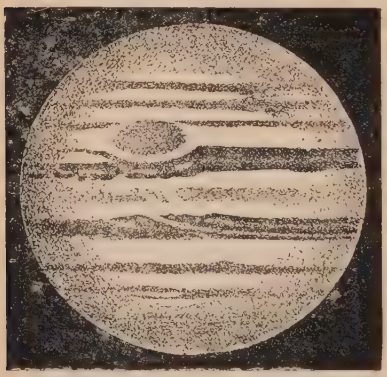

Jowisz.

— Daleko, daleko za Jowiszem — ciągnął dalej tatuś — bieży Saturn, planeta niezmiernie ciekawa, bo otoczona pierścieniem. Astronomowie twierdzą, że pierścień ten składa się z kilku pierścieni położonych jeden przy drugim. Saturn jest 710 razy większy od ziemi, a wędrówka jego dokoła słońca trwa około 30 lat. Szkoda, że dzisiaj nie widać go jeszcze na niebie, bo wcale nieźle obejrzeć go można przez lunetę. W początkach września, gdy będzie ciemna noc gwiaździsta, Saturn pokaże się koło 9 ej na horyzoncie. Poproście mamę aby wam wtedy nastawiła lunetę i pokazała tę ciekawą planetę, bo mnie tu wówczas nie będzie. Wyobraźcie sobie, że Saturn, prócz pierścienia, który, jak przypuszczają uczeni, składa się z mnóstwa małych cząsteczek, ma jeszcze aż 8 dużych księżyców.

— Cudny to musi być widok — rzekłem — gdy tak na niebie zaświeci aż 8 księżyców! chciałbym tam być i zobaczyć to dziwo!

— Co do mnie, to nie bardzo chciałbym się tam znaleźć, ale tem mniej na dwóch ostatnich planetach Uranie i Neptunie, straszliwie daleko położonych od słońca. Wszystkie te 8 planet, razem z naszą ziemią, krążą dokoła słońca, które stoi w środku nich i rozsyła im swe blaski. Słońce może nad niemi królować, gdyż jest 700 razy większe od swych wszystkich planet razem wziętych!

— Więc planet jest tylko 8 - rzekłem— a te wszystkie gwiazdy, których tyle, tyle, świeci na niebie, że ich zliczyć nie można? co one robią? czy nie krążą wraz z ziemią dokoła słońca?

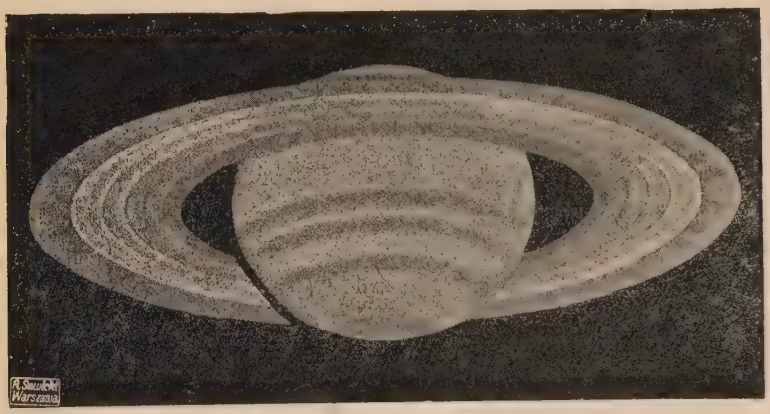

Saturn.

— Bynajmniej! są to oddzielne olbrzymie światy, samoświecące, tak wielkie jak nasze słońce, a może i większe od niego!

— Ależ są malutkie! i nie dają nam ani światła ani ciepła jak słońce.

— Bo znajdują się straszliwie daleko od nas! do słońca od nas jest 20 miljonów mil, a do najbliższej gwiazdy jest 225000 razy więcej! Światło, które bieży z szybkością 42000 mil na sekundę, potrzebuje tylko

8 minut z sekundami, żeby przebiedz przestrzeń dzielącą nas od słońca; od najbliższej zaś gwiazdy promień świetlny odbywa wędrówkę przez 3 i pół lat, zanim dojdzie do naszej ziemi. Światło gwiazdy Syrjusza potrzebuje 17 lat aby dojść do nas; światło Wegi 18 lat, światło Gwiazdy polarnej 60 lat. Ale! ale! — zawołał tatuś — dziś możecie zobaczyć Węgę i Gwiazdę polarną. Chodźcie chłopcy na miejsce bardziej otwarte, bo tu drzewa zasłaniają niebo.

Wielka Niedźwiedzica (niżej) i Mała Niedźwiedzica (wyżej).

Wyszliśmy z tatusiem z ogrodu na polankę, gdzie drzewa nie zasłaniały nieba. Tam pokazał nam tatuś zbiór siedmiu gwiazd, zwanych Wielką Niedźwiedzicą lub Wozem.

— Gwiazdozbiór ten zowią Wozem, że niby ma koła i dyszel złożony z trzech gwiazd. Przypatrzcie się dobrze gwieździe środkowej dyszla i powiedzcie co zobaczycie.

— Tatusiu - zawołałem — widzę wyraźnie nad tą gwiazdą, drugą, małą gwiazdeczkę.

— Brawo chłopcze! tak jest istotnie, ale nie każdy ma wzrok tak daleki, żeby ją dojrzał, to też służyła ona dawniej za probierz przy poznawaniu bystrości wzroku.

— Ty Stasiu, nie widzisz jej, nieprawdaż? Zaczekaj, nastawię lunetę, abyś mógł jej się przyjrzeć.

Po chwili Staś oglądał gwiazdkę w dyszlu wozu, czy też w ogonie niedźwiedzicy, nad którą błyszczała druga, niewielka gwiazdeczka. Przez lunetę widać było wyraźnie obie gwiazdy, a odległość między niemi była spora.

— A teraz — ciągnął dalej tatuś — przyjrzyjcie się przez lunetę samej gwieździe środkowej. Czy nie zauważycie w niej coś szczególnego?

— Widzę, tuż, tuż przy niej, na lewo, drugą, mniejszą od niej gwiazdę; ale nawet przez lunetę trudno jest je rozpoznać, tak się ze sobą zlewają.

— Otóż to — rzekł tatuś—jestto gwiazda podwójna. Obie gwiazdy wirują jedna dokoła drugiej. A ty Stasiu, czy widzisz je obie dobrze?

— Przez lunetę widzę doskonale.

— Gwiazd podwójnych nikt gołem okiem nie rozezna. Koniecznie szkieł do tego trzeba. Wielka Niedźwiedzica czyli Wóz jest bardzo łatwą do zapamiętania, a kto się jej raz dobrze przyjrzał, nie zapomni jej tak łatwo.

Wielka Niedźwiedzica, Smok, Mała Niedźwiedzica, Cefeusz i Kasjopea.

Otóż teraz, skoro dobrze wiemy gdzie jest Wóz, postaramy się poszukać Gwiazdę Biegunową. W tym celu przez tylne gwiazdy Wozu przeprowadźcie sobie linję prostą w górę, na prawo. Natraficie na Gwiazdę Biegunową, od której światło bieży do nas przez lat 60. A zatem gdyby dziś zagasła, toby ludzie oglądali ją na

firmamencie jeszcze przez lat 60. Tu zaś na prawo od gwiazdy polarnej czyli biegunowej, zwanej tak dlatego, że świeci prostopadle nad biegunem północnym ziemi, jest gwiazdozbiór Kasjopei, złożony z 5 gwiazd, ułożonych w kształcie litery **W**. Poniżej lśni się gwiazdozbiór Perseusza, w którym widzimy nieraz gwiazdy zwane spadającemi.

Od Perseusza ciągną się cztery wielkie gwiazdy, w dużych od siebie odstępach: to Andromeda. Ta wielka, błyszcząca gwiazda, tuż nad naszemi głowami to Wega, ta zaś, pomiędzy ramionami drogi mlecznej, to Łabędź, od którego promień bieży do nas tylko 9 i pół lat.

Droga Mleczna na obu półkulach (północnej na lewym rysunku i południowej — na prawym) sklepienia niebieskiego.

— Te jasne smugi na niebie, to droga mleczna, tatusiu? — zapytałem — czy to takie chmury?

— Chmury zmieniają swoje położenie, a czasem wcale ich niema. Mlecznej drogi nikt i nic zmienić nie może. Jestto tak wielkie zbiorowisko gwiazd, tak znaczne ich skupienie, że biljony, miljardy gwiazd składają się na tę mleczną smugę. Są to może olbrzymie słońca, ale tak od nas odległe, tak bezbrzeżnie dalekie, że zlewają się dla naszego oka w postać jakby świecących obłoków. Stąd, od nas, wyglądają jak maleństwa nic nie znaczące! W istocie zaś są nietylko tak wielkie jak

słońca, lecz wcale nie leżą tak blizko siebie, jakby się to od nas wydawać mogło. Skoro się jednak wie, że światło od tych gwiazd potrzebuje tysięcy lat zanim przybieży do nas, wówczas zrozumieć można dopiero, co to za straszna przestrzeń, co za otchłań bezdenna dzieli je od nas. Są tam światy, zaginione może od kilku tysięcy lat, a dla nas zawsze widoczne, gdyż ostatnie promienie, które wysłały przed zagładą, nie zdążyły jeszcze przelecieć do nas!

— Dodać jeszcze muszę — ciągnął dalej tatuś — że

Kometa z r. 1811.

wszystkie gwiazdy, o których wam dziś mówiłem, są olbrzymiemi kulami, dokoła których, jak dokoła naszego słońca, krążą inne, mniejsze światy. To też nasze słońce, ze swojemi 8 planetami jest jednym tylko ogniwem w olbrzymim łańcuchu słońc innych i innych systemów słonecznych, które zapełniają wszechświat.

Gdy to sobie przedstawimy, wówczas dopiero zrozumiemy, że jesteśmy pyłkiem, okruszyną, drobiazgiem. Pomyślcie bowiem, co za moc jest tych słońc i tych gwiazd we wszechświecie! liczą je na setki miljonów!

tam gdzie gołem okiem widzimy jedną gwiazdę, tam, przez teleskop zobaczymy ich gromadę. A już na mlecznej drodze, nikt gwiazd nie zliczy, nawet za pomocą teleskopu, który na maleńkim jej skrawku pokazuje tysiące gwiazd. Ale czas wam już spać, chłopcy, chodźmy do domu.

— Tatusiu! tatusiu! — zawołaliśmy ze Stasiem — jeszcze troszeczkę, jeszcze chwilkę! to takie zajmujące!

— Czy nie macie już dość tego?

— Jabym chciał wiedzieć jeszcze — powiedziałem — co to są komety?

— Ciekawe zadałeś mi pytanie! Są to także ciała niebieskie, krążące dokoła słońca, tylko, że droga ich nie jest kolista, a owalna. Raz zbliżają się one do nas i do słońca, a potem oddalają się, i nie widać ich przez czas bardzo długi. Niektóre pojawiają się na naszym horyzoncie co lat kilka, inne potrzebują daleko więcej czasu. Naprzykład wspaniała kometa, która pojawiła się u nas w 1811 roku, aby, jak mówią niektórzy, obwieścić wojnę i upadek Napoleona, potrzebuje blizko 3000 lat, aby do nas powrócić i zjawi się dopiero w 4880 roku na naszym firmamencie.

— Nigdy nie widziałem komety — rzekłem — ale czytałem, że są odmienne od gwiazd, gdyż mają jakieś warkocze. Co to są te warkocze komet?

— Komety składają się z jądra czyli głowy i długiego, świetlnego warkocza, który zjawia się zwykle, gdy kometa zbliży się do słońca. Warkocz, czyli ogon, ciągnie się w postaci łuku świetlnego. Czasem rozwidla się w kształcie wachlarza. Komety bywają olbrzymie: są to w ogóle największe ciała niebieskie. Wyliczono, że niektóre mają głowę większą od słońca, a warkocz ich ciągnie się więcej niż na 20 miljonów mil, to jest więcej, niż na tę odległość, która dzieli nas od słońca. Cóż jednak z tego, że przestrzeń zajmują tak wielką, skoro

masa ich nie jest gęsta. Ktoś powiedział, że gdyby kometę ścisnąć, to zmieściłaby się w łupinie orzecha! Jest to naturalnie krotochwila, ale tkwi w niej jądro prawdy.

— Tatusiu! Adasiu! — zawołał raptem Staś — patrzcie, co za przepyszna gwiazda spadająca!

— Ach! jaka cudowna! jaki ogon świetlny zostawiła za sobą! co za fajerwerk! jak rakieta spadająca!

— Spadła z okolic Perseusza — rzekł tatuś — skąd zwykle spadają o tej porze. Ale ta była wielka i dała nam przepyszne widowisko. Takie wielkie gwiazdy spadające zowiemy bolidami. W sierpniu spada bardzo wiele mniejszych gwiazd i gdybyście mieli cierpliwość obserwować część nieba koło Perseusza i Andromedy, zobaczylibyście ich na pewno sporą ilość.

— Dlaczego tatusiu spadają gwiazdy, i gdzie one spadają? wszak spadając mogłyby zrządzić niemałe szkody na ziemi?

— Nieinaczej chłopcze. Te gwiazdki spadające są poprostu malutkiemi ciałami niebieskiemi, których moc niesłychana krąży we wszechświecie. Gdy się zbliżą do ziemi, wówczas ulegają jej przyciąganiu i spadają: mniejsze spalają się do szczętu zetknąwszy się z naszą atmosferą, większe spadają w postaci kamieni meteorycznych. Zdarza się, że meteoryt taki porani, pozabija ludzi, rozbije dom, — ale większość szkody nam nie czyni. Czasem zjawia się ich takie mnóstwo, iż tworzą prawdziwy deszcz gwiaździsty. Zwłaszcza w sierpniu od 10—20 i noc 13 listopada wyróżniają się od innych wielką ilością gwiazd spadających. Astronomowie przypuszczają, że komety, składające się z delikatnej materji, ulegają w swej wędrówce rozsypywaniu i zostawiają na swej drodze całe roje tych małych ciałek niebieskich. Zaścielają one drogę, którą bieży kometa. Otóż ziemia, w biegu swoim przerzyna od czasu do czasu

drogę komet i wówczas styka się z temi rojami drobnych gwiazdeczek. Roztrąca je po drodze! stąd powstaje deszcz gwiaździsty.

Pewnej nocy listopadowej—ciągnął po chwili tatuś—w 1872 r. obserwowano niebywały deszcz gwiaździsty! tysiące gwiazd spadało, dając wspaniałe widowisko! zwłaszcza w krajach południowych widok był przepyszny. W Rzymie naliczono 14000 gwiazd spadłych w przeciągu trzech i pół godzin. Ziemia spotkała się wówczas z taką chmarą meteorytów, że 10 godzin bez przerwy trwał ich deszcz, czyli, że tyle czasu potrzebowała nasza kula ziemska, aby się przedrzeć przez to morze pyłków.

— Boże, mój Boże! jakież to wszystko ciekawe!

— Tembardziej ciekawe, że tak odległe, tak tajemnicze, tak na pozór niedostępne! Ależ cóż chcecie, rozum jest siłą! za jego pomocą przenikamy w dziedziny, zda się, nie do przeniknięcia, rozwiązujemy tajemnice, odgadujemy zagadki, odkrywamy sekrety, wdzieramy się w mroki przeszłości.

A teraz chłopcy, pożegnamy się, gdyż za godzin parę wyjeżdżam, a wam pora spać! Jeśli was astronomja, czyli nauka o gwiazdach, zaciekawiła, to spójrzcie sobie wieczorem na Marsa, przyglądajcie się martwemu księżycowi pokrytemu kraterami, podziwiajcie piękność błyszczącej Wegi, majestat Wozu, migotliwość Gwiazdy biegunowej, kołyszącej się nad biegunem ziemskim, ale z takiej wysokości, że 60-iu lat potrzeba, aby światło jej przywędrowało na ten biegun. Przedewszystkiem zaś postarajcie się obejrzyć Saturna, gdy zjawi się wieczorem na niebie, co niedługo nastąpi. A teraz do łóżka! spać!

Podziękowaliśmy serdecznie ojcu za tyle ciekawych opowiadań, pożegnaliśmy się i wkrótce leżeliśmy w łóżkach. Sen jednak nie przychodził do mnie. Rozmyślałem o tych gwiazdach niezmiernie odległych, o kome-

tach, o spadających meteorytach, o drodze mlecznej, o księżycu i planetach. Marzyłem o jakiejś niezwykłej i niemożliwej podróży po wszechświecie, w której przerzucałbym się z jednego ciała niebieskiego na drugie, gnany szybkością większą od prędkości światła, gdziebym mógł zajrzeć na gorejące słońce, na martwy księżyc, na migotliwe gwiazdeczki. Śród tych marzeń zasnąłem. Ale podróż po wszechświecie śniła mi się dalej.

Zbudziłem się raniutko, będąc pewnym, że spoczywam na pierścieniu Saturna! Głos mamy przywołał mię do rzeczywistości. Matuś mówiła mi, że spałem niespokojnie i dużo rozmawiałem przez sen.

XV.

Wycieczka do Aleksandrowa. Zbójnicka góra. Jemioła. Kraska. Wrzosowisko. Torfowisko. Bagno. Mchy. Rosiczka. Paprocie. Sarny.

Mama postanowiła zrobić z nami przed wyjazdem jedną jeszcze wycieczkę. Jesteśmy bowiem w końcu sierpnia, jesień się zbliża, a w początkach września musimy już być w Warszawie. Smutno mi, gdy o tem pomyślę, bo tak dobrze na świeżem powietrzu i na swobodzie, że lepiej być nie może. Jabym chciał zawsze mieszkać na wsi i marzę o tem, że gdy dorosnę, to osiedlę się na stałe tutaj i będę gospodarował. Jak ja lubię przyrodę! znajduję tyle przyjemności w poznawaniu jej, w odkrywaniu jej piękności. Lubię wszystkie jej przeobrażenia, lubię ją, gdy na wiosnę budzi się ze snu zimowego, lubię śród lata, gdy jest bogatą w kwiaty i opływa w zieleń, lubię na jesieni, gdy powoli zamiera, lubię ją wreszcie zimą, gdy śpi utulona ciepłym futrem śniegu. Zawsze jest piękna i zawsze ją kocham!

Kocham słońce, które tak pyszne światło rozlewa po wszystkich cudach świata. Napawam się powietrzem, wonnem powietrzem pól i lasów. Wsłuchuję się w szmer łanu, w gwarę boru, świergot ptaków. Kąpię się w blaskach i woniach i tak się czuję szczęśliwy na łonie przyrody, że zapowiedź powrotu do miasta zdaje mi się przykrym dysonansem. A jednak to nastąpi niezadługo.

Za cel ostatniej większej wycieczki przed odjazdem wybraliśmy Aleksandrów, gdzie są torfowiska, ciekawe do zwiedzenia.

Wyjechaliśmy bryczką raniutko. Tym razem jechał z nami stary Gołąb. Jest to człek wickowy, ale rzeźki i roztropny, oczy jego, gdy coś opowiadał, rozbłyskiwały od czasu do czasu takim sprytem, taką chytrością, że cała poorana twarz rozjaśniała się i młodniała w jednej chwili.

Jechaliśmy przez las. Bryczka, choć resorowa, podskakiwała od czasu do czasu na korzeniach drzew, które bez żadnego względu puszczały swe korzenie wszerz drogi. Jakże miło jest jechać przez las! Zapach żywicy roznosi się dokoła, upał nie dokucza w cieniu drzew, ptactwo pierzcha przed nami, a gałęzie najeżone igłami, biją nas po głowach, tak, że musimy się schylać, aby uniknąć podrapania.

Wjechaliśmy na wielką polanę; gdzieniegdzie wznosiły się białopienne brzózki, cała zaś zasłana była przepysznemi fijoletowemi i puszystemi wrzosami w pełnym rozkwicie. Jak urocza była ta polana w lesie, ubrana kwitnącemi wrzosami! A słońce oświetlało ją tak łagodnem, miłem oku światłem jesiennem, tak się pięknie łączyły delikatne fijolety wrzosów z zielenią otaczającego lasu, że kazaliśmy zatrzymać bryczkę, aby módz do syta napawać się pięknością wrzosowiska.

Wyskoczyłem z bryczki i pobiegłem rwać wrzosy. Mają one łodygi zdrzewniałe ale kruche, łatwo się łamią-

ce. Listeczki są szorstkie, drobniutkie — a kwiaty maleńkie, dzwoneczkowate, liljowe, zebrane w grona. Znalazłem jednak krzaczek o białych kwiatuszkach, które są daleko rzadsze. Zebrałem olbrzymi bukiet i ofiarowałem go mamie. Mama lubi baidzo wrzosy, nawet ich suchy, miodowy zapach jest jej miły. Bukiet wrzosu może nie wiem jak długo leżeć bez wody i nie zmienia

Wrzosowisko.

się pozornie wcale: kwiaty pozostają liljowe, listeczki zielone, nawet wówczas, gdy sama roślina najzupełniej już zeschła. Wrzos może widocznie znosić długotrwałą suszę i wybredny nie jest. Lubi jednak słońce, jak to widać tutaj na tym wrzosowisku, tak ślicznie kwitnącym, a oblanym potokami światła i ciepła.

Biegaliśmy ze Stasiem dość długo po wrzosowisku, za owadami, ale motyli niewiele latało nad niem, zato

Wrzos.

pszczół moc wielka. Przylatują one tutaj na miodek, a wrzosom zapewne są pomocne przy zapylaniu.

Wreszcie wskoczyliśmy do bryczki i pomknęliśmy dalej. Droga przez las była miejscami tak piaszczysta, że konie szły noga za nogą. Korzystałem wówczas ze sposobności: jednym susem zeskakiwałem z bryczki i szedłem piechotą przez las. Grzybów było sporo — alem ich nie zbierał. Jeśli podniosę, to chyba prawdziwka!

Gdym tak szedł przez las, poprzedzając bryczkę, mignęła mi skrzydłami niebieskiemi kraska, jeden z najpiękniejszych naszych ptaków, o sporym dziobie cokolwiek haczykowatym i prześlicznym szafirowo-zielonkawem upierzeniu głowy, szyi i brzucha. Stary Gołąb zaczął opowiadać do jakiego stopnia kraska jest szkodliwa, jak zboże wyjada i jak ją trzeba tępić, ale mama stanowczo mu zaprzeczyła.

— Jestto ptak bardzo pożyteczny. O tyle pożyteczny, co ładny. Nic innego nie jada jak owady, a zwłaszcza wielkie gąsienice — zbożem i ziarnem nie karmi się wcale, a jeśli zalatuje kiedy na pole, to po koniki polne i świerszcze, które bardzo lubi. Nie trzeba więc tępić kraski mój Gołębiu — dobrzeby było, gdyby się mnożyły jak najwięcej.

— A jakże byłoby ślicznie w lesie — powiedział Staś — gdyby zamiast tych paskudnych, ciemnych, żarłocznych wron uwijały się modre kraski!

— Ba!—rzekłem—a gdyby jeszcze namnożyło się zło-

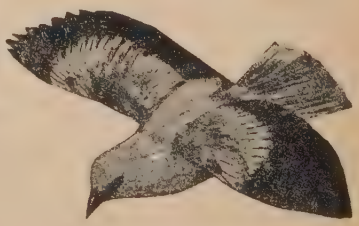

Kraska.

tych wilg i czubatych dudków, to las nasz miałby wygląd jakiegoś zakątka południowego. Nie trzebaby papug!

Wjechaliśmy na wielką ławę piaszczystą — konie szły powolutku, bo było ciężko. Tuż niedaleko wznosiła się spora górka porosła lasem sosnowym, a u jej stóp stała stara kapliczka w ruinach.

— To góra Zbójnicka — rzekł Gołąb.

— Skądże tak brzydko się nazywa?—zapytała mama.

— Ano — odparł Gołąb — wiele, wiele roków nazad, było tu puszco, wielgachna puszco, co po niej ostały jescek te wielgie sosny rozłożyste. Ano, jechoł sobie pon, poni i dzieci bez te puszce, a tu je zboje napadły i zabiły. Pochowane są wedle tej kaplicki. A góro od tej pory nazywa się Zbójnicko.

Mama kazała zatrzymać konie i wysiedliśmy aby zwiedzić górę, która była niegdyś miejscem tej historji tragicznej.

Obaj ze Stasiem wdrapaliśmy się w jednej chwili na górkę. Prześliczny widok roztoczył się nam przed oczyma na lasy, pola, a w dali, na horyzoncie, osnuta mgłą widniała Warszawa, ze swemi wieżycami i kopułami. Nadeszła mama, usiadła na szczycie wzgórza i patrzyła. Staś wdrapał się na sosnę, żeby lepiej módz widzieć Warszawę.

—Matuś,matuś— zawołał wysoko z drzewa— coś tu dziwnego rośnie na sośnie. Jakiś zielony,ładny krzaczek rośnie na pniu. Nie wiem co to?

Jemioła.

— Zerwij cały i przynieś!

Staś zerwał go i rzucił, poczem sam spuścił się z sosny.

— Ależ to jemioła! — zawołała mama z uradowaniem — to rzadki gość na sośnie, gdyż zwykle topolę obiera sobie za siedlisko. Sosna daje jej marne utrzymanie.

— Jakto — rzekłem — więc roślina ta rośnie sobie poprostu na innych drzewach?

— Nieinaczej.

— Jest więc pasorzytem?

— Niezupełnym, bo choć korzenie swe zapuszcza w drewno i ciągnie gotowe soki z innej rośliny, ma jednak liście zielone, które pracują, karmiąc roślinę gazem węglanym zawartym w powietrzu. Patrzcie, jaki ładny krzaczek jemioły Staś zdjął z sosny. Gałązki jej, grube, zielone i soczyste rosnąc wciąż rozwidlają się, a na szczycie rozwidleń siedzi zawsze naprzeciw siebie po 2 listki, jasno zielone, grube i skórzaste. Trwają one po 18 miesięcy, i z tego powodu jemioła jest zimą zielona. Łatwo ją wtedy zauważyć na topolach lub wierzbach, które liście tracą.

— Ale skąd się ona wzięła na sośnie? czy wiatr zagnał tam wysoko jej nasionko?

— Nie! Jemioła kwitnie wiosną, a owoce jej, białe, kuliste i soczyste dojrzewają dopiero zimą. Otóż, jest pewien ładniutki i czubaty ptaszek, zwany jemiołuszką, mieszkaniec krain północnych, który do nas przylatuje na zimę, bo w jego ojczyźnie jest tam wówczas za chłodno, tak, że my stanowimy dla niego kraj ciepły. Jemiołuszka uważa jagody jemioły za wielki przysmak. Objada je więc z ochotą, wyrzucając nasiona, i ocierając zawzięcie dziobek o korę dla pozbycia się lepiących się do niego nasionek. Tym sposobem ptaszek ten rozsiewa

jemiołę po drzewach. Nasionka przylepiają się do kory, a gdy przyjdzie chwila odpowiednia, wówczas kiełkują.

— A jeśli nasionko upadnie na ziemię?

— To wykiełkuje, ale roślina prędko zginie, bo nie umie ciągnąć pokarmu z gleby i przerabiać go na potrzebne soki.

— Oho! to wygodnisia i próżniaczek z tej panny jemioły!

— Wszystkie pasorzyty i półpasorzyty są takie.

Jemiołuszka.

Schodziliśmy powoli ze Zbójnickiej góry, niosąc z tryumfem jemiołę. Stary Gołąb, gdy ją zobaczył, bardzo się zdziwił i powiedział, że to jest cudactwo, co go gdzieindziej widywał, a tu nigdzie nie mógł przydybać.

Pojechaliśmy dalej, minęliśmy cegielnię i wjechaliśmy do wioski, zwanej Aleksandrowem. Jest to kolonja niemiecka. Niemcy zbudowali tu sobie nawet mały kościołek protestancki a wioskę utrzymują czysto i porządnie. Chaty otoczone są sadami i porządnie obgrodzone, zabudowania utrzymane są schludnie. Na drzewach wiśniowych, których wiele rosło tuż przy drodze, wisiało mnóstwo czarnych, dojrzałych owoców. Gdyśmy przejeżdżali pod temi drzewami, zapragnęliśmy bardzo odświeżyć się ich owocem. Mama kazała zatrzymać bryczkę przed sadem, w którym kobiety rwały wiśnie, stojąc na drabinach opartych o drzewa. Tutaj kupiliśmy dla odświeżenia cały koszyczek tych pysznych owoców. Dzień był gorący i upalny, to też przywitaliśmy wiśnie z niekłamaną radością.

Zaraz za wioską rozciągały się lasy i torfowiska. Stary Gołąb zatrzymał konie w cieniu brzózek, a my wysiedliśmy wszyscy i poszliśmy w las.

Za pierwszem stąpnięciem zauważyliśmy, że grunt jest elastyczny, miękki, a kolor tej ziemi ciemno brązo-

wy. Las był przeważnie sosnowy, choć brzózek było także sporo. Rosły tam wrzosy, czernice czyli czarne jagody, mącznice naśladujące czerwone borówki, a także mnóstwo paproci i bagna. Ta ostatnia roślina zwróciła moją uwagę, gdyż nigdzie jej jeszcze nie widziałem. Łodygi bagna są zdrewniałe jak u wrzosu, liście wązkie, ciemno zielone o brzegach pozawijanych, z brązową od spodu pręgą wołochatą. Liść roztarty wydaje silną woń nieprzyjemną. Cała roślina wypuszcza przy dotknięciu wstrętny ten a odurzający zapach. To też używają jej do wygubienia moli Odzienie przesypane bagnem jest niedostępne dla moli i innego robactwa. Wolałbym jednak mieć ubranie podziurawione przez mole niż pachnące bagnem, bo od tego aromatu mógłbym zemdleć.

Bagno.

Na końcu gałązek tej rośliny wisiały owocki podługowate, jaśniejsze od niej a tak samo cuchnące jak ona. Ze wstrętem odrzuciłem roślinę tak niemiłą, ale matuś wzięła jej gałązkę do zielnika.

Paprocie rosły tu obficie, a Staś obcinał je zawzięcie na bukiet dla Mamy Duszki, która przepada za paprociami.

— Gatunek o łodygach wysokich — rzekła mama — zowie się zgasiewką pospolitą. Jest to paproć duża, o ostrej łodydze i szorstkich liściach, dość ciemnej barwy. Ta zaś, znacznie mniejsza, o liściach delikatnych, jasno zielonych, nazywa się paprotką. Tę ostatnią rwij mi Stasiu do bukietu, bo zieleń jej piękniejsza, a liść, tak samo pierzasty i powycinany jak u zgasiewki, jest znacznie milszy i ładniej się układa, bo nie taki sztywny.

— Słyszałem i czytałem, że paproć nie kwitnie. Skoro jednak nie kwitnie, to niema owoców i nasion, z czego więc ona kiełkuje?

— Paprocie nie kwitną, to prawda, ale owocki z nasionkami wydają. Znajdują się one na spodniej stronie liści, a wyglądają jak maleńkie torbeczki pełne ciemnego pyłku.

— Ach! to te ciemne punkciki na spodzie liści to są owoce paproci! — a ja tyle razy je widziałem, a nawet nie przypuszczałem, żeby to mogło mieć tak duże znaczenie. Myślałem po prostu, że to jakieś ślady od nakłócia owadów.

— Takie krągłe kupki znajdują się u paprotki. Zgasiewka zaś ma owocki z nasionkami na spodnim brzegu liści. Poznaliście już w tym roku pewną roślinę, która tak jak paproć nie kwitnie, tylko wydaje nasionka czyli zarodniki, umieszczone na wysokiej łodydze i zebrane w szyszeczkę.

—Pamiętam ją doskonale— rzekłem — tam nad Wisłą, przy stawie, rosło dużo tych...

— Skrzypów, które tak jak i paprocie są roślinami skrytokwiatowemi. Nazwa ta ma oznaczać, że wyraźnych kwiatów nie mają, a jednak wydają owoce i nasiona. Podobnie jak skrzypy, paprocie kiedyś, dawno, przed

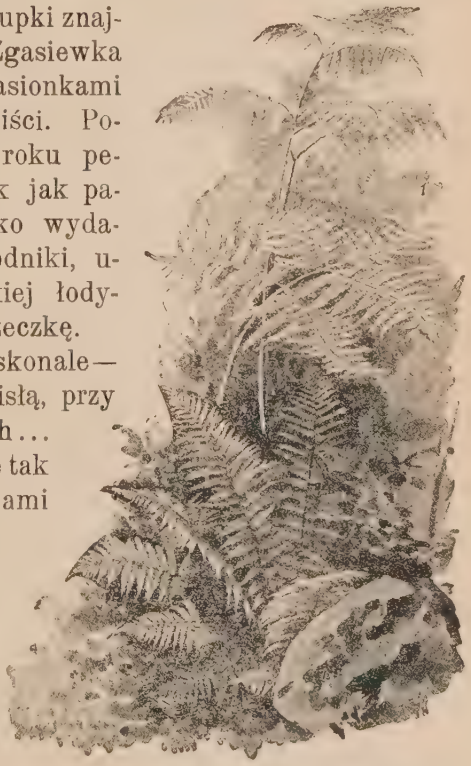

Paprocie: zgasiewka i paprotka.

wiekami były drzewiaste, zbliżone wyglądem do najcudniejszych palm, i wzięły udział w powstaniu pokładów węgla. Liście paproci znajdujemy nieraz odciśnięte na bryłach węglowych. Dziś, drzewiaste paprocie hodujemy tylko w cieplarniach, jako rośliny ozdobne. W krajach podzwrotnikowych są one znacznie okazalsze niż u nas po lasach, bo mają tam więcej ciepła i wilgoci, a tych potrzebują koniecznie do bujnego życia.

Doszliśmy do prawdziwego torfowiska śród lasu. Był tam spory staw o wodzie ciemnej, a brzegach ciemno brązowych. Na brzegu kopano torf. Robotnicy zapuszczali długie i ostre motyki w pokład torfu, a wydobyte kawały kładli na brzegu dla obsuszenia. Po kilku uderzeniach motyki wytryskiwała woda. Cały ten staw był przed kilkoma laty mokradłem, lecz skoro z niego wybrano torf, wystąpiła woda i stoi dotąd czarna i posępna. Liczne stosy bryłek torfowych stały nad brzegiem wody i schły na słońcu i wietrze. Opodal, w cieniu brzezinek, których białe pnie wyraźnie odcinały się na tle ciemnej wody i ciemnego torfowiska, stała chata. Mieszkał tam dozorca i tam był skład narzędzi, potrzebnych do kopania. Do niego też przyjeżdżali włościanie chcący kupić torf, bo torfu stąd nie wywożą, tylko na miejscu sprzedają. Wysuszony torf pali się doskonale i używany bywa zamiast węgla. Bałem się chodzić nad brzegiem wody, bo grunt był miękki i uginał się pod nogami. Poszliśmy więc w las i na łąkę poblizką.

— Ciekawe są tutejsze mchy — rzekła mama — biorą one czynny udział w powstawaniu torfu i chciałabym zapoznać was przedewszystkiem z nimi.

Przechodziliśmy akurat około prześlicznego, puszystego dywanu mchowego. Mech ten wysoki był przynajmniej na pół łokcia, ślicznie zielony, i cały obsiany wysokiemi łodyżkami zakończonemi brązowemi czapeczkami.

— To jest mech pospolity zwany płonnikiem, pełno jego wszędzie, ale nie wszędzie jest tak okazały i tak pięknie zielony. Wysoka jego łodyżka jest okryta gęstemi, cienkiemi listeczkami u góry zielonemi, gdy dolne już zżółkły.

— Do czego służą te wysokie łodyżki ozdobione temi zabawnemi czapeczkami?

— Masz rację, to najciekawsze. Więc przedewszystkiem zdejmę wam jedną taką czapeczkę.

To mówiąc mama podniosła brązową czapeczkę, która miała kształt hełmu strażackiego i zupełnie swobodnie dała się zrzucić. Zobaczyliśmy, że zakrywała maleńką puszecz-

Płonnik.

Rokiet.

Torfowiec.

kę brązową, osadzoną na wysokiej łodydze. Mama puszkę przecisnęła między dwoma palcami. Odrazu pokazał się drobniutki proszek żółto zielony i rozsypał się mamie po ręku.

— Oho! już wiem! — zawołałem — to są zarodniki mchu,

— A ta puszka jest ich domkiem.

— A kask kirasjerski po co służy?

— Dla zabezpieczenia puszki, dla ochrony przed deszczem i wilgocią.

Tak się nam to podobało, że usiedliśmy obaj przed całą kępką owocującego mchu i zabawialiśmy się w zrucanie ich hełmów i rozsiewaniem nasionek czyli zarodników.

— Ten zaś drugi gatunek mchu, bardziej żółty jest pospolitym po borach rokietem, którego tyle mamy i w naszym lesie Józefowskim. Łodygi jego się rozgałęziają i dopiero na tych gałązkach są osadzone drobniutkie, gęste listeczki. Ale najważniejszego mchu znaleźć dotychczas nie mogę, a po niego tu przyjechałam.

— Co za jeden matusiu?

— Zowie się torfowiec, jest blado zielony, z główką zieloną na wierzchu, choć często barwy jego przybierają odcienie żółte, czerwone lub fioletowawe.

Przyszliśmy nad brzeg łąki mokrej, z jednej strony odgrodzonej od lasu rowem. Szliśmy wzdłuż rowu i tu znaleźliśmy to, czegośmy szukali. Torfowiec rósł tu tworząc miejscami gęste kożuchy, grube, czerwonawe. Miejscami wyścielał całą głąb rowu jasno zielonym dywanem, lub porastał jego brzegi tworząc zbitą darń jasną, prawie białą, śród której zieleniły się główki. Potrzebowaliśmy torfowca do zielnika i do lepszego przypatrzenia się tej dziwnej roślince, to też napełniliśmy nim puszkę. Przedewszystkiem zwróciło naszą uwagę, że był tak mokry, tak przesiąknięty wodą jak gąbka, — następnie, że dolna jego część była albo brązowa, albo zżółkła, albo zupełnie blada jakby zamarła. Żadnych owocków nie zauważyliśmy.

— Zarodniki jego — rzekła mama — mają kształt maleńkich puszeczek krągłych i są osadzone na główce. Wyraźnie widać na tych okazach, że dolna część jest

zbutwiała i już przechodzi w torf, gdy górna w najlepsze żyje. Te to mchy przyczyniły się głównie do powstania torfu. Gnijące ich dolne warstwy obsuwają się wciąż w głąb bagniska, gdy na wierzchu powstają coraz nowe kożuchy mchów. Zsunięte w głąb bagna butwieją te mchy, zwęglają się i wytwarzają torf. Co rok przybywa nowa warstwa torfu wewnątrz bagna, nowy kożuch mchów na jego wierzchu. Powoli bagno zamienia się w mokradło, to zaś w mokrą łąkę, która obsusza się z czasem coraz bardziej — można wreszcie bez niebezpieczeństwa stąpać po jej wierzchu. Wówczas zaczynają ludzie torf kopać, suszyć i spożytkowywać na opał tak jak węgiel, który powstał w podobny sposób, tylko z innych roślin, i bardzo temu dawno, miał więc czas stwardnieć i zczernieć zupełnie.

Pełno było tego mchu dokoła. Na łące rósł on olbrzymiemi powierzchniami wśród turzyc i innych roślin błotnych, każdy dołek był nim wypełniony, każde zagłębienie nim wysłane — panował więc tu wszechwładnie, choć miejscami łąka się obsuszała i zaczynały ją pokrywać inne już rośliny, z gleb suchszych.

— Mamy więc mech torfowiec i bagno – będące roślinami charakteryzującemi torfowiska. Radabym jednak znaleźć jeszcze jedną roślinę, która powinna tu być, a która jest niezmiernie ciekawą.

Zaczęliśmy się rozpytywać mamy co to za roślina.

— Ponieważ będziecie szukali

Rosiczka okrągłolistna.

ze mną, więc opowiem wam jak wygląda rosiczka okrągłolistna. Ma tuż przy ziemi rozetkę liści niedużych, kształtu owalnego, obrosłych różowemi włoskami. Ze środka tej rozetki powinna teraz wyrastać łodyżka dość wysoka z białemi kwiatuszkami u góry.

Rozpierzchliśmy się po torfowisku, łączce i lesie szukając tej roślinki, choć nie wiedzieliśmy jeszcze dla czego ona jest ciekawa. Prawie dwie godzin trwały poszukiwania nasze, byliśmy już zmęczeni i spragnieni, bo było bardzo gorąco. Wreszcie zobaczyłem ją! Tak jest, mnie ten honor przypadł w udziale. Spostrzegłem pełno jakby różowych listeczków rosnących przy ziemi na łączce. Podbiegłem, schyliłem się i odrazu ją poznałem.

— Mam cię! — zawołałem — mam cię nareszcie! choć tak długo cię szukałem!

I z wielkiej uciechy zacząłem wołać mamę i Stasia. Wreszcie nadeszli, a ja pokazałem im tryumfalnym gestem kilka krzaczków rosiczki.

— Znakomicie! powinszować ci, Adziu! — wołała uradowana mama — a teraz wyjmijcie kilka jej krzaczków z darnią, mchem i ziemią, żeby jej nie uszkodzić i włóżcie ostrożnie do puszki. Rośliną tą zajmiemy się u siebie. Ale skorośmy ją zdobyli, wracajmy na obiad do domu.

Stary Gołąb zajechał przed łączkę, wsiedliśmy i ruszyli z powrotem.

— A teraz — rzekłem — powiedz mi matuś droga, dlaczego rosiczka jest ciekawą rośliną? co przedstawia szczególniejszego?

— Przedewszystkiem, zowie się ona dlatego rosiczką, że na końcach różowych włosków, obrastających liście, perlą się jakby kropelki rosy, co sami łatwo spostrzedz możecie. Rosa ta przynęca owady. Skoro jednak malutki owad usiądzie na liściu, żeby się orzeźwić tym nektarem, wówczas lepnie do listka, albowiem rosa ta jest kleista. Chce się wyrwać, ale nie może! został tu

przylepiony na całe życie! Szamocze się — ale to nie pomaga, gdyż włoski poirytowane jego ruchami, wydzielają jeszcze więcej płynu klejkiego. Nie dość tego, liść powoli się zamyka nad owadem, aż zupełnie go obejmie. Powiadają, że wówczas wyciąga soki ze swej ofiary i karmi się nią. Skoro wszystko wessał, liść wraca do swego dawnego położenia, tak, jakby nie zaszedł tu żaden dramat.

— Więc rosiczka karmi się owadami!

— Zowią ją rośliną owadożerną choć karmi się przedewszystkiem sokami wyciągniętemi z ziemi i gazami z powietrza. Zdarza się jej jednak uśmiercić owad i stąd ta brzydka nazwa.

— Więc po to wzięliśmy rosiczkę do domu, aby ją karmić owadami?

— Jedną zasuszymy sobie do zielnika, inne zaś umieścimy na spodku, będziemy je mocno podlewali, aby miały mokro, gdyż są to rośliny rosnące na bagnach i torfowiskach, i będziemy obserwowali, czy będą łapały jakie drobne owady, czy też nie? Możemy sprobować karmić je malutkiemi kawałeczkami mięsa i będziemy badali ich zachowanie wobec tego pokarmu, czego nie sposób uskutecznić na spacerze.

Jakaż to dziwna roślina! — pomyślałem — owadożerna! mięsożerna! więc i śród roślin są gatunki drapieżne, żyjące cudzą krwią, odbierające życie innym istotom. I zrobiło mi się bardzo przykro, gdyż nie posądzałem rośliny o takie sprawy.

Wracając przez las zobaczyliśmy z daleka uciekające sarny i dowiedzieliśmy się od starego Gołębia, że część tego wielkiego lasu jest przeznaczona na hodowlę sarn. Są tu liczni dozorcy, specjalnie czuwający nad niemi, którzy rozsypują im w gęstwinie owies, aby były syte i pilnują, aby do nich obcy ludzie nie strzelali, gdyż chodzi o to, aby jak najwięcej się rozmnażały. Po

tym ładnym wstępie Gołąb dodał, że hodują je tak starannie na to, aby panowie dzierżawiący tu polowanie, mieli co strzelać!

— Biedne sarenki! hodują was, troszczą się o was,

Sarny.

po to tylko, aby pewnego dnia łatwiej was było zabić, a panowie mogli wrócić do domu z bogatym łupem.

Wszędzie więc, na każdym kroku jedne zwierzęta zabijają drugie, człowiek zabija zwierzęta na swą potrzebę, nawet rośliny urządzają pułapki na owady:

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,

Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa człowiek, a sam, po śmierci
Staje się łupem robaka.
Idylla maleńka taka.

— Czy musi tak być? czy to konieczność? nie do uniknięcia? — myślałem sobie — czy nie może być inaczej, szlachetniej, łagodniej na świecie?

Rozmyślałem o tem wszystkiem ze smutkiem, gdy raptem mama, wziąwszy mię ręką pod brodę i patrząc prosto w oczy rzekła:

— Prawa przyrody są surowe, nieubłagane! niema w nich miejsca dla sentymentalizmu. Nie trzeba nad niemi boleć, ani z powodu nich rozpaczać kochanku, a tylko łagodzić ich skutki gdzie się da i o ile można.

Wzruszyło mię to, że mama tak mię odgadła, że tak dobrze wie co ja myślę! Dobrze ją nazwałem Duszką, bo duszą mię odczuwa.

XVI.

Grad. Myszy i łasiczka. Jesień. Pożegnanie.

Trudno opisać, co za straszną burzę gradową mieliśmy kilka dni temu! Dzień był gorący, upalny, nawet duszny, nic jednak nie zapowiadało katastrofy, która miała nas nawiedzić.

Byliśmy po obiedzie i siedzieliśmy na werandzie, każdy zajęty jakąś robotą, gdy naraz zrobiło się ciemno, zerwał się wicher szalony i w jednej chwili zaczął padać grad. Nie było czasu pozamykać okiennice. Sypnął grad! ale jaki grad! nie widziałem nigdy nic podobnego i nie przypuszczałem nawet aby podobne katastrofy zdarzały się w naszym kraju.

Kule gradowe były z początku wielkości orzechów laskowych, potem włoskich. Cofnęliśmy się z werandy,

bo zimno się zrobiło i wicher dął bez miłosierdzia, gnąc drzewa ku ziemi. Wreszcie zaczęło się bombardowanie kulami lodowemi wielkości prawie jaj kurzych. Stukot był nie do opisania! na szczęście wicher dął w sam tył domu, a nie w stronę okien, które z tego powodu szczęśliwie ocalały.

Stanęliśmy z mamą w drzwiach od werandy i patrzyliśmy na to, co się działo w ogrodzie. Przedewszystkiem zrobiło się tak biało, jakby wielka mgła spadła na ziemię, las majaczył zdaleka jak zasnuty chmurami, a ogród, spowity w mgły, targany wichrem, tłuczony gradem, wydawał niby ostatnie tchnienie.

— Szkoda! szkoda drzew, krzaków, ogrodu! — szepnęła smutnie mama.

— I nie można zaradzić temu!

Grad łamał gałęzie, obtłukiwał liście, które wiatr porywał i roznosił po ogrodzie śród białej mgły. Fruwały one na wszystkie strony, dokoła domu, zaścielały ścieżki grubym dywanem zielonym. Wkrótce spostrzegliśmy z bólem, że drzewa bliżej werandy rosnące stoją prawie nagie, odarte z liści, z połamanemi gałązkami, a co się działo z dalszemi nie wiedzieliśmy, bo mgła zasłaniała nam wszystko.

Okropny ból ścisnął mi serce, tak mi się zrobiło żal ogrodu, tych kochanych naszych drzew, że łzy stanęły mi w oczach, Staś zaś płakał na dobre, a mama przygryzała wargi i smutno kiwała głową.

— Mój Boże! mój Boże! i niema na to rady! trzeba patrzeć bezradnie na ukamienowanie drogich roślin i niema sposobu niesienia im pomocy! Tak! przyroda nie zna litości, twardą jest i nie cofa się przedtem, co być musi. Cała ta burza gradowa trwała nie więcej jak kilka minut. Zrobiło się zimno! mroźno! powietrze stało się ostre, jednak dziwnie orzeźwiające.

Poszliśmy przebrać się w ciepłe ubrania, pończochy i buty i wyszliśmy z mamą na ogród. Mgły powoli się rozproszyły i widać było w całej okropności dzieło zniszczenia. Ogród był prawie ogołocony z liści: nagie gałęzie, z resztką gdzieniegdzie listków sterczały smutnie do góry, kora w wielu miejscach była poobdzierana, wiele gałęzi połamanych. Ale najdziwniejszy widok przedstawiała ziemia: była biała i zielona, biała od nagromadzonych kul gradowych, zielona od strąconych liści. Cała polanka, leżąca przed ogrodem, biała była jak w zimie, a zimno przejmujące szło od tego lodowego całunu!

Podniosłem kilka kul gradowych dla przyjrzenia się im. Nie były one byle jakie! miały środek krystaliczny, od którego rozchodziły się promienie w środku masy lodowej. Miały przytem wyraźnie kształt kulisty, trochę spłaszczony, twarde były jak kamień i długi czas można je było trzymać w ręku, zanim rozpuściły się na wodę.

Chodząc po ogrodzie znaleźliśmy malutkiego ptaszka, o kolorach żałobnych, bo głowę miał czarną, spód biały, a z wierzchu był popielaty. Był on widocznie pobity przez grad i oszołomiony. Wziąłem go do klatki, a skoro wrócił do siebie, wypuściłem go na swobodę. Była to sikora czarna czyli sosnówka, zamieszkująca bory sosnowe. U nas znalazła się widocznie wypadkowo w ogrodzie, zaskoczona przez burzę gradową.

Sikora czarna (sosnówka).

Stanisław bandażował połamaną akację, po bandażu zasznurował ją mocnym drutem, podparł pod-

pórką i dowodził, że akacja się zrośnie. Na szczęście, jedno tylko to drzewo złamała nam burza. Ale ileż uszkodziła i poraniła. Z domkiem nie obeszła się grzeczniej. W kuchni szyby powybijane, papa, którą dachy kryte, kawałkami powyrywana leżała po ogrodzie, a tył domu, w który najwięcej kule gradowe bombardowały, wyglądał jak po ospie.

Mama pojechała do Warszawy, żeby się przekonać co się stało z naszem mieszkaniem w mieście: może szyby wybite? może deszcz i grad zalały pokoje.

Ojciec wyjechał na kurację do Trenczyna, a stamtąd do Abbazji i od paru tygodni jesteśmy sami. Dojechała jednak mama tylko do Falenicy i wróciła napowrót do nas, gdyż burza gradowa szła widocznie wązkim szlakiem i nie doszła nawet do Falenicy. To też mama była zupełnie pewną, że nie było jej wcale w Warszawie. Mówiono o strasznym spustoszeniu, które grad ten wyrządził. Słupy telegraficzne, idące wzdłuż plantu kolejowego, były powyrywane i niesione daleko przez burzę, dachy zabierało z nad chat, wyrywało i niosło olbrzymie drzewa, ludzi pokaleczyło, kilkoro dzieci zabiło, natłukło szyb co niemiara, poraniło lub zabiło mnóstwo ptactwa leśnego. Stróż nasz, Stanisław, powiada, że w tym roku nie będzie kuropatw, bo grad wytłukł je niemiłosiernie.

Poszliśmy do lasu obejrzeć go po klęsce! ileż nałamało gałęzi! a igieł co leżało na ziemi: tworzyły puszysty dywan, zakrywający mchy i wrzosy. Chodziło się jak po miękkiem posłaniu. Drzewa były okryte znacznie przerzedzonemi igłami.

Smutek wiał zewsząd: z ogrodu, lasu, domu! i odrazu poczułem, że to już jesień, jesień prawdziwa. Chłodno było, prędko się ściemniało, a ten ogród ogołocony z liści dodawał jeszcze ponurego wrażenia. Przykro mi było patrzeć na ten obraz zniszczenia i pragną-

gnąłem wyjechać stąd, aby nie widzieć całej żałości, która wiała z każdego zakątka.

* * *

Teraz jednak jestem innego zdania. Pragnę zostać jak najdłużej, a nie można. Musimy wracać do Warszawy. Zmiana w moich uczuciach nastąpiła z tego powodu, że pogodę mamy znów piękną! ciepło, słonecznie! Grad dawno stopniał, liście postrącane zamieciono, gałęzie połamane poobcinano, a liści zostało na drzewach jeszcze sporo. Zaraz po burzy były one pozlepiane, potłuczone, zmiętoszone. Powoli jednak rozprostowały się, wyschły, i choć ich jest znacznie mniej niż dawniej, jednak zielenią się jeszcze na drzewach. Okna w kuchni są już wprawione, dachy poreperowano i gdyby nie to, że przerzedziły się gąszcze drzew i krzewów, niktby nie pomyślał, że taka katastrofa nas nawiedziła.

Otóż znów jest ciepło i ładnie, jesień wkracza urocza, pełna cichego blasku i łagodnego słońca. Radbym teraz jak najdłużej tu zostać!

A zmierzch i wieczory, choć chłodne, jakież są ładne. Szukam po zachodzie słońca ślicznej Wenus, migocącej śród jasnego nieba, przypominam sobie ostatni wieczór spędzony z tatusiem przed jego odjazdem, i wszystkie ciekawe rzeczy, których dowiedzieliśmy się wtedy. Oglądam wieczorem Wóz, Kasjopeę, Gwiazdę Biegunową, Perseusza, Andromedę, Węgę, ale najwięcej dumam nad Marsem, który teraz wcześnie wschodzi i świetnie błyszczy na firmamencie. Gdyby to można było jakim cudem tam się dostać i zobaczyć go bliżej!...

Ale, ale, zapomniałbym powiedzieć, że widzieliśmy Saturna. Wczoraj wieczorem rozbieraliśmy się już do snu, gdy mama kazała nam włożyć ciepłe serdaki i wyjść do ogrodu. Mama była bardzo ucieszona i obiecywała coś ładnego nam pokazać. Weszliśmy na werandę. Noc

była ciemna, bezksiężycowa, niebo usiane gwiazdami silnie błyszczącemi. Jakże one wspaniale błyszczą, gdy niebo jest tak ciemne, że prawie czarne!

Matuś zaprowadziła nas do lunety, ustawionej na trójnogu, w kierunku wschodnim nieba. W tym samym miejscu, gdzie błyszczał przed paru tygodniami Mars (który teraz znajduje się o tej porze znacznie wyżej), świeci teraz Saturn. Oglądaliśmy go przez lunetę. Wygląda jakby znacznie mniejszy od Marsa, a to dlatego, że jest od nas nierównie dalej. Pierścień znakomicie widać przez naszą lunetę: stoi on bokiem, a planeta wygląda jak główka ubrana w kapelusz z szerokim rondem, położony na bakier.

Potem skierowaliśmy lunetę na Marsa i porównywaliśmy obie planety: Mars wydaje się daleko większy i czerwony. Saturn świeci światłem białym, odległym... odległym... a ten jego tajemniczy pierścień, bokiem go otaczający, złożony z nieskończonej ilości drobnych pyłków, dodaje mu uroku zagadkowości.

Ale co u nas teraz myszy! moc okropna! nad ranem widzę doskonale jak sobie spacerują po mieszkaniu, ciekawie wyglądają z norek, biegają po stołach, z których zeskakują tak zręcznie jak akrobaci w cyrku. W nocy czynią stukot okropny, gryzą, skrobią, ciągną różne rzeczy do nory, piszczą. Mama mówi, że te myszy spędzają lato w polu, a skoro z pola sprzątną zboże, idą do domostw i tam szukają jedzenia przez zimę. Mylą się jednak bardzo, sądząc, że u nas przezimują, gdyż domek

Mysz polna.

nasz stoi zimą pustkami. Będą więc musiały szukać innej gospody.

Lubię patrzeć na ruchy myszek, gdyż to niezmiernie zgrabne i żywe stworzonka. Ponieważ dużą hodowlę miałem pustą, bo liszki tawulca i wilczomleczka zakopały się i zostały przeniesione do małej hodowli, więc postanowiłem sobie pohodować trochę myszek. Nastawiłem pułapkę raz i drugi. Złapały mi się same drobne, młodziutkie myszki. Było ich coś ze sześć. Nasypałem ziemi do hodowli, włożyłem parę deseczek, naprószyłem mąki, nakruszyłem chleba i wpuściłem myszki.

Z początku zaczęły kopać norę w ziemi pod deseczką i tam wszystkie siedziały niby pod podłogą. Bardzo się jednak prędko oswoiły i niczego się nie bały. Jadły chleb i bułkę, a zwłaszcza smakowała im mąka. Zabawnie wyglądały, gdy siedząc na tylnich łapkach przedniemi nabierały mąki, i niosły ją do pyszczka. Jadły ją z niezmierną szybkością. Potem biegały po hodowli, drapały się na siatkę, z której zrobione były ściany, wchodziły na sufit, a potem szprync! spadały na ziemię. Jedna zwłaszcza myszka bezustannie zabawiała się wdrapywaniem na sufit i zeskakiwaniem z niego na podłogę. Będę was karmił i będzie wam dobrze u mnie, a skoro przyjdzie czas wyjazdu, to wypuszczę was na swobodę.

Łasica

Któregoś dnia rano, Stanisław znalazł utopioną w kadzi małą łasiczkę. Takie śliczniutkie zwierzątko! brązowe na wierzchu, białe u spodu, niewielkie, zgrabniutkie, przyszło zapewne napić się wody i zatonęło! Stanisław mówił

mi, że jej szkoda, gdyż ona tępi myszy lepiej jeszcze niż kot, a to dlatego, że wszędzie wcisnąć się potrafi, nawet zajrzy do mysiej norki.

Łasiczka spędza lato w polu lub lesie, a na jesień przychodzi do mieszkań ludzkich. Odbywa tę wędrówkę za myszami, któremi najchętniej się żywi. Chciałem dać ją do wypchania, ale ponieważ nikt ze znajomych ani z domowych nie jechał do Warszawy, więc zakopano ją w ogrodzie pod lipą.

Długie mamy wieczory! długie i chłodne! nieraz spędzamy je w pokoju zebrani wszyscy przy lampie. Mama szyje, Staś rysuje, ja zaś czytam na głos poezje Mickiewicza: cudne sonety krymskie, redutę Ordona, Farys, ballady, bajki i wiele z tych pięknych rzeczy umiem już na pamięć.

Czasem znów dla odmiany, rozpalamy ognisko i pieczemy kartofle. Zawczasu zbieramy sosnowe gałęzie, zeschnięte jałowce i szyszki, w czem dopomaga nam dzielnie Stasiek Wojciechowy. A skoro zaczyna się ściemniać idziemy po za obrąb ogrodu i na polance, w dołku, przygotowanym w piasku, rozpalamy ognisko. Ach! co to za przyjemność! Gałęzie sosnowe palą się raźno, igły trzeszczą i pryskają, wznosząc miły zapach palonej żywicy, a dymek unosi się sinym pasem ciągnąc się w dal.

Mama przychodzi rozgrzać się przy ognisku, bo wieczory bywają porządnie zimne. Wówczas zaczynamy śpiewać chórem znaną piosnkę Noskowskiego do słów Konopnickiej:

Siny dym się wije, pod lasem, daleko!
Tam pastuszki ognie palą i kartofle pieką!

Śpiewamy, a jednocześnie uwijamy się raźno dokoła ogniska, dorzucamy drzewa, to sypiemy garście szyszek

lub podsycamy je gałązkami jałowców. A tak dobrze przy ognisku! ciepło i przytulnie!

Wreszcie przychodzi służąca nasza, dobra i droga Kuma i przynosi kartofle. Dopiero jednak gdy z ogniska zostaną żarzące się węgle, zgartuje je ona kijkiem i wsypuje w ten kopiec kartofle. Pieką się w żarze! a gdy się upieką, cóżto za niebywała uczta się rozpoczyna! jakże one smaczne wprost z ogniska sosnowego z masłem i solą!

Parzymy sobie palce gorącemi ziemniakami, ale to nic nie szkodzi! cóż to znaczy w obec tej wielkiej przyjemności, jaką mamy jedząc pieczone w żarze kartofle. Stasiek Wojciechowy lubi je nie mniej od nas, i często teraz przychodzi przed wieczorem dopomódz nam w tej miłej zabawie.

Uważałem, że gdy kartofle są gotowe, Kuma starannie zasypuje ognisko piaskiem, aby zupełnie zagasić żar. Ma rację, zwłaszcza podczas suszy jestto ostrożność konieczna, bo o pożar nie trudno w tej okolicy pełnej sosen żywicznych, palących się jak świece.

Ponieważ zbliża się dzień naszego wyjazdu, więc postanowiłem zrobić porządek ze zbiorami, hodowlami i akwaryum. Poszliśmy nad Świder i wypuściliśmy rybki do rodzinnej ich rzeki. Nie wszystkie jednak, złowione przed trzema miesiącami rybki, wróciły do Świdra: zdechły nam dwa ślizy. Następnie poszliśmy nad Bagienko i wpuściliśmy w nie ślimaki. Owady wodne: pluskolec, płoszczyca, pływaki i nartnik wzięte zostały do naszych zbiorów. Rośliny zasuszyliśmy, prócz żabiścieku, który dotychczas pływa sobie na wielkiej kadzi w ogrodzie i osoki aloesowej, przywiezionej ze Starego Otwocka, którą umieściliśmy na dnie tejże kadzi. Nie zakwitła nam ona! może być, że przedtem jeszcze, zanim ją wzięliśmy, wydała kwiaty na stawie Otwockim, a dwa razy kwitnąć naturalnie nie mogła.

Doświadczenia z rosiczką nie udały się wcale! Próbowaliśmy karmić ją drobniutkiemi kawałeczkami mięsa, a nawet muszkami, ale nie brała ich i liście nie zwijały się nad ofiarą. Prawdopodobnie robiliśmy doświadczenia nie tak jak trzeba. W czemś musiał tkwić błąd, ale nie wiemy w czem. Może uszkodziliśmy tę roślinę biorąc ją z łąki, może korzenie jej oberwały się trochę i dlatego cała roślinka nie mogła funkcjonować jak się należy.

Poczwarki tawulca i wilczomleczka zakopane w ziemi wezmę ze sobą do Warszawy i postaram się je przezimować. Zabieram także z dumą cztery wielkie pudła motyli i żuków, złapanych lub wyhodowanych podczas lata. Na przyszły rok postaram się zbiory moje znacznie powiększyć. Teraz wiem jak się zająć urządzeniem zbiorów, jak hodować liszki, poczwarki, jak rozpinać i konserwować. Mam parę ptaków wypchanych i ładny zielnik!

Czuję, że wakacje przeszły mi miło, zdrowo i pożytecznie, że z zasobem nowych wiadomości i nowych doświadczeń wrócę w mury miasta. A przykro mi będzie wyrwać się stąd, przykro niewymownie!

Nareszcie przyszedł smutny dzień naszego wyjazdu. Wstałem rano, aby pożegnać się z kochanym naszym ogrodem. Chłodny był ranek i mglisty. Wilgoć lśniła się po całym ogrodzie. Słońce świeciło blado i dawało mało ciepła. Po krzewach rozpościerały się pajęczyny, operlone rosą poranną jak brylancikami. Akacje zaczęły żółknąć i ozdobione były ciemnemi strąkami, z jarzębin zwieszały się baldaszki czerwonych jagód, krzaczki berberysu obsypane były gronkami podłużnych małych owocków czerwonych, na świerkach wisiały duże, zielone szyszki, brzózki sypały złotemi listkami, — ogród był przejrzysty, przezroczysty, pozbawiony tajemniczych gąszczy.

Ot i Jędrzej już przyjechał ze swą furą, zaraz będą znosili rzeczy i pojedziemy do Warszawy!

Żegnam was! i ciebie miły ogrodzie i ciebie domku kochany i ciebie uroczy lesie i ciebie bystry Świdrze! Wśród was lato mi przeszło jak na łonie przyrody, tęsknić będę za wami jak za wymarzonym rajem i oczekiwać, kiedy was znowu zobaczę!

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Przyjazd do Józefowa. Nasz dom i domownicy. Spacer do lasu. Sosny kwitną. Ogród. Jaskółki 1
II. Wycieczka nad Świder. Olszynka. Ślizy. Szczupaki. Cierniki. Różanka. Chróściki. Świtezianka modra. Skójka. Pliszka. Chrabąszcz majowy. Skowronki 16
III. Wylęgnięcie się pazia królowej. Wycieczka do lasu. Sosna. Jałowiec. Jeżyny. Borówki. Porosty. Listki barczatki sosnówki. Kobuz i kukułka. Kornik. Cytyniak. Prządka jeżynówka. Zaginione dziecko. Mrowisko. Krokiet 37
IV. Spacer nad Bagienko. Dzierlatki. Koper wodny. Babka wodna. Strzałka. Skrzypy. Rzęsa. Żabiściek. Moczarka kanadyjska. Ważka wielka i płaska. Kijanki. Żaby. Błotniarki. Zatoczek. Pływak. Kałużnica. Płoszczyca. Pijawki. Pluskoliec. Nartnik. Poczwarki wierzbówki. Kozioróg i tawulec. Komary 60
V. Akacje i jaśminy. Motyle i ćmy. Głogowiec, perłowiec, modraczek, wilczomleczek. Nastrosz topolowiec. Hodowla liszek. Spacer w pole. Habry. Grabarz. Pasikonik. Konik polny. Świerszcz polny 85
VI. Deszcz. Hodowle. Skrzynki. Lektura. Warcaby. Staś rysuje. Akwarja 100
VII. Nasze zwierzęta 109
VIII. Wycieczka do Wisły. Łąka. Trawy. Wierzby i topole. Wierzbówki. Turzyca. Tojeść. Rozswita. Skrzypy. Jeżogłówka. Grzybień żółty. Osty i osetnik. Babka. Zawisak borowiec. Serso 130
IX. Motyle dzienne, ćmy, gąsienice, poczwarki i hodowle. Łubin. Wiśnie. Wilgi. Mszyce, mrówki i biedronki. Chrabąszcze pstre. Złotawce 151
X. Deszcz! 165
XI Wycieczka do Wielkiego Otwocka. Otwock. Karczew. Mały Otwock. Wielki Otwock. Zamek. Park. Dęby. Tatarak. Sitowie. Trzcina. Grzybień biały. Osoka aloesowa. Nietoperze. Kozioróg wielki. Barczatka sosnówka 171
XII. Wycieczka piechotą przez las do Falenicy. Grzyby. Macierzanka. Wiewiórka. Żmija. Jaszczurka. Mniszka. Nieparka 189
XIII. Motyle dzienne i nocne. Hodowle. Pawie oko. Żałobnik Admirał. Gąsienicznik. Baryłkarz. Garbarze. Połów nocny. Błyszczka gama. Wstęgówka pasówka 202
XIV. Wieczór pod gwiaździstem niebem 218
XV. Wycieczka do Aleksandrowa. Zbójnicka góra. Jemioła. Kraska. Wrzosowisko. Torfowisko. Bagno. Mchy. Rosiczka. Paprocie. Sarny 237
XVI. Grad. Myszy i łasiczka. Jesień. Pożegnanie . . 253

D
3/2

P. 51. Na Łonie Przyrody_
Pamiętnik Adasia
Opowieść Przyrodnicza
Dr. Z. Joteyko_
Rudnicka.